

Prolog

Dziesięć milionów lat przed przyjściem na świat pierwszego człowieka, najwyższy szczyt łańcucha górskiego, który kiedyś, w niewyobrażalnej jeszcze przyszłości, będzie nosił nazwę Gór Karpash, wznosił już majestatycznie swą ośnieżoną czapę. Stał on w miejscu, które kiedyś, będzie granicą między Corinthią a Zamorą. Nie miał swego imienia, albowiem nie chodziły jeszcze po ziemi istoty zdolne je nadawać. Dopiero po wielu wiekach miał być nazwany Górą Turio.

Tego odległego, zimowego poranka, niespodziewana eksplozja wstrząsnęła najgłębszymi korzeniami ziemi, powodując gwałtowną erupcję w górnej części wzniesienia. Rozerwane eksplozją skały, wyniesione w górę, stworzyły chmurę pyłów, która przesłoniła słońce, a potoki żarzącej się lawy spłynęły w dół zbocza, pożerając łąpczywie gigantyczne drzewa w promieniu dwóch dni marszu od szczytu góry. Bezlitosna ręka destrukcji zmiotła z powierzchni setki tysięcy zwierząt, chłostając bezbronną ziemię skalnym deszczem, który nie oszczędził niczego na swej drodze..

Aż na drugiej półkuli ziemi żywe stworzenia przystawały przerażone dźwiękiem wypluwającej swe wnętrzości góry i nagle pociemniałym słońcem. A ryk żywiołu mógł równać się z krzykiem bogów.

Minął milion lat, nim krater pozostały po tej tytanicznej eksplozji zmienił się w jezioro, dorównujące większością małemu morzu.

Teraz zaś po dziesięciu milionach lat, blizny po kataklizmie niemal się zagoiły, pod kojącym działaniem wiatrów, deszczów i słonecznych promieni. Olbrzymi krater wszakże pozostał, - głębokie jezioro o czystej, lodowatej toni.

Po samym zaś środku jeziora, bezimiennego i prawie nieznanego oczom i myślom ludzkim, pływała naturalna mata, wypleciona z niezwykłych roślin, które wspinały się nad powierzchnię laurowej wody. Ci, którzy czuli potrzebę nadawania im nazw, zwali je sargasową trzcina. Była ona tak gęsta i gruba, tak splątany tworzyła gąszcz, że mogła utrzymać na swej powierzchni niską budowlę, na tyle obszerną, by służyć za dom dla tysiąca ludzi.

Człowiek mógł cały dzień oddalać się od tego Sargasowego Pałacu, a jeszcze nie dotarłby do brzegów wyspy, na której pałac ów się wznosił. Często napotykałby na swej drodze obszary wody i

musiałby iść bardzo ostrożnie, bo roślinna mata w wielu miejscach była naruszona przez czających się pod wodą drapieżników, którzy niczym w pułapkach, tylko czyhali na jeden nieostrożny krok ofiary. Dlatego też moment nieuwagi wystarczył by człowiek wpadł w lodowatą, wodną otchłań i chciwe paszcze jej mieszkańców. A nawet gdyby wędrowcowi udało się uniknąć tych pułapek, zawsze mógł jeszcze paść ofiarą istot gnieźdzących się w splątanych nad wodną tonią kłęczach, które przez wieki nauczyły się już cenić smak ludzkiego mięsa.

Zaś we wnętrzu tego wspólnego dzieła natury i ludzkich rąk, w niskim zamku z roślinnych pnączy, zamieszkiwała postać imieniem Abet Blasa, którą niektórzy znali też jako Maga z Mgieł, czy Dimma z Mgieł

Choć dach jego siedziby miał kilka sporych otworów, wypełnionych taflami najczystszej kwarcu, zapewniających wewnątrz nieco słonecznego światła, to jednak tron z drewna i kości słoniowej, na którym zasiadał Dimma, otaczała gęsta mgła. postać Dimmy również zdawała się składać z takiej mgły jako że ludzkie oko nie mogło uchwycić wyraźnych zarysów jego ciała. Było ono tak samo niematerialne i ulotne jak szarość otaczającego je płaszcza z mgły.

Spośród tych mglistych oparów wyłoniła się istota, która na suchym lądzie upodobniła się do człowieka. Kiedyś przodkowie tych stworów żyli pod powierzchnią wody, ale arkana sztuki Maga z Mgieł dźwignęły je w górę drabiny ewolucji. Dimma nazywał je selkie, a jego kunszt uczynił z nich niezwykle pożyteczną służbę. Nie byli już wyłącznie podwodnymi stworami, i na lądzie mogli z powodzeniem udawać ludzi, lecz pod powierzchnią wody zmieniali się w istoty, które człowiek mógł sobie wyobrazić tylko w najgorszych koszmarach.

Selkie, który się właśnie pojawił nosił imię Kleg. Przemówił śpiewnym tonem, brzmiącym raczej jak dźwięk instrumentu strunowego, niż jak mowa :

- Mój Panie, przybyłem.

Falujący kształt Maga z Mgieł obrócił się ku selkie. Dimma skupił uwagę na istocie, dla której był prawdziwym i niekwestionowanym bogiem.

- Jak wykonałeś swą misję, Kleg ?

- Panie. O sześć dni jazdy na grzbiecie tej bestii, którą stworzyłeś, znajduje się las Leśnego Ludu. Ustaliliśmy, że składnik którego szukasz, tam właśnie się znajduje.

Mag z Mgieł pochylił się gwałtownie. Jego oblicze zamigotało na krótko jakby lekki podmuch wiatru na moment przepędził smugę mgły, i przez tę chwilę rysy twarzy stały się ostrzejsze.

Kleg poczuł nagły przyływ strachu i zimna w trzewiach ...

- Czy więc przyniosłeś mi tę rzecz ?

- Nie, Panie. Mieszkańcy Lasu są potężni i wrogo usposobieni. Podczas próby wykonania zadania, zginęło czterech z twych sług. Zostało nas tylko dwóch i ucieczka była najmądrzejszym wyjściem.

Dimma ponownie oparł się o tron. Selkie widział wyraźnie poprzez ciało swego władcy, konstrukcję z drewna i kości słoniowej.

- W boju możesz stanąć za trzech ludzi, Kleg !

- To nic, mój Panie. Oni są silni i zwinni, i dobrze znają swój teren. Nawet my nie mogliśmy ich pokonać.

Abet Blasa zamilkł na moment ...

- Czy jesteś pewien, że to czego pożądam znajduje się w lesie ?

- Tak, mój Panie.

- A więc ich siła i zwinność na nic się nie zdadzą. Dostanę to, co jest mi niezbędne. Musisz wykonać swe zadanie. Idź i zbierz swych braci. Tuzin, setkę, tak wielu jak potrzebujesz ... wszystkie stworzenia Sargasso są do twojej dyspozycji.

- Moje życie należy do ciebie - odparł Kleg, kłaniając się i wycofując z izby.

W rzeczy samej - pomyślał Dimma patrząc na odchodzącego selkie. Twoje życie i życie stu tysięcy innych jest niczym, w porównaniu z tym co muszę dostać.

Uniósł się i popłynął poprzez olbrzymią przestrzeń izby. Wszędzie gdzie się przemieszczał, gęsta mgła otaczała jego osobę, jakby kłęby oparów wypływały wprost z ciała Maga... i tak właśnie było.

Pięćset lat temu Dimma był młodym i głupim adeptem sztuki, pełnym arogancji i przeświadczenia o swej nieograniczonej mocy. Pewnego dnia postanowił zmierzyć się z potęgą Czarnoksiężnika z Koth - pomarszczonego, bezzębego starca, uznając, iż jego moc nie dorównuje wielkiej sławie. Ale tu się mylił. Może przeciwnik był bezzębny, ale mocy, ani znajomości mu nie brakowało sztuki. W wyczerpującej bitwie starzec został wprawdzie pokonany, lecz zdążył jeszcze rzucić klątwę na pyszałkowego Dimmę.

Łapiąc ostatnie hausty powietrza, umierający starzec zdołał się uśmiechnąć.

- Jesteś twardy - powiedział - nie ima się ciebie ogień ani żelazo ... ale od tego dnia ... to się zmieni ... twe ciało będzie poddawać się wszystkiemu ... stanie się mgłą ... w której zawsze będziesz

żył. Tak rzekłem i tak się stanie !

Potem starzec umarł, a Dimma nie przejął się jego słowami. Spodziewał się klątwy w takiej sytuacji. Obłożyło go, klątwą w chwili swej śmierci, już kilku adeptów sztuki magicznej, której zabił wcześniej. Jednak poradził sobie. Nie znaczyły dlań wiele. A przecież zabił nie byle kogo, bo kilku Magów Kręgu i Kwadratu. Pokonał też żółtych Czarnoksiężników Turanu i zmiażdżył niejednego ciemnoskórego pieśniarza magii z Zimbabwe. Jeden więcej mag i tyle.

Tak zdawało się na początku.

W miesiąc po pojedynku z Magiem z Koth, Dimma zabawiał się kobietą. Sięgnął ku niej i ... jego dłoń przeszła przez ciało niewiasty.

Dimma uciekł z tego miejsca i przekonał sam siebie, że padł ofiarą iluzji, albo nawet zbyt dużej ilości wina i słabego oświetlenia ... uwierzył w to wytłumaczenie. Ale z biegiem miesięcy klątwa starca z Koth rozkwitła z nasienia, w wielki i gorzki kwiat. Dimma stawał się niematerialny i nie mógł jej przewyciężyć, mimo, że znał na to wiele sposobów. Jednak nie udawało się. I coraz bardziej stawał się istotą z mgieł, a nie z ciała i kości. Wciąż mógł używać swej mocy, wciąż władał swymi sługami, którzy mogli wykonywać za niego zadania wymagające fizycznego kontaktu, ale przyjemności ciała stały się dlań niedostępne. Nie mógł jeść ni pić, nie mógł zażywać przyjemności z kobietami. Nie czuł zimna ani ciepła, nie mógł niczego dotknąć. Stał się duchem żyjącym w białych oparach. Istotą pokrewną bardziej mgie, niż ludziom.

Pięćset lat to jednak wiele czasu. Długie poszukiwania lekarstwa dały pewne efekty. Ze świętej jaskini w Stygii pochodził antyczny zwój będący jego częścią, z ruin świątyni na wyspie Sispath pochodził inny niezbędny składnik ...

Agenci Dimmy przemierzali Czarne Królestwa Kush, Darfar, Keshan i Punt podobnie jak północne, mroźne ziemie Vanaheimu i Asgardu. Żadne miejsce na ziemi nie było zbyt odległe, nie liczył się żaden koszt. Niektóre potrzebne składniki pochodziły wszak z czasów poprzedzających zatopienie Atlantydy...

Wreszcie Dimma zebrał wszystkie elementy niezbędne do zakończenia tej układanki ... wszystkie oprócz jednego. A on znajdował się niemal na jego ziemiach ! Będzie go miał za każdą cenę. Minęło dwadzieścia lat odkąd po raz ostatni, jedynie na mgnienie oka, stał się materialny. Nigdy zresztą nie wiedział czemu zawdzięcza te krótkotrwałe ucieczki spod władania klątwy ...

A teraz jego cierpienia miały się zakończyć, za kilka dni, może tygodni. I użyje całej mocy, jaką rozporządza aby tak się stało, nawet jeśli miałoby to zdruzgotać królestwo !

Dimma poczuł jak zbłąkany podmuch wiatru unióś go i przesunął. Ktoś zostawił uchylone drzwi lub otwarte okno i zapłaci życiem za ten błąd ! Wkrótce już nie będzie musiał cierpieć takiego poniżenia, a wtedy biada każdemu człowiekowi i każdemu stworzeniu, które stanie na drodze Dimmy. Biada !

1.

Wąska górską ścieżynką przecinała strome skalne zbocze, a luźne głązy, leżące w jej poprzek, nie ułatwiały marszu. Mimo to podróżujący tamtędy młody mężczyzna poruszał się szybkim i sprężystym krokiem. Był bądź co bądź Cymmerianinem, a tam skąd pochodził ludzie uczyli się wspinać po górach równocześnie ze stawianiem swych pierwszych w życiu kroków. Młodzieniec ów, w którego błękitnych źrenicach odbijały się promienie zachodzącego słońca, prześlizgując następnie się po szerokich barkach i czarnej grzywie włosów, nosił imię Conan. Jego cały strój stanowiła zarzucona na grzbiet, ledwo wyprawiona wilcza skóra, krótkie skórzane spodnie i sandały, których rzemienie opinały ciasno postawne stopy.

Chłodne górskie powietrze muskało dokuczliwymi podmuchami odsłonięte fragmenty jego ciała, ale zdawał się znosić to ze stoickim spokojem. Po lochach potężnego labiryntu podziemnych Czarnych Pieczar, w których zarówno on, jak i jego kompani umierali już dziesiątki razy, świeże powietrze było błogosławieństwem, niezależnie od temperatury.

Wędrowiec zmierzał do Zamory, do Shadizar miasta niegodziwców, gdzie planował zamienić swoje złodziejskie umiejętności, na jakieś bardziej lukratywne zajęcie. Mówiło się, że sprytem, silnym ramieniem i ostrym mieczem można było tam sporo zdziałać. Jeśli dodać do tego jego szybkość i kocią zwinność ... mógł liczyć na znaczną poprawę losu i zamierzał skorzystać z tej okazji. Był młody, ale w swym życiu doświadczył już wiele i nadszedł czas, by zasmakował także bogactwa.

Podróż jednak trwała dłużej niż sądził a bogowie wciąż rzucali mu kłody pod nogi. To prawda, że czasem przyczyną zwłoki były atrakcyjne kobiety, ale przygody jakich doświadczał, nie stawały się przez to mniej niebezpieczne. Nekromanci, czarnoksiężnicy i potwory ... jak każdy uczciwy człowiek nie przepadał za magią. Zaś po ostatnich spotkaniach z pustynną piękną Elashi, z nieżyjącą kobietą - zombi Tuane, z wiedźmą z jaskiń Chunthą, zastanawiał się, czy wciąż jeszcze pożąda towarzystwa kobiet. W każdym razie teraz był sam i chwala za to bogom.

Ścieżka, którą szedł, nieco poniżej skręcała ostro w prawo i właśnie zza tego zakrętu dobiegł do jego uszu podejrzany dźwięk. Był ledwo słyszalny nawet dla jego wyostrzonych zmysłów, nie mniej mężczyzna zatrzymał się gwałtownie i dobył swego starożytnego miecza, o ostrzu w błękitnym odcieniu żelaza. Broń była ciężka i nie posiadała ozdób. Rękojeść otaczała zaledwie

skóra. Jej zdobycie Conan okupił swego czasu potyczką z żywym szkieletem jakiegoś antycznego wojownika. Ostrze miecza było jak brzytwa i nowy właściciel bardzo dbał o jego stan, polerując kamieniami po każdym, najmniejszym nawet użyciu.

Uchwyciwszy miecz oburącz, w sposób podpatrzony u kapłanów-wojowników z górskiej świątyni, Conan postąpił kilka kroków naprzód pilnie bacząc, by nie potrącić najdrobniejszego nawet kamyczka zaścielającego górską ścieżkę. Ten dźwięk nie musiał oznaczać niebezpieczeństwa, ot mógł ukruszyć się kawałek skały, czy przemknąć tamtędy jakieś małe zwierzątko. Ale Conan nie pożyłby długo, przy trybie życia jaki wiódł, gdyby lekceważył takie drobiazgi. Jego bogiem był Crom. A Crom dawał swym poddanym tylko jeden dar - siłę i rozum w momencie urodzenia - dalej musieli już radzić sobie sami. Jeśli któreś z dzieci Cromy użyło swych pierwotnych darów w niewłaściwy sposób, szkoda było nawet marnować ostatni dech by wzywać pomocy boga.

Przylegając plecami do skalnej ściany, która ograniczała ścieżkę z prawej strony, Conan podszedł do zakrętu. Uniósł miecz pionowo w górę, by nie zdradził przedwcześnie jego obecności, po czym zdecydowanym krokiem wychylił się zza skalnego załomu, opuszczając ostrze na wysokość ludzkiego gardła.

Tuż za zakrętem ścieżka rozszerzała się znacznie. Zobaczył, że brakowało wyraźnie fragmentu skały, który oderwał się stąd nadgryziony zębem czasu i warunkami atmosferycznymi. W tej naturalnej niszy stała zaś półnaga kobieta. Oparta plecami o skałę, trzymając w zaciśniętych dłoniach długą włócznię, szykowała się do rozpaczliwej obrony przed pięcioma otaczającymi ją półkolem smokami, nie większymi wszakże od człowieka. Szósty z gadów leżał nieopodal na grzbiecie w ciemnej kałuży czegoś, co jak przypuszczał Conan było jego posoką. W zaciśniętych szponach trzymał strzęp materiału, który jako żywo pasował kolorem do przepaski na biodrach, noszonej przez kobietę. Najwyraźniej zdobyty fragment ubrania kosztował gada sporo.

Jako, że w głowie Conana wciąż kłębiły się wspomnienia niedawnych przygód, pierwsza myśl, jaka go naszła, nie była oryginalna - o nie, znów kobieta !

Smoki stały w postawie wyprostowanej. Miały zielonkawe - szare łuski, a ich nozdrza i żółte oczy dobrze pełniły swoje funkcje. Najbliższy z nich, czy to wiedziony zmysłem wzroku czy węchu, a może słuchu, zwrócił błyskawicznym ruchem łeb w jego stronę by za moment skierować go znów ku swej pierwszej ofierze i jeszcze raz ku Cymmerianinowi. Cichy przeciągły syk istoty zwrócił uwagę pozostałych gadów na intruza.

Conan zastanowił się, jak szybkie mogą być te stwory. Czy zdążyłby po prostu odwrócić się i

uciec za zakręt ? Raczej nie. Ścieżka za zakrętem była bardzo wąska ... i kobieta ...

Spojrzał na nią uważniej i dostrzegł na jej ramieniu krwawe szramy. A więc ona także odczuła stratę ubrania. Mimo tak krótkiego spojrzenia Conan zauważył, że jej ramiona były ładnie zbudowane i jędrne. To samo zresztą mógł powiedzieć o jej nagich piersiach. Była znacznie bardziej umięśniona niż większość kobiet jakie widział. Wyraźnie dostrzegł grę ścięgien pod jej ciemną skórą, gdy zacisnęła mocno dłonie na drzewcu włóczni. Widok był, mimo sytuacji w jakiej się znajdowali, przyjemny i nawet jeśli postanowił przez czas jakiś unikać kobiet, ta wydała mu się interesująca.

Gad znów zasyczał, i dwa kolejne zwróciły się już wyraźnie przeciw Conanowi, a pozostałe wciąż wpatrywały się badawczo w kobietę.

- Lepiej uciekaj cudzoziemcze - jej głos zabrzmiał raczej spokojnie. - To są Korgowie, psy gończe Pilich.

Conan nie miał pojęcia, kim są Pili i nie bardzo też o to dbał.

- Idę na południe. Czy te ... eh, Korgowie pozwolą mi przejść ?

- Nie, cudzoziemcze.

- A zatem, trzeba postąpić z nimi jak z wściekłymi psami, jak by nie wyglądali. - odparł Conan, zmieniając położenie dłoni na rękojeści miecza. - No chodźcie bękarty ! - krzyknął ku smokom.

Nie czekał jednak na ich relację. Uniósłszy miecz nad głowę, jak drwał siekierę, skoczył w kierunku potworów. Pierwszy ze smoków został chyba zaskoczony tą nagłą szarżą. Zdołał wprawdzie kłapnąć zębami, które miały długość co najmniej ludzkich palców, ale nim zdążył użyć swej groźnej broni, Conan spadł na niego jak burza. Ostrze świsnęło w chłodnym, wieczornym powietrzu, a gdy dosięgło celu, czaszka potwora rozpadła się na dwie części, a on sam padł, martwy już, nim jeszcze zdołał dotknąć ziemi. Conan zaś skręcił gwałtownie w lewo, by przyjąć szarżę drugiego Korgi, który z sykiem i warczeniem wpadł na niego. Szczęki smoka kłapnęły głośno chybiąc o włos, gdyż Conan raptownie odskoczył. Uderzył przy tym mieczem i dosięgnął celu. Broń wszakże spadła na grubą łuskę pod złym kątem, więc zazgrzytała tylko na twardej powierzchni, wyrywając niewielki kawałek ciała. Potwór zaryczał donośnie i cofnął się o kilka kroków, uderzając gniewnie swym grubym ogonem.

Conan dostrzegł atak trzeciego potwora ale nie zdążył zareagować. Stwór zbliżył się za szybko. Uderzył weń i zwałił go z nóg. Upadając zaś, Cymmerianin wypuścił z dłoni miecz, który

brzęknął o skałę, upadając o metr od niego. Powalony mężczyzna zdołał wprawdzie przekręcić się na brzuch po czym natychmiast zerwał się, gotów do dalszej walki, ale rozwarta paszcza szarżującego Korgi była już przy nim więc nie mógł dosięgnąć na czas miecza. Niewiele myśląc wepchnął swą gołą dłoń w paszczę gada, z nadzieją, że ten udławi się, nim odgryzie mu ramię. Szczęki jednak nie zacisnęły się. Smok zacharczał dziwnie i wylądował całym swym ciężarem na Cymmerianinie. Co u ... ???

Z jego karku sterczało zakrwawione drzewce włóczni. To kobieta poświęciła swą broń by go ratować !!!

Conan zerwał się błyskawicznie, chwycił swój miecz i pognął w jej kierunku. Biegąc dostrzegł, że kobieta unosi odłamek skalny, wielkości kurzego jaja i ciska nim w jednego z dwóch wciąż przyglądających się jej Korgów.

Trafiła wprost w jego pierś, aż się zachwiało. Przyłożył łapę do rany i wydał z siebie coś pomiędzy sykiem, a skowyt, jak kot przypalony ogniem. Zaś smok, którego Conan zranił na samym początku, znów stanął mu na drodze, próbując powstrzymać szarżującego Cymmerianina. Conan jednak uderzył całą siłą swego potężnego ramienia i ostrze miecza zahaczyło o gardziel bestii. To już trzeci, który leżał w agonii. Jeszcze dwa.

Kobieta cisnęła następnym kamieniem, ale tym razem Korga dopadł ją i uchwycił w szpony. Uniósł nieco nad ziemię i Conan pojął, że nie zdoła zdążyć na czas. Gad rozwarł szczęki tuż przy jej twarzy ...

Jeden szybki ruch i palec kobiety dźgnął prosto w smocze oko.

Korga zraniony tak nieoczekiwanie, a dotkliwie, upuścił swą niedoszłą ofiarę i złapał się za zranione oko. Zatańczył wściekły taniec bólu i gniewu. I był to jego ostatni taniec, bo w tej właśnie chwili spadł na niego cios Conana. Miecz wbił się głęboko w jego cielsko. Jeśli można powiedzieć, że jaszczur ma zdumiony wyraz pyska, to ten właśnie miał, na chwilę przed tym, jak jego dusza uleciała ku Szaremu Brzegowi, by połączyć się z tymi, którzy odeszli przed nim.

Ostatni z Korgów, ten który wcześniej oberwał odłamkiem skalnym, znalazł się nagle sam naprzeciw dwóch przeciwników. W tym momencie w jego brzuch trafił następny celny kamień, a Conan zbliżał się ku niemu w niedwuznacznych zamiarach, z okrwawionym mieczem w dłoni. Potwór najwyraźniej uznał, że wystarczy, bo odwrócił się gwałtownie i zaczął umykać. Trzeci kamień rzucony przez kobietę niestety chybił, zaś gad rzuciwszy się w dół ze skalnej ścieżki, rozpostarł skrzydła. Dalej nie bardzo mogli go ścigać i prawdę rzekłszy, Conanowi specjalnie na tym nie zależało. Postąpił tylko kilka kroków w jego kierunku, wymachując bronią i pokrzykując

groźnie ale uznał, że to powinno wystarczyć, by skutecznie odpędzenia wroga.

Dopiero teraz odwrócił się ku kobiecie, która w międzyczasie wyrwała swoje ubranie ze szponów martwego gada. Conan obserwował w milczeniu jak zakłada podarty wprawdzie, ale wciąż nadający się do noszenia, pozbawiony rękawów, kaftan i ściąga go w pasie. Szkoda ... była nieźle zbudowana mimo rozbudowanych mięśni. Najwyraźniej jego niechęć do kobiet nieco osłabła, jakby zacierały się wspomnienia ostatnich miesięcy.

- Zawdzięczam ci życie, cudzoziemcze - powiedziała uśmiechając się.

Conan wskazał czubkiem miecza na drzewce sterczące z karku martwego potwora.

- Ja też zawdzięczam ci co nieco. Powiedzmy, że jesteśmy kwita.

- Niech tak będzie. Jestem Cheen, uzdrowicielka z Leśnego Ludu - sięgnęła po swą włócznię.

- Mnie zwą Conan ... z Cymmerii.

- Witaj, przybyszu z dachu świata.

- Znasz Cymmerię ?

- Słyszeliśmy o niej. Nasze siedziby są o pół dnia drogi stąd. Czy zechcesz zatrzymać się tam, odpocząć i zjeść z nami ?

Conan był na szlaku od wielu tygodni i prawdę rzekłszy nie tęsknił za towarzystwem, ale kobieta, która z takim spokojem potrafiła zarżnąć smoka, zaintrygowała go.

- Tak ... cel mojej podróży może poczekać.

- Chodź zatem. Wkrótce się ściemni i powinniśmy znaleźć dobre miejsce na obóz. Tutejsze góry nie są bezpieczne nocą.

Conan spojrział na powalonego potwora.

- Dzień chyba też nie należy tu do bezpiecznych ?

- W nocy jednak dzieją się rzeczy, przy których psy Pilich są jak nieporadne szczeniaki - odparła.

- W takim razie poszukajmy miejsca na obóz.

Gdy wędrowali górską ścieżyną Cheen opowiedziała Conanowi o Pilich.

- Są podobni do ludzi, - mówiła - ale również spokrewnieni z Korgami. W ich żyłach płynie ciepła krew gadów. Zamieszkują pustynię leżącą o dwa dni drogi od naszych siedzib. Pożerają ludzi, których uda im się schwytać.

Conan zastanowił się przez chwilę.

- Czy można dostać się do Shadizar nie przecinając tej pustyni ?

- Tak, można ominąć ich terytorium.

- Dobrze.

Conan nie obawiał się żadnego człowieka w otwartej walce, ale przemierzanie pustyni zamieszkałej przez kanibali i używających smoków, jako psów gończych ... to nie była sympatyczna perspektywa.

Nie pytał co Cheen robi samotnie w tak niebezpiecznej okolicy, to nie był jego interes. Ale ona sama postanowiła uchylić rąbka tajemnicy.

- Przez ostatnią fazę księżyca poszukuję rośliny, która rośnie na tych wzgórzach. Rodzaj grzyba, którego używamy podczas ceremonii religijnych. Rosną wyłącznie na odchodach górskich kozic, a te z kolei są niestety ulubioną potrawą Pilich ... jeśli nie mogą zdobyć ludzkiego mięsa.

Conan przytaknął głową ze zrozumieniem. Religia była inną formą magii. On zaś osobiście wolał nie mieć nic wspólnego z żadną z nich i nie zazdrościł wcale tym, którzy mieli.

- Zebrałam dosyć do następnej ceremonii jasnowidzenia - rozsypała małą sakiewkę u pasa i pokazała Conanowi zalatujące odchodami, małe brązowe grzybki. - Prawidłowo przyrządzone i poświęcone, pozwalają doświadczyć spotkania z bogami.

Conan wzruszył ramionami. Na takie spotkania też nie miał nigdy ochoty. Wolał spotkania z dobrym winem i jadłem, z poręczną bronią i zgrabnymi kobietami. A wszystko to powinno być dostępne dla bogatego złodzieja w Shadizar. Niech kapłani spotykają się z bogami, normalny człowiek ma dość kłopotów i bez tego.

Gdy słońce dotknęło zachodniego horyzontu, dotarli na szeroką półkę skalną, położoną na poziomie około czterech metrów. Cheen wspinała się dobrze. W rzeczy samej lepiej, niż kobiety, jakie Conan kiedykolwiek widział podczas wspinaczki. Była jak pajak, gdy pięła się po skalistym zboczu, znajdując szczeliny na palce i stopy w miejscach, gdzie ciężko byłoby je znaleźć nawet

Cymmerianowi.

Będąc już na półce, wzniesli na obu jej brzegach wysokie kamienne piramidy, tak że nic większego od królika nie mogłoby się do nich zbliżyć, nie robiąc hałasu. Zeschnięte krzaki dostarczyły surowca na małe ognisko. Jego rozpalenie zajęło zaledwie kilka chwil, jako że Conan posiadał hubkę i krzesiwo. Miał też bukłak z wodą i kilka pasków suszonego mięsa wiewiórki, którymi podzielił się z towarzyszką.

Tymczasem zaś zapadła noc. Była zimna i małe ognisko niewiele tu mogło pomóc. Conan zaproponował dziewczynie ciepło swego płaszcza z wilczej skóry, ale Cheen odmówiła z uśmiechem. Być może domyśliła się, że chciał z nią dzielić coś więcej niż tylko postanie. Kobiety zawsze wiedziały takie rzeczy, odkrył to już dawno temu, choć wciąż nie miał pojęcia jakim sposobem.

Podczas swych wędrówek Conan spotkał wielu mężczyzn, ale nigdy takiego, który twierdziłby, iż rozumie kobiety. No nie ... był taki jeden, co mówił, że wie dokładnie czego chcą kobiety, ale on twierdził również, że świat jest okrągły jak kula ... i że może latać, jeśli będzie machał rękami jak ptak. Zresztą próbował udowodnić swoją teorię, skacząc z dachu najwyższej budowli w wiosce, w której mieszkał. Była to wieża dziesięciokrotnie wyższej od człowieka ... hmm nie przeżył tego eksperymentu.

Był głupi jak opita winem świnia ...

Zastanawiające, czy kiedykolwiek w dziejach, chodził po ziemi mężczyzna, zdolny pojąć kobiety ? Z tą myślą Conan odpłynął w krainę snów.

2.

Ranek przyszedł nagle. Promienie wschodzącego słońca znad wschodnich szczytów wzgórz, skąpały w różowo-żółtym blasku półkę, na której spali Conan i Cheen. Conan ocknął się natychmiast z czujnego snu, co prawda z lekko zeszywniałym karkiem, łóżko jednak było litą skałą.

Kobieta zbudziła się gdy Cymmerianin ponownie rozpałił ognisko, nad którym z rozkoszą rozgrzewał zdrtwiałe od porannego chłodu dłonie.

- Dobrze spałeś ? - spytała.

- Taa, jak zawsze.

Spożyli ostatnie kawałki mięsa z zapasów Conana, popijając wodą z bukłaka. Potem zaś opuścili się po zboczu góry, przy czym Conan mógł jeszcze raz podziwiać sprawność swej towarzyszki. Poruszała się jak śnieżna małpa w jego rodzinnej Cymmerii, nie straciła równowagi ani nawet ni razu się nie ześlizgnęła. Ponieważ zawsze cenił wysokie umiejętności ludzi nie omieszkał wspomnieć o tym Cheen, gdy tylko znaleźli się znów na ścieżce.

Uśmiechnęła się.

- Tam skąd pochodzę, nieco się wspinamy. Ale muszę wyznać, że jestem w tym najgorsza spośród mego ludu. Dobrze, że jestem uzdrowicielką, bo bardzo kiepski byłby ze mnie łowca.

Conan nie odparł ani słowa, ale był zaskoczony tym co usłyszał. Jeśli ona była najgorsza jak musiał wspiąć się ten, który był w tym najlepszy ? Byłby równie zwinny jak Cymmerianie ?

Słońce stało już wysoko nad horyzontem. Conan podążał śladem Cheen, ku zielonej dolinie widocznej z daleka. Jakiś bóg bardzo lubił to miejsce i nie żałował mu głębokich barw ... zieleń, odcienie szmaragdu i oliwek ...

Ścieżka wiła się wąską serpentyną opadając w dół skalnego zbocza. I właśnie z tego powodu Conan dostrzegł las dopiero w momencie, gdy wkroczyli między pierwsze drzewa. Przez chwilę zastanowił się nawet czy coś nie stało się z jego uszami - tak blisko wielkiego lasu, powinien z daleka usłyszeć jakieś charakterystyczne dlań odgłosy. Ale nie ... wkrótce na własne oczy zobaczył

wyjaśnienie tej zagadki.

Las był jednak nieco dalej niż myślał, a to z powodu wielkości drzew. Na pierwszy rzut oka drzewa wyglądały jak olbrzymie dęby, ale Conan szybko zrozumiał, że ogląda tak olbrzymie okazy, jakich nigdy dotąd nie widział. Drzew były setki i o ile wzrok nie płatał mu jakichś figli, wszystkie tak gigantycznych rozmiarów. Były co najmniej trzykrotnie wyższe od normalnych drzew i na Croma, musiały być z pięćdziesiąt razy wyższe niż człowiek - rośliny sięgające dachu świata. A gdy już zanurzyli się w ten las, Conan dostrzegł wiele domów umieszczonych na konarach. Prawdziwa podniebna wioska. Niektóre zabudowania były stosunkowo nisko, może dziesięć razy wyżej niż sięgały jego uniesione ręce, inne znajdowały się na niebotycznych wysokościach.

Dziwny las nie miał poszycia, co najwyżej dywan z opadłych liści. Być może - pomyślał - dlatego, iż te olbrzymy nie dopuszczały niżej słonecznego światła.

Nawet gdyby Conan miał kilku towarzyszy, o takiej jak on posturze, nie zdołaliby chwytając się za ręce, objąć pnia największego z tych gigantów. A i mniejsze okazy były olbrzymie w porównaniu ze wszystkimi drzewami, jakie dotąd widział.

- Oto mój las - powiedziała Cheen.

- Twój lud mieszka na drzewach ? - spytał Conan.

- Tak. Na drzewach się rodzimy, na drzewach żyjemy i tam umieramy.

- Teraz rozumiem skąd umiesz tak dobrze się wspinać.

- Jeśli chodzi o ścisłość twoje umiejętności też są niemałe. - uśmiechnęła się w odpowiedzi - ... zwłaszcza jak na twoje ... rozmiary. Żaden z naszych mężczyzn nie jest tak wielki.

Stanęli koło pnia najbliższego z drzew i Conan spojrzał w górę na jego koronę. Imponujące konary rozpościerały się we wszystkich kierunkach, nieco węższe w górnych partiach. Kora była gładka. Przesunął po niej dłonią. Miała lekko czerwony kolor, gdzieniegdzie zdarte warstwy zewnętrzne, ujawniały jaśniejszy odcień wewnątrz. Liście były długie, trójpalczaste, rozmiarami dorównywały męskiej dłoni a ich kolor był ciemnozielony, wpadający niemal w czerń. U podnóża pnia Conan dostrzegł rozciągnięty płat skóry, mniej więcej wielkości tarczy, ciasno opięty na otworze w drzewie. Cheen podeszła doń i używając rękojeści swej włóczni, uderzyła w ten przypominający bęben twór. Rozległa się rytmiczna seria dźwięków.

Zaledwie skończyła, gdy z najniższych konarów drzewa coś opadło ku nim gwałtownie. Conan w mgnieniu oka dobył miecza, gotów do cięcia.

- Stój ! - powiedziała Cheen - Nie ma w tym niebezpieczeństwa.

W rzeczy samej Conan dostrzegł to już, nim skończyła zdanie. To co leżało u jego stóp, było czymś w rodzaju ruchomej drabinki. Podszedł doń bliżej i przyjrzał się uważnie. Wkonano ją ze splecionych roślin, była jednak bardzo solidna a regularne supły tworzyły wygodne oparcie dla dłoni i stóp wspinającego się. Schował miecz.

- A gdyby przyszedł tu wróg i uderzył w ten bęben ?

- Każdy z Leśnego Ludu ma swą pieśń - wyjaśniła - Każda jest inna, a strażnik zna je wszystkie. Nieznana pieśń ściągnęłaby tu włócznie i strzały.

Conan przytaknął ze zrozumieniem. Atak na drzewo byłby bardzo trudny. Kilkunastu mężczyzn musiałoby pracować cały dzień, by ściąć takiego olbrzyma siekierami, a deszcz strzał, oszczepów, czy nawet kamieni, nie ułatwiłby tego zadania. Brak suchego poszycia zabezpieczał w dużej mierze przed ogniem, a żeby podpalić taki pień bezpośrednio, trzeba by naprawdę olbrzymiego płomienia. Conan ocenił to zresztą jednym rzutem oka. Mimo swego doświadczenia wolałby nie dowodzić armią walczącą z Leśnym Ludem.

- Wchodzimy ? - spytała Cheen.

- Proszę - wskazał dłonią linę.

Uprzejmość opłaciła się - pomyślał spoglądając w górę, zgrabne nogi Cheen były niezwykle atrakcyjnym widokiem.

Wspięli się na górę i Cheen została powitana przez niską, kręłą kobietę. Sądząc po włóchni i obsydianowym sztylcie, dłuższym niż przedramię Conana, była to strażniczka. Na konarze leżał oparty o pień łuk i kołczan pełen strzał, jak również spora kupka głazów dorównujących wielkością głowie człowieka. Tak jak Conan przypuszczał - wejść tutaj bez zaproszenia byłoby dość niebezpiecznie. Nawet samo utrzymanie równowagi na konarze nie było proste, mimo iż był co najmniej równie szeroki jak barki Cymmerianina i najwyraźniej wygładzony przez ludzi.

Conan zdjął swe sandały jeszcze przed wspinaczką po drabinie i teraz podążając za Cheen uznał, że najlepiej będzie pozostawić je tam gdzie są, czyli przewieszane przez ramię.

Przed nim znajdowała się spora budowla. Jej podstawę stanowił konar, po którym właśnie stapał, a ścianki wznosiły się wyżej sięgając kolejnych gałęzi. Conan dostrzegł, że dom jest

zbudowany z samych właściwie konarów drzewa, połączonych pędami roślin, takimi jak te tworzące linię, po której dopiero co się wspinał. Była to niewątpliwie konstrukcja wykonana przez ludzi ale nie odróżniała się od otoczenia bardziej, niż gniazdo pszczoł albo szerszeni zawieszona na pniu drzewa. W jej drzwiach stały dwie kobiety ubrane podobnie do Cheen, podobnie też były umięśnione. Każda trzymała w dłoniach włócznię, której tępy koniec opierał się o konar stanowiący podstawę domu.

Znów kobiety. Gdzie więc byli mężczyźni ?

Strażniczki najwyraźniej rozpoznały Cheen, bo przepuściły ją bez słowa. Conan zaś szedł w ślad za nią.

Otwory w suficie tego pomieszczenia wpuszczały dość słonecznego światła, by zapewnić dobrą widoczność. Pierwsze co Conan dostrzegł wchodząc, to długie, niskie łóżce pod jedną ze ścian. Potem zauważył też stojące pośrodku rzeźbione krzesło, zwrócone ku otworowi pełniącemu funkcję okna. Na krzesle zaś siedziała kobieta. Stara kobieta, widział wyraźnie jej mlecznobiałe włosy i pokrytą grubymi zmarszczkami twarz. Była odziana w tkaninę o niezwykle żywym odcieniu zieleni, która zdawała się wręcz migotać w przytłumionym świetle, wewnątrz izby. Conan zwrócił też uwagę na jej nagie ramiona. Mimo, iż była stara widział pod jej skórą wyraźne zarysy ścięgien i mięśni.

- Witaj, Vares ! - zawołała do niej Cheen.

Starsza kobieta odwróciła się od okna i uśmiechnęła szeroko.

- Hej Cheen. Poszło dobrze jak widzę ?

Cheen uniosła sakwę z grzybami, które wcześniej pokazywała Conanowi.

- Tak, Pani. Możemy znów wezwać bogów.

Vares skinęła głową.

- To dobrze. Obawiałam się, że następnym razem spotkam się z nimi dopiero po przebyciu Szarych Ziem... - teraz dopiero spojrzała uważnie na Conana - Przywiodłaś nam gościa ?

- Tak, Pani. To jest Conan z Cymmerii. Kiedy zostałam osaczona na przełęczy Donar przez psy Pilich, przyszedł mi z pomocą.

Stara kobieta uśmiechnęła się.

- Przyjmij wyrazy mojej wdzięczności Conanie z Cymmerii. Strata najstarszej córki byłaby dla mnie bardzo bolesna.

- To była to ci dopiero. - roześmiała się Vares - Mężczyzna, który nie przechwala się swoimi czynami.

Conan spojrział niepewnie na Cheen unosząc pytająco brwi.

- Pomiedzy moim ludem - wyjaśniła dziewczyna - mężczyźni są ... eee ... gawędziarzami. Czasami nieco ... upiększają swoje przygody.

- Nie widziałem tu jeszcze ani jednego mężczyzny - powiedział Conan.

To być może było zbyt bezpośrednie ale Cymmerianie nie słynęli z wyszukanych manier. I chociaż podczas swych podróży przez tak zwane cywilizowane kraje, Conan zdążył się już nauczyć, że umiejętność kłamstwa i kręactwa traktuje się tam jak cnotę, to sam nie mógł do tego przywyknąć.

- Ach. Więc chodź i zobacz - odpowiedziała Vares - Tair właśnie uczy Hoka wiosennego tańca - wskazała otwór okienny.

Conan podszedł i wyjrzał na zewnątrz.

Konar za oknem zwał się dość znacznie w niewielkiej odległości od domu Vares. Gałęzie sąsiedniego drzewa krzyżowały się z nim przechodząc zarówno wyżej jak i poniżej. Wszędzie gdzie spoglądał widział istną płataninę konarów, niektóre grubości uda dorosłego mężczyzny. Większość pozbawiona liści.

Wzdłuż jednego z wąskich konarów biegł szybko niski, choć dobrze zbudowany mężczyzna, którego jedyny strój stanowiła zielonkawej barwy przepaska na biodrach. Biegł jakby konar był szeroką drogą i w dodatku zanosił się przy tym śmiechem. Zaledwie o kilka kroków za nim podążał młody chłopiec, który jak oceniał Conan, mógł mieć dwanaście wiosen. Odziany był podobnie, w skrawek materiału powyżej ud.

Conan patrzył zaintrygowany jak pierwszy z biegnących wykonuje nagły skok w górę i ląduje tuż przy końcu konara. Tam było naprawdę wąsko, gałąź aż wygięła się wyraźnie pod ciężarem skoczka. Upadnie ...

Nie. Nim gałąź wyprostowało się, mężczyzna już znów szybował w powietrzu. Z dodatkowo nadanym przez konar impetem, zdawał się lecieć jak ptak. Będąc w górze zwinął się nagle w kulę i wykonał przewrót do przodu jak akrobata, którego popisy Conan, będąc małym chłopcem, oglądał. Skoczek wyszedł z obrotu z rozwartymi szeroko ramionami i uchwycił gałąź drzewa znajdującą się znacznie wyżej niż ta, której użył do wybicia się. Okręcił się wokół niej jednym płynnym ruchem i na mgnienie oka zawisł na niej głową w dół, używając nóg jako punktu zaczepienia. Pod nim zaś

znajdował się chłopiec, który właśnie wybijał się w górę. On też, idąc za przykładem nauczyciela, zwinął się w kłębek i wyprostował gwałtownie po dokonaniu obrotu, wyciągając w górę ręce. Spotkali się w powietrzu i uchwycili nawzajem swe nadgarstki. Przez moment kołysali się wisząc w powietrzu, aż mężczyzna naprężył mięśnie i płynnym ruchem pchnął chłopca w górę. Ten wylądował miękko na górnej gałęzi, a moment później jego towarzysz siedział tam obok niego.

- Ten starszy to Tair - powiedziała Cheen - A chłopiec ma na imię Hok. To drugie i najmłodsze dziecko mojej matki.

- Twoi bracia ? - upewnił się Conan.

- Tak.

- Niebezpieczna zabawa. A gdyby Tair nie chwycił chłopca ?

- Nim opadłby na ziemię mijałby jeszcze wiele konarów - wzruszyła ramionami Cheen - zapewne któryś by chwycił.

- A jeśli nie ?

- Życie jest pełne niebezpieczeństw.

- Tak - przytaknął Conan.

Także w Cymmerii nie każdy dożywał dorosłego wieku. Twardzi ludzie, ci tutejsi.

- Chodź - usłyszał głos Cheen - Dzieliłeś ze mną swą żywność i wodę. Teraz ja chcę ci dać tyle, ile może zaoferować nasze skromne drzewo.

Kleg nie lubił być tak daleko od wody a już zwłaszcza nie cierpiał terenu takiego jak ten - suchego piasku, który ludzie nazywali pustynią. To prawda, że mieli przebyć tylko niewielki fragment pustyni, zaledwie przecinali łąd należący do jaszczurów.

Jeśli Pili ich tu odkryją niewątpliwie będą wściekli i zakończy się to morderczą walką, ale ten skrawek ich ziem był daleko od głównych siedzib tych śmierdzących gadów. Mogli więc przemknąć się niezauważeni. Lepiej by tak było.

Stwórca nakazał udać się do Leśnych Ludzi najkrótszą drogą, a omijanie terytorium Pilich zajęłoby dwa dodatkowe dni. Nie można było nie posłuchać rozkazu Stwórcy. Ci, którzy tego próbowali, zazwyczaj nie żyli nawet wystarczająco długo, by zdążyć choćby pożałować swego

nieposłuszeństwa.

Kleg wiercił się niezadowolony na grzbiecie scrata, głupiego i złośliwego, czteronogiego zwierzaka. Nie dosyć, że jego skóra była twarda to jeszcze mokra, jak skała pokryta wilgotnym mchem, i jeszcze gryzł każdego, kto nieostrożnie nawinął mu się pod pysk. Zwierzak był duży. Stojąc na czterech nogach sięgał do piersi Klega. Był roślinożerny i najchętniej przeżuwałby coś przez całe swe życie, gdyby mu pozwolić. Z drugiej strony magazynował duże ilości jedzenia i wody w swych garbach, które dźwigał na grzbiecie i mógł w razie potrzeby obywać się tygodniami bez pokarmu i picia. Gdyby tylko Stwórca dał tym bestiom bardziej uległy charakter i lepszy zapach niż ten, przypominający odór zdechłej ryby.

Kleg obejrzał się na swych żołnierzy. Podążała za nim dwudziestka braci Selkich, część na scratach, pozostali pieszo i wszyscy wyglądali na równie niezadowolonych z tej pustyni, jak Kleg. Jakże wolałby być teraz w chłodnej wodzie, jakże wolałby mieć swoje prawdziwe ciało - długie, smukłe, ozdobione rzędami ostrych kłów i płetwami tnącymi wodną toń, polować, przyzywać uległe samice ...

Marzysz Kleg ! - napomniał się. - Stwórca nie stworzył cię dla twych przyjemności, lecz byś mu służył. Może jeśli dostarczysz Mu rzecz, której pożąda, zezwoli na pewne przyjemności, ale zanim to nastąpi, zajmij się swą misją. Pamiętaj co stało się z tymi, którzy go zawiedli.

Kleg zadrżał na wspomnienie losu poprzedniego Pierwszego Brata. Stwórca wyznaczył mu zadanie a on go zawiódł. Po karze jaką poniósł zostały z niego tylko ochłapy mięsa, którymi potem nakarmiono padlinożerców. Nawet te ochłapy mięsa zdawały się jeszcze krzyczeć z bólu ...

Kleg, myśl o chłodnej, ciemnej wodzie go osiągnięciu celu, nie przed tym.

W głębokich podziemiach głównej pieczary Pilich, Rayk zasyczał w kierunku Thayli, królowej i swej samicy.

- Wiedzmo ! Czego ty ode mnie chcesz ?

Królowa Pilich poruszyła się na stosie miękkich poduszek, na których spoczywała. Cieniutka, prawie przezroczysta szata, w którą była odziana, odsłoniła niemal całkowicie jej białobłękitne nagie ciało.

Kiedyś Pili byli pokryci łuskami. Kiedyś, przed milionem lat. Teraz jednak, w wątlym świetle, niemal przypominali ludzi. Nie mieli włosów, a ich uszy były nieco mniejsze. Byli też stałocieplni,

żyworodni i karmili swe młode jak ssaki.

Kształty Thayli były niewątpliwie kobiece. Miała szerokie biodra, pełne i ciężkie piersi a wąskie usta i kocie tęczołki oczu nie ujmowały nic jej egzotycznej urodzie.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Ależ nic mój mężu i królu. Gdyż ty nigdy nic nie robisz.

Patrzyła spokojnie na jego wzrastający gniew. Dokładnie wiedziała jak rozwścieczyć Rayka. Był najsilniejszym z Pilich, najszybszym biegaczem, nie znał lęku ... ale w jej rękach był jak bezradne dziecko.

- Thayla !

- Zaczekaj mężu. Masz rację. Leśny Lud jest silny siedząc na swych wysokich drzewach. Oczywiście, gdybyśmy mieli Talizman Lasu, my też moglibyśmy spowodować bujny wzrost roślinności na naszej pustyni. Nie musielibyśmy dłużej wieść tej nędznej wegetacji.

- Mówisz o nędznej wegetacji odziana w najlepsze jedwabie i wylegując się na takiejż poduszce ?

- Jestem królową - odparła - Luksus jest moim prawem. Ale nie wszyscy z nas mają tyle szczęścia.

- Będą go mieć znacznie mniej, jeśli powiodę ich na rzeź dla zaspokojenia twoich szalonych ambicji.

- Musi więc być inna droga.

- Zapewne musi, ale żaden Pili przez ostatnie tysiąc lat jej nie odnalazł.

- A czyż bardowie nie będą zawsze o tobie śpiewać, jeśli to właśnie ty ją odkryjesz.

Stał w milczeniu spoglądając na arrasy utkane przez Siódmą Królową niemal dwanaście wieków temu. Tkaniny przedstawiały legendarnego Stalka, Pierwszego Króla, wiodącego wielką armię Pilich do bitwy pod Aranza, do bitwy przeciwko ludziom. Bardowie wciąż śpiewali pieśni o tym boju, który zakończył się wygnaniem ludzi z królestwa Pili. Ale było to wieki temu. Liczba Pilich zmniejszyła się, podczas gdy ludzie wciąż się mnożyli. Było ich zaledwie kilka setek.

- Tak - powiedział cicho Rayk - Mając ten magiczny przedmiot, moglibyśmy podążyć w głąb Wielkiej Pustyni, poza zasięg ludzi. Moglibyśmy odbudować dawną potęgę.

- A więc - powiedziała Thayla - może coś wymyślimy wspólnie. Ty i ja ...

Uniosła nogi pozwalając czerwonemu jedwabowi zsunąć się powoli. Jej ciało było teraz całkowicie nagie a uśmiech zachęcał i kusił.

Rayk wziął głęboki wdech i wypuścił głośno powietrze. Zbliżył się ku niej powoli.

- Może ... - odparł - Jego głos nie był głośniejszy od szeptu - Jesteś wyuzdaną dziwką...

Roześmiała się.

- Tak mój mężu. Więc chodź do swej dziwki.

Poczęstunek, który zaproponowano Conanowi nie był bynajmniej skromny. Postawiono przed nim owoce, mięso, coś w rodzaju chleba, sery i kilka drewnianych dzbanów z winem. Z gotowanego mięsiwa unosiła się para i Conan, zasiadając do uczy, zwrócił na to uwagę Cheen.

- Sądziłem, że tu gdzie jesteśmy, niebezpiecznie jest rozpalać ogień.

- Pod palenisko układamy podkład z kamieni, tak jak czynią to mieszkańcy ziemi. Drzewo, na którym jesteśmy, żyje, nie jest więc tak bardzo podatne na przypadkowe iskry, nie tak jak suche martwe gałęzie.

Conan przełknął kęs chleba popijając go czerwonym winem. To miało sens.

- Więc twoi ludzie spędzają na drzewach cały czas ?

- Większość czasu. Istnieje u nas coś takiego jak obrzęd inicjacji, który polega na wykonaniu pewnego zadania tam, na dole. Potrzebujemy roślin leczniczych, czasem innych rzeczy na przykład kamieni i też ktoś musi je zebrać. Ale prawdą jest, że większość potrzebnych nam do życia rzeczy znajdujemy tu na drzewach. I to co mamy wystarcza nam.

- Jak to się stało, że wyrosły tu takie giganty ?

Cheen uciekła na moment ze spojrzeniem, prawie natychmiast jednak patrzyła znów w oczy Conana.

- Są tu od zawsze.

Jakaś ledwo uchwytna zmiana w tonie jej głosu upewniła Conana, że kłamie. Z tymi drzewami wiązał się jakiś sekret. Ale ostatecznie nie był to jego interes. Zapewnili mu posiłek i odpoczynek. Wkrótce miał wyruszyć w dalszą drogę.

Shadizar czekało na jego przybycie.

3.

Nagle Dimma stał się materialny. Stało się to tak samo nieoczekiwanie jak zawsze. Ponieważ minęły długie lata odkąd ostatni raz poczuł swe ciało, przez krótką chwilę był przytłoczony nagłym przypływem doznań, które dotarły do wszystkich jego zmysłów. Poczuł chłód na skórze otoczonej wilgotną mgłą, ciężar swego ciała, jego mięśni i kości, krew krążącą w żyłach. Nawet odrętwienie jednego z ramion było błogosławionym uczuciem. Był znowu człowiekiem !

Na całą komnatę tronową rozbrzmiał wrzask Dimmy, wzywający strażników selkie.

Wpadli pędem. W żaden sposób nie można było przewidzieć jak długo potrwa ten powrót do prawdziwego życia, a on był pewien jednego – chce zaznać tak wielu przyjemności ciała jak tylko to możliwe. I tak szybko jak tylko to możliwe.

- Przynieście mi jedzenie ! Cokolwiek, co ma jakiś smak. Przyzwijcie tu tą wiedźmę Seg ! Pędem ! Czajnik ! Moje igły medyczne ! Ruszać ! Natychmiast !

Rozbiegli się we wszystkich kierunkach. Wiele razy musieli już spełniać takie życzenia. Za każdym zaś razem musieli być szybsi od myśli, aby nie uронić ani sekundy, nim Dimma z powrotem zamieni się w to, czym był do tej pory.

Gdy służba znikła wykonując jego rozkazy, Dimma wyprostował się rozciągając wszystkie ścięgna. Słyszał trzaski w stawach, czuł drżenie każdego z mięśni. To było prawdziwe błogosławieństwo. Również jego nogi dygotały utrzymując ciężar, od którego dawno już zdążyły się odzwyczaić, stopy zaś drętwiały z zimna stykając się z lodowatymi kamieniami. Ale był wreszcie świadom istnienia każdego cała swego ciała, powietrza, które wdychał, twardości ziemi, bicia serca, pompującego krew. Bogowie ! Nigdy chyba człowiek bardziej nie doceniał wartości swego ciała, niż Dimma w tej właśnie chwili.

Pojawił się jeden z selkich niosąc tacę, na której parowała gorąca ryba, oraz jakieś zielonkawo – czerwone owoce. Ten selkie pojawił się jako pierwszy i mógł oczekiwać, że Mag z Mgieł nagrodzi go, używając części swej mocy.

Dimma chwycił pokarm obiema dłońmi i dziko wgryzł się w parujące mięso. Intensywny zapach niemal pozbawił go przytomności, a smak ryby wyciskał łzy z oczu. Tak była dobra.

Selkie stał bez ruchu trzymając tacę, podczas gdy Dimma raz po raz rozrywał mięso dłońmi i wpychał je do ust niemal się nim dławiąc. Substancja, smak, ciepło, zapach !

Pojawił się następny selkie z igłami Dimmy.

Mag z Mgieł porzucił jedzenie i nie zważając na wciąż ciekący mu po policzkach tłuszcz, chwycił jedną z igieł *po* i nakłuł nią swoje ramię, zakłócając przepływ energii życia w jej niewidzialnym kanale i odczuwając całym sobą gorący ból rozchodzący się wewnątrz ciała. Nawet to odczucie dawało radość.

Seg zjawiała się wkrótce, zupełnie naga, za wyjątkiem pośpiesznie narzuconego płaszcza z owczej wełny.

- Do mnie ! Natychmiast ! – niemal warknął na nią Dimma.

Wiedźma zaczęła zrzucać płaszczy.

- Zostaw ! Chcę go dotykać tak samo jak ciebie.

Seg była mu posłuszna. Niemal przez dwadzieścia ostatnich lat nie mógł się z nią kochać, ale nie była wcale mniej piękna niż ostatnim razem. Jej skóra wciąż miała barwę kości słoniowej a włosy były czarne jak skrzydła kruk. Jej piersi i uda ... jej żądza i uległość też się nie zmieniły.

- Pospiesz się ! – zawołał.

Ostatnim razem będąc z Seg zamienił się w mgłę zanim zakończył to, co zamierzał.

- Pospiesz się ! – zawołał raz jeszcze i pociągnął ją ku sobie.

Na bogów, jak cudownie było poczuć pod palcami jej ciało !

Razem osunęli się na podłogę. Selkie z zawstydzeniem odwróciły wzrok.

Kleg zatrzymał swój oddział o kilka godzin drogi od osady Leśnego Ludu. Spotkali się po drodze z bandą tropiących bestii Pilich, ale te paskudne gady, widząc przewagę selkich, nie ważyły się ich zaczepić. Za to całą z pewnością pobiegły, aby zdać relację o tym spotkaniu swym władcom. Ale zanim ci zdążyli zareagować, selkie dawno już opuścili terytorium Pilich.

Jeden problem zatem został przewyciężony, ale ten najpoważniejszy wciąż pozostawał przed nimi. Jak mieli zdobyć talizman, którego pożył Stwórca.? Był on, o czym Kleg dobrze wiedział, najświętszym z relikwii Leśnych Ludzi i z całą pewnością nie oddadzą go dobrowolnie. Kleg mógł zgromadzić armię nawet dziesięciokrotnie liczniejszą od grupy, którą wiodł, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że nawet to niewiele by mu pomogło. Drzewna warownia była zbyt dobrze chroniona. Kiedy ostatni raz próbowali bezpośredniego ataku, zakończyło się to całkowitą klęską. Grupa, którą zgromadził teraz, miała służyć innemu celowi. Była wystarczająco duża, aby dać Leśnym Ludziom

zajęcie, coś co odciągnęłoby ich uwagę, podczas gdy on musiał wymyślić jakiś podstęp, by dostać to, czego pragnął.

Kleg nie zostałby wybrany Pierwszym, gdyby nie posiadał tyle sprytu. Musiał być jakiś sposób i on go znajdzie. Jeśli nie, nie tylko nie będzie dłużej Pierwszym, ale nie będzie go w ogóle pomiędzy żyjącymi. Taka alternatywa stanowiła wystarczającą motywację. Musiał osiągnąć swój cel, albo umrzeć. To było dość proste.

Kleg spoglądał w stronę odległej wioski. Miał już kilka pomysłów. Czas zatem wypróbować je w praktyce.

Cheen wyszła aby dokonać niezbędnych przygotowań do planowanej na tą noc uroczystości. Zostawiła Conana w towarzystwie swych dwóch braci, Taira i Hoka. Ich spotkanie odbyło się raczej w przyjaznym nastroju, choć Conan porządnie ubawił się przechwałkami zarówno starszego jak i młodszego z mężczyzn.

- A gigantyczny barbarzyńca, o którym słyszałem. – powiedział Tair na powitanie.

Dopiero stając koło niego Conan zdał sobie sprawę jak drobny był ten mężczyzna. Sięgnął zaledwie do piersi Conana i był co najmniej o pół dłoni niższy niż Cheen.

- Ja jestem największym mężczyzną spośród Leśnego Ludu i to zarówno jeśli chodzi o rozmiary, które widać jak i te, które są ukryte – Tair położył znacząco dłoń na kroczu i spojrzał wymownie na Conana.

- Zostawiam was mężczyźni razem z waszymi kłamstwami – powiedziała wychodząc Cheen.

Gdy wyszła, Tair i Hok zaproponowali Conanowi wycieczkę po drzewach.

Tair wyjaśnił, że każde z nich było połączone z co najmniej jednym sąsiadującym mostami z lian, a więc łatwo było podróżować po całej nadrzewnej wiosce.

On osobiście budował wszystkie najlepszych i największe mosty, z niewielką – jak podkreślił – pomocą innych członków plemienia.

Conan uśmiechnął się. Ta przechwałka była tak przesadzona, że nawet jej nie skomentował. Tair nie potrafił wprost otworzyć ust., nie opowiadając o swych przewagach i dokonaniach, a młody Hok nie pozostawał w tyle za swym starszym bratem.

- Żałuj, że nie widziałeś mojego wiosennego tańca – powiedział. – Tair mówi, że jestem najlepszy spośród moich rówieśników i lepszy od wielu starszych. I tak musi być, skoro on to powiedział.

Conan ponownie przytaknął i powstrzymał wybuch śmiechu.

Gdy wędrowali poprzez szerokie konary i mosty z pnączy, Conan dostrzegł, że jest to w istocie prawdziwa osada, której nie brakowało niemal niczego, w porównaniu do podobnych wiosek, które znajdowały się na ziemi. Widział jakieś odżywiające się liśćmi zwierzęta, zamknięte w małych korralach i małe ogrody na szerokich konarach, o które ktoś dbał bardzo starannie, a także platformę – prawdziwy plac, która mogła pomieścić ponad pięćdziesiąt osób, zawieszoną na konarze jednego z drzew. Tylko gigantyczne drzewa mogły być wykorzystane do zbudowania takiej wioski, Leśny Lud dobrze zaadoptował się do życia, które prowadził.

W Cymmerii pod górami żył Crom. Jakich bogów czcili Leśni Ludzie ?

Wkroczyli na jeden z mostów zablokowany przez czterech mężczyzn. A właściwie nie tyle przez nich, co przez wielki konar, który prawdopodobnie opadł gdzieś z góry i teraz leżał w poprzek przejścia. Zaś ci czterej próbowali usunąć go, jednak bez efektów. Gałąź była tak gruba jak udo Conana i sporej długości, a most dosłownie ugiął się pod jej ciężarem.

- Ja jestem najsilniejszy w wiosce – powiedział Tair. – Pokażę tym słabeuszom, w jaki sposób prawdziwy mężczyzna przesunie ten konar.

Wypiął dumnie pierś i podszedł do czterech biedzących się z gałęzią ludzi. Nastąpiła teraz krótka wymiana zdań i nawet z daleka Conan widział, że była ona dość gwałtowna. Najwyraźniej ci czterej nie mieli zamiaru pozwolić Tairowi na przesunięcie gałęzi, co mogłoby udowodnić ich słabość. Conan uśmiechnął się znowu.

Po chwili jednak Tair podszedł do konara i spróbował go unieść. Trzeba przyznać, że bez trudu zdołał to zrobić. Ale mimo sapania i naprężał wszystkich mięśni, Conan szybko dostrzegł, że małemu człowieczkowi braknie siły.

Podszedł do miejsca, w którym Tair zmagął się z konarem.

- Ciężki ? – spytał.

Tair zaprzestał na moment wysiłku.

- W rzeczy samej. Jeśli ja nie mogę go ruszyć, żaden z nas tego nie dokona.

- Pozwól mnie spróbować.

- Jesteś wielki, ale to nie zawsze oznacza siłę.
- To prawda.
- Mimo wszystko możesz spróbować.

Conan stanął w szerokim rozkroku i chwycił za gałąź. Napiął mięśnie nóg i zmusił swe potężne ścięgna do pracy. Wiedział już, że uniesie konar, aczkolwiek nie będzie to łatwe. I faktycznie gałąź zaczęła się unosić. W tym jednak momencie Conan spojrzął na twarz Taira i zobaczył jego zmarszczone brwi. Wtedy też zrozumiał, że jeżeli podoła zadaniu, Tair nie będzie już najsilniejszym mężczyzną w wiosce. Zawahał się przez chwilę. Mógł dźwignąć konar i w byłby za to przez wszystkich podziwiany, ale Tair straciłby wiele ze swego autorytetu a tutaj najwyraźniej miało to znaczenie. Conan zdecydował więc, iż uczyni co innego. Rozluźnił się i konar powoli opadł z powrotem.

Dojrzał coś na kształt ulgi na twarzy Taira.

- Jest bardzo ciężki – powiedział.

Tair przytaknął.

- Ci czterej nie potrafili go unieść. Ty także nie. I jak widziałeś mnie też się to nie udało.

Tair przytaknął ponownie.

- Sądzę jednak, że my obaj dokonamy tego, czego nie mogli zrobić ci czterej.

Mały mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Z całą pewnością.

Podszedł, stanął obok Conana i teraz obaj dźwignęli konar.

Cymmerianin postarał się nie ciągnąć zbyt silnie, tak aby Tair także poczuł swój udział w tym przedsięwzięciu. Konar poszybował w dół z mostu i huknął o ziemię. Most zakołysał się uwolniony od ciężaru co nie przeszkadzało wszystkim mocno trzymać się na nogach.

Tair odwrócił się do pozostałych.

- Widzicie co mogą zrobić mężczyźni obdarzeni prawdziwą siłą. To jest Conan z wierzchołka świata. I jest moim przyjacielem.

To rzekłszy Tair klepnął potężne ramię Cymmerianina.

Potem dalej wraz z Hokiem oprowadzali go po wiosce.

Conan zaś wiedział, że w ten sposób miast wroga zyskał przyjaciela. I uczynił słusznie.

Thayla zsunęła się ze stosu futer, na którym spał jej mąż, wyczerpany nocnymi igraszkami. Uśmiechnęła się z zadowoleniem i oddaliła w poszukiwaniu wiedźmy, od której miała otrzymać miksturę zabezpieczającą przed zajściem, iż nie zajdzie w ciążę. Nie był to najlepszy czas, aby nosić w sobie dziecko. Nie teraz, kiedy miały się spełnić jej ambicje, by być królową czegoś więcej, niż tylko tego kawałka pustyni. Musiała dokonać tego bez dodatkowych komplikacji. Tam w dalekim świecie oczekiwały prawdziwe rozkosze. A Thayla nie miała zamiaru rezygnować z żadnych przyjemności, które niosła władza. Zdążyła już nauczyć się pożądać tego co zakazane. I zanurzała się w tym coraz bardziej. Zwłaszcza jedna z zakazanych rozkoszy była fascynująca.

Pochwycenie człowieka oznaczało dla Pilich prawdziwą ucztę. Nic bowiem nie mogło równać się w smaku z mięsem człowieka, jeśli przyrządzić je prawidłowo, a Pili wiedzieli jak to zrobić. Ale czasami nim brańcy zostali ugotowani i zjedzeni, trzymano ich żywych przez pewien czas, kiedy to byli tuczeni a przez właściwą dietę zapewniało się odpowiedni smak ich mięsu. Jako królowa, Thayla miała dostęp do tych więźniów.

W pierwszej chwili odrzuciła pomysł, który wtedy przyszedł jej do głowy, ale potem doszła do wniosku, że ma prawo do zaspokajania wszelkich żądz.

Rayk oczywiście nie miał o tym pojęcia jedynie niektórzy z jej zaufanych sług. Thayla odważyła się zażywać z człowiekiem, takich samych rozkoszy jakich doznawała ze swym mężem. Oczywiście takie rzeczy były zakazane przez prawo Pilich, ale ona była w końcu królową. Stała więc ponad prawem.

Ludzcy samce byli inni niż Pili, inaczej pachnieli, inaczej się poruszali i byli więksi w niektórych miejscach ... znacznie więksi. Pierwsze spotkanie z ludzkim samcem zachwyciło ją.

Wydawało jej się niemożliwe pomieścić w sobie jego męskość, ale dokonała tego i doznała rozkoszy znacznie przewyższającej wszystko co mógł jej dać Rayk, albo jakikolwiek inny Pili, którego brała na kochanka.

Ale ludzkich jeńców było niewiele. Ludzie mieszkali daleko stąd. Większość z nich nie miała nawet pojęcia, że Pili istnieją a ci którzy wiedzieli, nauczyli się unikać ich terytorium. Ale gdyby Pilich było więcej, gdyby udało im się znaleźć miejsce, gdzie mogliby wzrastać w spokoju zanim znów staną się potężni i liczni, wtedy ... wtedy mogliby urządzać wyprawy i chwytac nieświadome

ludzkie ofiary znacznie częściej. A to sprawiłoby jej wielką przyjemność. I miała wystarczającą władzę, by próbować spełnić te marzenia. Rayk był silny i brutalny ale był głupcem. To ona była tą, która pociągała za sznurki i jeśli dobrze się postara, uczyni to czego zażąda. Dokąd zawsze tak było. A ona nie miała zamiaru siedzieć w tych piaskach.

Zbliżając się do jaskini wiedźmy, Thayla uśmiechnęła się ponownie. Życie było proste, jeśli wiedziało się, jak należy przez nie kroczyć.

4.

Noc wkradła się do wioski niepostrzeżenie, jak najlepszy złodziej i otoczyła swym czarnym, ozdobionym gwiazdami płaszczem, gigantyczne drzewa. Odgłosy krzyczących ptaków i brzęczenie owadów ucichły gdzieś w ciemnościach, a wokół wielkiej platformy, którą Conan oglądał za dnia, rozbłysły światła pochodni.

Cheen zaprosiła go na uroczystość. A że w programie była także uczta i dobre wino, zaproszenie zostało przyjęte. Conan niechętnie zrezygnował z rozkoszy podniebienia. Miał zamiar kontynuować swą podróż rankiem.

Tylko przywódcy poszczególnych drzew i ich małżonkowie mieli prawo spróbować mikstury, którą w międzyczasie przyrządziła Cheen. Tak właśnie powiedziała Conanowi.

- Kiedyś być może każdy z Leśnego Ludu będzie miał swą szansę, ale teraz ze względu na niedostępność składników, tylko wybrani członkowie plemienia mogli cieszyć się widzeniami podczas każdej z ceremonii.

Kiedy zjawili się na platformie było tam już około czterdziestki ludzi a wielu innych tłoczyło się na mniejszych podestach obok. Niektórzy przy akompaniamencie bębnow i drewnianych fletów śpiewali niskimi zawodzącymi głosami.

Conan dostrzegł liczne zwoje cienkich lin przy jednej z krawędzi platformy, ale zanim zdołał zapytać do czego służą, Cheen powiedziała :

- Muszę oddać honory mojej matce. Dasz sobie radę sam ?

Conan roześmiał się :

- Dzień, w którym Cymmerianin nie będzie mógł sobie poradzić podczas przyjacielskiego spotkania, będzie dniem, w którym słońce przestanie świecić.

Kiedy Cheen znikła w tłumie, Conan podszedł do wielkiego stołu, zastawionego żywnością i napojami. Spróbował kilku gatunków smażonego mięsa, spróbował też paru win i zdecydował, że Leśny Lud zna się na rzeczy. Zwłaszcza wielki drewniany puchar z czerwonym nektarem, który stał pośrodku stołu, zasługiwał na uznanie. Wino było lepsze od każdego trunku, jaki Conan dotąd próbował. Wychylił właśnie drugą czarkę i stwierdził z zadowoleniem, że zna z pewnością wiele gorszych miejsc, w których mógłby się teraz znajdować.

Po chwili zjawiała się Cheen. Conan zdążył już wprawić się w bardzo dobry nastrój, toteż

powitał ją szerokim uśmiechem.

- Ceremonia już się rozpoczyna – powiedziała – Jesteś pewny, że nie chcesz wziąć w tym udziału ?

- Dziękuję, ale nie. Zastawiliście dobrze stół i chętnie zajmę się tylko mięsiwem i winem. Zwłaszcza to ciemne, tam, jest bardzo mocne.

- Ciemne wino ?

- W tym wielkim drewnianym pucharze - Conan wskazał stół ruchem ręki.

- Piłeś z tego pucharu ?

- Tak. Ze dwie czarki. Kusiło mnie, żeby wypić więcej, takie było dobre, ale pomyślałem, że nie wypada być zachłannym.

- Jak nazywa się twój bóg, Conanie ?

- Bóg ? Crom Wojownik, który żyje pod Górą Bohaterów. Czemu pytasz ?

Położyła dłoń na jego potężnym ramieniu i uśmiechnęła się.

- Ponieważ wino ze świętego pucharu, które właśnie wypieś, jest tym samym, w którym rozpuszczono miksturę sprowadzającą wizje.

Minęło trochę czasu nim w pełni dotarło to do Conana.

- Co ?

- Jeżeli ta mikstura działa na ciebie tak samo jak na nas, będziesz miał sposobność spotkać się ze swym bogiem już wkrótce.

Conan spojrzał na nią uważnie.

- Czy jest jakieś antidotum na tą miksturę ?

- Obawiam się, że nie.

Teraz Conan zamyślił się przez dłuższą chwilę. Zobaczyć Croma ? – nie był całkowicie pewny czy ma na to ochotę.

Kleg leżał ukryty w mroku nocy, zaledwie o kilka kroków od wielkich drzew i rozważał możliwości działania. Zdaje się, że trwała tam jakaś uroczystość. Wielu spośród Leśnych Ludzi

śpiewało i tańczyło na wielkiej platformie, która znajdowała się na wysokości przekraczającej co najmniej dwudziestokrotnie jego wzrost.

Jego oddział zaszył się o jakieś pół godziny drogi stąd, a talizman, którego szukał był, jak dobrze wiedział, właśnie na tym drzewie. Pojmanie jednego z mieszkańców wioski i tortury, pozwoliły mu zdobyć tę wiedzę już jakiś czas temu. Uroczystość, odbywała się dalej od tego miejsca, mogła być sprzyjającą okolicznością. Pod osłoną ciemności, kilku selkich mogło wspiąć się po pniu gigantycznego drzewa, używając specjalnych rękawic i butów zrobionych z łusek i zębów braci-rekinów, i jeżeli tylko odpowiednie zamieszanie na drugim krańcu osady, odciągnie uwagę mieszkańców, osiągną swój cel.

Może niektórzy ze strażników będą trzeźwi, ale sądząc po dużej ilości zamroczonych alkoholem ludzi, których widział wokół, mógł liczyć na to, że i czujność wartowników będzie nieco rozluźniona.

Wreszcie Kleg podjął decyzję. Weźmie dwóch ze swych braci, podczas gdy reszta urzędzi pozorowany atak z drugiej strony. Oni zaś dotrą do upragnionego celu.

Kleg cofnął się w ciemność i oddalił do swych ukrytych towarzyszy.

Noc dopiero się rozpoczęła. Właściwy czas nadejdzie za godzinę lub dwie.

Conan obudził się gwałtownie. Bolała go głowa i czuł się oszołomiony. Usiadł. Co się stało ? Aha - przypomniał sobie – to ciemne wino ... mikstura ...

Rozejrzał się wokół. Wciąż był na platformie. Wokół zaś spały może ze dwa tuziny Leśnych Ludzi, niektórzy kołysali się na siedząco. Noc wciąż jeszcze trwała, a Conan nie potrafił powiedzieć jak długo spał.

Najwyraźniej mikstura Cheen nie działała na Cymmerianina tak samo jak na jej ludzi. I dobrze.

- Hej, Conan – głos było donośny, niemożliwie głęboki, wibrujący potężną mocą.

Conan odwrócił się. Na przeciwległej krawędzi platformy siedział gigantyczny mężczyzna, co najmniej o połowę większy od Conana, potężnie też umięśniony. Był odziany w futrzane buty i przepaskę z wilczej skóry, a jego nagi tors błyszczał od oleju w migoczącym świetle pochodni. Był brodaty a zęby świeciły bielą w szerokim uśmiechu. Na ciemno czerwonej czuprynie przybysza

znajdował się, pokryty bogatą ornamentyką, hełm z brązu z parą długich, zakrzywionych rogów. Był niewątpliwie wojownikiem. I roztaczał wokół siebie aurę grozy.

Conan zerwał się na nogi.

- Kto wzywał Conana ?

Gigant roześmiał się.

- Nie rozpoznajesz mnie ?

Conan poczuł, że po jego trzewiach rozchodzi się nieznane uczucie, tak jakby coś żywego siedziało mu żołądku i nagle zapragnęło wydostać się. To przecież nie było możliwe. W tym momencie jednak wiedział już z kim ma do czynienia.

- Crom – powiedział bardzo cichym głosem
- We własnej osobie, chłopcze. Chodź, pokażę ci moje dzieło.

Conan oblizał końcem języka swe nagle zaschłe wargi. Nie co dzień jednak spotykało się boga.

- Czego ode mnie żądasz ...
- E nie, niczego chłopcze. Nic nie możesz mi ofiarować. Jesteś zbyt słaby.

Conan poczuł nagły przyływ gniewu. Pokora znikła z jego błękitnych oczu. Odwzajemnił się bogu ostrym spojrzeniem.

- Żaden człowiek nie nazwał nigdy Conana słabeuszem !
- I żaden człowiek też nie nazywa, głupcze !

Conan odpiął pochwę z mieczem, od pasa i stanął w szerokim rozkroku.

- I co masz zamiar teraz zrobić ? - zapytał Crom.

Conan rozluźnił mięśnie, rozciągnął ramiona i postąpił krok naprzód.

- Przekonam cię, że się mylisz – odparł.

Crom roześmiał się.

- Chcesz chwycić za bary swego boga ? Śmiałyś to zrobić ?
- Tak. Niewiele jest rzeczy, których Cymmerianin nie śmiałyby zrobić.
- Myślę, że dałem ci za dużo odwagi a za mało rozumu.

- Być może – odparł Conan zbliżając się kocim krokiem w kierunku giganta.
- Dobrze więc Conanie z Głupoty. Chodź, wypróbuj na mnie swą siłę.

Conan skinął głową. Na pewno istniały bardziej hańbiące sposoby odejścia z tego świata niż walka z bogiem. Nie wyobrażał sobie większego wyzwania, ale nie zamierzał tanio sprzedać swej skóry. Zebrał się w sobie, postąpił jeszcze dwa szybkie kroki, rzucił się na Croma ... i poszybował z platformy prosto w otwartą przestrzeń.

Usłyszał jeszcze tylko odległy śmiech boga i dostrzegł jak ten znika. On sam zaś leciał w dół, na ziemię, tak odległą, że nie mógł jej nawet dostrzec w mroku nocy. Przypomniawszy sobie tylko, że Crom słynął ze specyficznego poczucia humoru, a ten dowcip z pewnością mu się udał.

Kleg wiódł grupę na pozycje wyjściowe, położone w pewnej odległości od drzewa, które było jego celem. Wręczył swemu porucznikowi świecę. Jej wąty płomień był chroniony przed podmuchami wiatru, przez osłonkę z cienkiego kryształu.

- Kiedy wypali się do drugiego pierścienia, zacznij atak. Róbcie jak najwięcej hałasu, bijcie w tarcze włóczniami, wystrzelcie kilka zapalonych strzał. Róbcie cokolwiek chcecie, byle skupić na sobie jak największą uwagę. Poczekajcie nim ogień dotrze do drugiego pierścienia ! Musimy mieć trochę czasu.

- Będzie jak rozkazałeś, Pierwszy.

Wybrawszy dwóch najsilniejszych braci, Kleg oddalił się wraz z nimi w kierunku celu, poruszając się z wielką ostrożnością. Wszyscy mieli na sobie ciemne ubrania, toteż niewielkie było prawdopodobieństwo, że zostaną dostrzeżeni nocą, przynajmniej dopóki nie zaczną się wspinać po pniu drzewa.

Nałożyli rękawice oraz buty z łusek i zębów rekina, i zaczęli wspinać się. Ostre kły wbijały się w korę drzewną jak szpony, pozwalając im na posuwanie się w górę cal po calu. Kiedy dotarli do najniższych konarów, dalej poszło już znacznie szybciej i sprawniej. Zbliżając się do miejsca, gdzie można było oczekiwać straży, Kleg rozkazał jednemu ze swych towarzyszy, by poruszał się nieco głośniej, tak aby można go było usłyszeć. I w rzeczy samej, tak jak oczekiwał, strażnik zainteresował się tymi odgłosami i dostrzegł coś ciemnego majaczącego w mroku.

- Kto tam ? Czy to ty, Jaywo ? Nie bawią mnie twoje żarty. – głos był schrypnięty,

sądząc po jego tonie należał do starszego mężczyzny.

Kiedy nie nadeszła odpowiedź, strażnik zaczął coś podejrzewać.

- Jaywo ? Odpowiedz !

Ujął krótką włócznię i zamachnął się, mierząc we wspinającego się selkie. Ale nim zdołał cisnąć pocisk w dół, Kleg dotarł już do konaru za jego plecami i dobywszy swego noża o obsydianowym ostrzu, skoczył na strażnika. Szybkie cięcie otworzyło mu gardło, nim zdołał dobyć z niego ostrzegawczy krzyk. Poleciał w dół, spadając z konaru drzewa. Odgłos z jakim uderzył o ziemię był donośniejszy niż Kleg oczekiwał, ale na szczęście nie na tyle głośny by zwrócić uwagę tych na górze.

- Pospieszcie się, – ponaglił Kleg swych towarzyszy – mamy niewiele czasu.

Dwaj selkie posłuchali swego wodza i wszyscy troje podążyli szybkim krokiem wzdłuż szerokiego konaru, zmierzając w górę.

Conan obudził się ponownie. Tym razem ból głowy niemal rozsadzał mu czaszkę. Dostrzegł ze zdumieniem, że wisi w powietrzu na linie umocowanej do lewej kostki. Ledwie zdał sobie z tego sprawę, gdy poczuł, że ktoś wciąga go z powrotem na platformę. Conan uniósł się i chwytając linę tak, aby nie wisieć do góry nogami, sam także zaczął się wspinać. Po chwili zaledwie dotarł do drewnianej krawędzi. Za drugi koniec liny ciągnęli Cheen, Tair i jeszcze dwóch innych mężczyzn.

- Na Zielonego Boga ! – powiedział Tair – Jesteś tak samo ciężki jak ten konar, który razem wyrzuciliśmy.

Conan był nieco oszołomiony.

- Jak to się stało, że znalazłem się tam w dole. Zdaje mi się, że ... widziałem Croma. My ... on ... ja ... chciałem pokonać go w walce.

- Mikstura czasem powoduje pewną utratę orientacji – wyjaśniła mu Cheen. – Dlatego też wszyscy wiążemy takie właśnie linki do swych nóg, gdy zaczyna się ceremonia – wskazała na swoją kostkę.

Faktycznie, wszyscy mieli przywiązane do nóg takie same liny. Te zwoje, które Conan widział wcześniej ! Więc do tego służyły ! Mądrze.

- Ponieważ jesteś tu obcy i nie znasz naszych zwyczajów, sama uwiązałam ci taką linę

kiedy spałeś.

- Jestem twoim dłużnikiem – powiedział Conan.
- Czy twoje spotkanie z bogiem było pomyślne ?
- Było ... pouczające – odparł Conan. O tak. Należy być ostrożnym z wyzywaniem boga na pojedynek, niezależnie od tego, czy jest prawdziwy, czy to tylko iluzją. Zwłaszcza gdy ma się do czynienia z bogiem obdarzonym takim poczuciem humoru, jak Crom.

Po lewej stronie, w dole nagle ktoś zaczął krzyczeć. Wrzawę czyniło coraz więcej głosów, o ile Conan mógł wierzyć przynajmniej swoim uszom.

- Co się ... – zaczął.
- Obcy w wiosce ! – zawołała Cheen – Jesteśmy atakowani ! To muszą być znów selkie.
- Selkie ?
- Do broni ! – wrzasnął Tair – Wszyscy do broni !

Conan dostrzegł swój miecz leżący w miejscu, w którym jak pamiętał go zostawił, i pognał w tym kierunku. Nie dbał oto kim lub czym są selkie. Jeśli miało dojść do walki, zawsze tak samo używało się miecza.

Kleg przyglądał się jak ludzie z platformy, teraz znajdującej się poniżej niego, zaczęli biec w kierunku, gdzie czynili tumult jego żołnierze. Jedna z obecnych tam osób zdawała się nie należeć do Leśnego Ludu – ogromny, zwałisty mężczyzna z czarną grzywą włosów i wielkim mieczem, ale to teraz nie miało znaczenia. Talizman, był o kilka zaledwie kroków. Na przeszkodzie stały tylko dwie uzbrojone we włócznie strażniczki. Kleg skinął ku swym selkim. Wszyscy trzej dobyli obsydianowych noży i runęli pędem w stronę przeciwnika, biegnąc jeden za drugim po wąskiej gałęzi.

Strażniczki dostrzegły zbliżających się selkich. Jedna z nich cisnęła włócznią, której ostrze przebiło gardło pierwszego z nacierających. Upadł bez najmniejszego dźwięku, ale padając zdołał cisnąć oba noże, które miał w dłoniach. Jeden z nich zaledwie zranił strażniczkę, jednak umożliwiło to drugiemu selki dotarcie do celu. Szybkim susem skoczył na kobiety. Spleciony w uścisku z jedną ze strażniczek, wraz ze swą ofiarą stoczył się z konaru i poszybował w dół. Rozległ się tylko przeciągły krzyk. Druga z pchniętych kobiet zdołała uchwycić gałąź, ale niewiele jej to pomogło,

gdyż Kleg nadepnął na jej palce swą ciężką nogą. Również i ona poleciała w dół.

Teraz Kleg stał u wejścia do budowli, która była jego celem. Przeciął nożem węzeł na linie przytrzymującej drzwi.

Wewnątrz znajdowała się pojedyncza skrzynia, której wieko zabezpieczone było splątaną liną. Przecięcie jej było równie łatwe jak poprzednio. Otworzył skrzynię i w mdłym świetle gwiazd dojrzał talizman. Było to nasienie, twarde, przypominające kształtem oko, a rozmiarami do małego jabłka, ciepłe i mokre w dotyku. Spoglądał na nie przez moment, a potem szybkim ruchem wepchnął do swej sakiewki i wybiegł z izby.

Stracił dwóch selkich i prawdopodobnie jeszcze kilku tam na dole, ale to nie miało żadnego znaczenia. Miał to, po co tu przybył !

Gdy opuszczał w dół linę, która miała mu ułatwić zejście z platformy, dostrzegł kątem oka drobną postać zmierzającą ku niemu wzdłuż konara. On też został dostrzeżony. Błyskawicznie wspiął się z powrotem i schował za gałęziami. Po chwili, mały chłopiec, przebiegł po gałęzi tuż przed nim. Kleg uderzył go ręką noża w skroń. Chłopiec upadł nieprzytomny na konar. Kleg zamierzał przeciąć krtań swej ofierze, ale nagle zawahał się. Nie. Weźmie go ze sobą. Być może wyciągnie z niego jakieś wiadomości, poza tym podczas powrotu mogą spotkać Pilich. Chłopiec może się wtedy przydać. Pili, jak doskonale wiedział, niezwykle lubili ludzkie mięso. Być może dzięki temu chłopcu uda się im uzyskać zgodę na spokojne przejście.

Kleg w porównaniu z człowiekiem był bardzo silny, toteż zejście w dół po linie, z chłopcem przewieszonym przez ramię, nie stanowiło dla niego dużego problemu. Kiedy tylko znalazł się na ziemi, pognął natychmiast do umówionego miejsca spotkania, gdzie mieli do niego dołączyć towarzysze.

Wykonał swe zadanie i rozpierała go radość. To było niemal łatwe, ale nie odważył się kusić losu, rozważając głębiej tę myśl.

5.

Conan biegł w ślad za Tairem, przemykając się pośród, gałęzi w kierunku odgłosów walki. Kilka razy olbrzymi Cymmerianin niemal stracił równowagę, na niektórych węższych konarach, ale jednak zdołał uniknąć upadku. Ze wszystkich stron dołączali do nich inni uzbrojeni, mężczyźni i kobiety. I wkrótce cały ten tłum dopadł do drzewa, znajdującego się na samym skraju wioski. Ci, którzy zamieszkiwali zaatakowane drzewo, rzucili już na dół kilka płonących głowni, tak że scena walki u podnóża była wyraźnie widoczna.

Conan dostrzegł może z tuzin cieni przemykających się pod nimi, a zachowanie napastników było co najmniej dziwne. Robili wiele hałasu, krzyczeli i ciskali kamieniami oraz włóczniami, ale po za tym nie zdawali się w żaden sposób zagrażać obrońcom.

W pierwszej chwili zdało mu się, iż atakujący są ludźmi. Wkrótce jednak dostrzegł kilka nieludzkich zgoła szczegółów ich budowy oraz ruchów. Byli mniej więcej ludzkich rozmiarów i zgadzały się też główne części ich ciała – mieli twarze i ręce, nawet wrzeszczeli podobnymi do ludzkich głosami, nie mniej było w nich coś obcego.

Selkie ? Tak nazwał ich Tair. Ten zaś zatrzymał się na szerokim konarze, zaciskając dłonie na włóczni. Zawahał się jednak przed rzutem. Conan stanął obok niego. W powietrzu unosił się duszący dym od płonących wokół pochodni. Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie.

- Co oni robią ? – zapytał Tair – Czy poszaleli ?

To prawda – pomyślał Conan

Ten wrzaskliwy taniec na dole, zdawał się nie przedstawiać dla obrońców żadnego niebezpieczeństwa. Był znacznie bardziej niebezpieczny dla napastników, z których kilku już tarzało się po trawie próbując ugasić płonące ubrania, a kilku nieźle oberwało włóczniami.

- Dywersja – podsunął myśl Conan.
- Tak – zgodził się Tair – Ale od czego chcą nas odciągnąć ?
- Schwytajmy jednego i dowiedzmy się.
- Dobry pomysł.

Tair zbliżył się do zwoju cienkiej liny i kopnięciem przerzucił ją przez krawędź konaru. Zsunął się po niej zanim jeszcze zdążyła się do końca rozwinąć. Conanowi nigdy nie widział kogoś, kto poruszałyby się szybciej na linie. Nawet pajak nie zrobiłby tego sprawniej, używając własnej

sieci. Niemniej on sam też nie wahał się długo i podążył w dół, w ślad za Tairem.

Jeśli nawet selkie dostrzegli zbliżających się przeciwników, nie dali tego o sobie poznać. Ale gdy Conan znajdował się tuż nad ziemią, wrzeszczący napastnicy nagle odwrócili się jak na komendę i znikli w ciemnościach. Conan skokiem pokonał pozostający do ziemi dystans, a znalazłszy się na dole dobył miecza, czemu towarzyszył szelest skórzanej pochwy i brzęk metalu. Pognął za Tairem, który rozpoczął już pościg za uciekającymi selkie. Leśny Człowiek z całą pewnością szybciej poruszał się na linie, ale tutaj, na płaskim gruncie, długie i sprężyste nogi Conana dawały mu przewagę. Nie minęły nawet dwa uderzenia serca, gdy przemknął obok Taira i zaczął doganiać ostatnich selkich.

Nie zastanawiał się nawet czemu uciekali, choć było to dość dziwne. Jeden mały mieszkaniec drzew i nieco większy Cymmerianin, nie usprawiedliwiali popłochu wśród tak licznej grupy. Tym jednak będzie martwił się później. Tymczasem bowiem dogonił prawie selkiego, który biegł w ogonie grupy i należało zdecydować w jaki sposób pochwycić go, nie powodując jednocześnie jego śmierci. Mieczem po nodze. Tak to mogło być to.

Światło gwiazd zalsniło na żelaznym ostrzu, gdy biegnący za selkim olbrzym zamachnął się by ugodzić swój cel. W tym momencie jednak uciekający musiał wyczuć niebezpieczeństwo. Czy usłyszał odgłos kroków Conana, czy poczuł jakiś ruch powietrza, czy też posłużył się jakimś zmysłem, nieznanym ludziom, nie miało to znaczenia, dość, że obejrzał się błyskawicznym ruchem przez ramię, dojrzał Conana i rzucił się do przodu gwałtownym susem w momencie, gdy miał spaść na niego miecz. Ostrze minęło cel, a nagły brak spodziewanego oporu, niemal wyrzucił Cymmerianina. Zdołałby wszakże utrzymać równowagę, gdyby nie korzeń, który akurat przez złośliwość losu wyrósł z ciemności, wprost pod jego stopą. A że Conan biegł dotąd pełną szybkością, wywinął w powietrzu sporego kozła i poleciał głową do przodu.

Rzucił bluźnierstwo, które kiedyś, będąc dzieckiem, usłyszał z ust swego ojca, gdy kowal niechcący uderzył go w kuźni młotem w rękę.

Bogowie fortuny uśmiechnęli się zatem do uciekającego selkie, ale już po chwili odwrócili od niego swą przyjazną twarz. Selkie bowiem widząc lecącego Conana, uznał snadź, że jest to zamierzony skok w jego kierunku i sam również uskoczył. Źle jednak ocenił tor lotu swego prześladowcy, albowiem miał zejść mu z drogi, stanął właśnie na niej. Natychmiast oczywiście zrozumiał swój błąd i wyhamował gwałtownie, ale było już nieco za późno.

Conan rąbnął w zdezorientowanego selkie całym, sporym skąd inąd, ciężarem swego ciała, zwałił go z nóg i przygniótł do ziemi. Razem przejechali jeszcze kawałek po trawie, a Cymmerianin

siedział przy tym na selkim, jak chłopiec jadący na saniach po śniegu.

Pozostali selkie znikli z międzyczasie w ciemnościach nocy.

Tair przybył zaledwie moment po zderzeniu i zatrzymał się gwałtownie przy leżących.

- Jestem najlepszy z wiosennych tancerzy drzew, – powiedział do wstającego Conana – ale musisz nauczyć mnie tego skoku. Nigdy dotąd nie widziałem czegoś podobnego.

Conan spojrzął na nieprzytomnego selkie, a potem na Taira, po czym wzruszył tylko lekceważąco ramionami.

- To. To nic takiego. To taka dziecięca sztuczka z miejsca, z którego pochodzę.
- Bierzemy go na spytki ?
- Tak ... – zaczął Conan.

Przerwał mu jednak odgłos biegnących stóp. Conan zostawił wciąż nieprzytomnego selkie i dobył miecza. Odgłos kroków dochodził jednak od strony drzew i nie byli to kamraci ich jeńca.

- Święte Nasienie ! – rozległ się krzyk jakiegoś mężczyzny. – Ukradli Święte Nasienie !

Będąc już z powrotem na drzewie, na którym odbyła się uczta, Conan słuchał wyjaśnień Cheen.

- Drzewa w naszej osadzie są największe spośród wszystkich rosnących na ziemi, – zaczęła – ale nie zawsze tak było. Dwadzieścia pokoleń temu najpotężniejsza z naszych szamanek stworzyła zaklęcie, które spowodowało wzrost normalnych drzew do rozmiarów trzydziestokrotnie większych.

Conan przytaknął nie przerywając jej. Spoglądał na otwartą skrzynię u stóp Cheen.

- Ale nie wystarczył sam wzrost. Ziemia tutaj nie jest w stanie zapewnić wystarczająco dużej ilości pożywienia dla korzeni tak wielu, i tak wielkich drzew jak nasze. Tak więc szamanka, a na imię było jej Jinde, stworzyła następny czar, który zamknęła w specjalnie przygotowanym nasieniu. Daje ono wielką energię każdej z roślin, która znajduje się blisko niego.

Magia.Tego Conan nie lubił. Zdawała się jednak prześladować go w każdym miejscu, do którego przybył, choć bardzo starał się jej unikać ...jeśli tylko miał taką szansę.

- Bez tego Nasienia – kontynuowała Cheen – nasze drzewa wkrótce uschną i umrą.

No cóż. Było to smutne, ale tak naprawdę nie było to zmartwienie Conana. Najlepiej zostawić magię tym, którzy chcą się nią zajmować. Zanim jednak Cheen udzieliła dalszych wyjaśnień, wbiegł pomiędzy nich Tair.

- Widzieliście gdzieś Hoka ? – spytał z trudem łowiąc powietrze.
- Nie – odparła Cheen. Spojrzała pytająco na Conana.
- Nie. Nie widziałem go od czasu ceremonii – odparł na jej nieme pytanie
- Powinien być w chacie chłopców – powiedziała Cheen

Tair przytaknął.

- Powinien, ale go tam nie ma.
- Uderz w bęben. Prawdopodobnie wyszedł zobaczyć co się dzieje i jest gdzieś w pobliżu.

Ale kiedy przebrzmiało echo uderzeń, Hok nie pojawił się w dalszym ciągu, a przeszukanie każdego z drzew także nie dało rezultatu.

Kiedy zakończono poszukiwania z twarzy Cheen łatwo było wyczytać miotające ją uczucia wściekłości i smutku.

- Wraz z życiem naszej wioski, – powiedziała – selkie ukradli też mojego najmłodszego brata.

Promienie słoneczne prażyły niemiłosiernie głowy selkich, którzy z wysiłkiem przemierzali wydmy suchego, pustynnego piachu terytorium Pilich. Kleg poczułby się znacznie spokojniejszy, gdyby dotarli już do odległych chłodnych gór. I to nie tylko ze względu na cień, ale też na ich bezpieczeństwo.

W jedną stronę los im sprzyjał, ale to nie znaczyło, że w powrotnej drodze również będzie się do nich uśmiechał.

I rzeczywiście odwrócił od nich swą przychylną twarz. Zza wysokiego piaszczystego wzgórza, pokrytego karłowatą roślinnością, wychyliła się grupa Pilich uzbrojonych w proce i gotowych do walki.

Kleg szybko przeliczył Ludzi-Jaszczurów i stwierdził, że przeważają liczebnie nad jego grupą, choć przewaga ta jest niewielka. Wezwał selkich do zatrzymania się. Normalnie grupa Klega powinna zostać zaatakowana natychmiast, jednak Pili zdawali się nie palić za bardzo do boju, który musiał zakończyć się ciężkimi stratami po obu stronach. Oni także zatrzymali się i czekali. Kleg uznał to za dobry znak.

Po kilku chwilach jeden z Pilich wystąpił naprzód. Sądząc po wyróżniającej go czerwonej przepasce na biodrach, Kleg miał chyba do czynienia z przywódcą. Trudno było oczywiście być pewnym zwłaszcza, że dla niego wszyscy Pili wyglądali identycznie.

Ten jeden wszakże zbliżał się ku nim.

Jeden z żołnierzy selkich uniósł włócznię, ale Kleg zatrzymał go gestem dłoni.

- Czekaj. Może zaproponują jakieś sensowne warunki porozumienia.

Postąpił kilka kroków naprzód, wychodząc na spotkanie zbliżającego się jaszczura.

Kiedy znaleźli się zaledwie o dwie długości włóczni od siebie, zatrzymali się obaj.

- Naruszenie terytorium Pilich – usłyszał Kleg.

Jaszczur twardo akcentował słowa niemniej, ich mowa była podobna, co umożliwiło konwersację.

Kleg nawet nie próbował zaprzeczać temu zarzutowi.

- Tak. Mój Pan i Stwórca rozkazał mi wykonać pewne zadanie, które wymagało pośpiechu. Ominięcie waszego terytorium zajęłoby nam dwa dni.

- Próba przejścia przez nie może was kosztować dużo więcej. Mój władca, Wysoki Lord, król Rayk wyznaczył mnie, bym strzegł naszych granic przed obcymi.

- A więc jesteśmy w impasie ...

- Tak jest. Przewyższamy was liczebnie.

- Owszem, choć w niewielkim stopniu. Jeśli zaczniemy walkę, większość z nas zginie i to po obu stronach.

- To prawda. Jest to przykre, ale nic nie można na to poradzić – jaszczur odwrócił się by powrócić do swych żołnierzy.

- Chwileczkę – powiedział Kleg – Być może jest jakieś wyjście z tej sytuacji ?

Jaszczur zatrzymał się.

– Słucham zatem.

- Czy istnieje jakiś sposób, by uzyskać zezwolenie na przejście przez wasze terytorium ?
- Byłoby to bardzo trudne.
- Mógłbyś jednak udzielić takiego zezwolenia, gdybym podał przekonujący powód ?
- Jeżeli będzie przekonujący ...

Teraz Kleg przeszedł na język selkich. Wydał długi przeciągły gwizd, którego jaszczur nie mógł z pewnością zrozumieć. Jeden z żołnierzy Klega zsiadł ze swego wierzchowca i zbliżył się ku nim, niosąc wielki skórzany wór przerzucony przez ramię.

Ręka Piliego opadła na głównię noża, sterczącego zza pasa.

- Nie przyjacielu. Nie ma w tym żadnej zdrady. Wstrzymaj się przez moment.

Selkie położył wór na ziemi, a sam cofnął się o kilka kroków.

- Zdaje mi się, że Pili lubią od czasu do czasu urozmaicać swoją dietę ?
- Nie mięsem Ludzi-Ryb, które jest okropne w smaku – odparł jaszczur.

Kleg skinął głową. O tym także wiedział i prawdę rzekłszy bardzo się z tego cieszył.

- Ale jednakowoż ... – sięgnął do wora i otworzył go, aby pokazać wciąż nieprzytomnego chłopca, porwanego z nadrzewnej wioski.

Wąskie oczy Piliego rozszerzyły się.

- Ha ... człowiek.
- Człowiek. I mówiąc szczerze my nie mamy z niego pożytku, ale może wam się przyda ?

Jaszczur zmrużył oczy jakby zastanawiał się nad propozycją.

- W zamian za pozwolenie na przejście ?
- Tak bym to właśnie ujął.
- Nie jest zbyt duży ... ten człowiek ...
- To prawda. Ale to jest jedyny jakiego udało nam się pojmać. Przemyśl tę propozycję. Będziemy walczyć i wielu z nas umrze. Być może wygracie, ale będzie to bardzo kosztowne zwycięstwo. A potem powrócisz do swego króla, o ile przeżyjesz ten bój, tylko po to by złożyć

mu raport, że większość twych ludzi została zabita. Z pewnością nie będzie to najlepsza wiadomość.

- Z pewnością nie ...

- Jednakże możesz też powrócić z tym miłym podarunkiem, jako wkładem do wspólnego kotła. Czy to nie przyniesie ci większej chwały ?

Pili zerknął przez ramię na swych ludzi, a potem z powrotem na chłopca.

- To ma jakiś sens – powiedział w końcu. – Oczywiście Pili są tak odważnymi wojownikami, że prawdopodobnie pokonaliby was i zdobyli tego chłopca ...

- Odwaga Pilich jest nam znana, – odpowiedział Kleg – ale nie przysłoby to łatwo.

Teraz jaszczur także przytaknął.

- Tak Ludzie-Ryby są przeciwnikiem, którego nie można lekceważyć.

Spojrzał ponownie na chłopca, a jego usta wykrzywiły się w paskudnym grymasie. W pierwszej chwili Kleg pomyślał, że to groźba, dopiero za moment zrozumiał, że był to po prostu uśmiech.

- My, Lud Pili, postanowiliśmy być łaskawi tego dnia i ze względu na zbliżający się Festiwal Księżyca, zdecydowaliśmy zezwolić na spokojne przejście Ludziom-Rybow, którzy przypadkowo zapuścili się na nasze terytorium.

- Jesteśmy zaszczyceni tak mądrą decyzją – odpowiedział Kleg.

- Tak zatem się stanie.

- Jeśli kiedykolwiek zabłądzisz na mój teren, wspomnij tylko moje imię.

- I tak też może się stanie.

Zatem porozumienie zostało zawarte. I to za niską cenę, pomyślał Kleg.

Teraz nic już nie stało pomiędzy nim, a pomyślnym końcem jego misji, za wyjątkiem kilku dni bezpiecznej podróży.

Stwórca będzie niezwykle zadowolony.

6.

Dimma uniósł ku wargom ozdobną złotą czarę, wypełnioną po brzegi wspaniałym winem z aquilońskich piwnic. Zaprawdę ten region, położony nad rzeką Tyborg, na południe od Shamar, mógł być śmiało uważany za źródło najlepszych win świata. A rocznik, którego właśnie kosztował, był najlepszym z najlepszych.

Minęło zaledwie kilka godzin odkąd znów mógł cieszyć się swymi zmysłami i pragnął korzystać z nich wszystkich, również ze zmysłu smaku, pobudzanego właśnie tym cennym winem. Uśmiechnął się i wciągnął w nozdrza jego zapach, oczekując wkrótce dotyku boskiej cieczy na wargach i podniebieniu.

Ale to nie nastąpiło. Zaledwie uniósł ku ustom złoty puchar, poczuł chłód który zapowiadał dobrze znaną zmianę.

- Nie !

Czara upadła. Nie upuścił jej bynajmniej, po prostu nie był jej w stanie dłużej utrzymywać. Przeleciała przez jego ręce i uderzyła o tron, na którym zasiadał. Zaś Dimma ponownie poczuł smak gorzkiego owocu przekleństwa czarodzieja, stając się po raz kolejny zaledwie obłokiem dymu.

Wpadł we wściekłość rzucając najwymyślniejsze przekleństwa na zmarłego już przed wiekami czarodzieja z Koth i mając nadzieję, że jego klątwy znajdą, i osiągną duszę maga, niezależnie od tego, w jakich głębiach piekieł właśnie przebywała. Dimma wzywał najmroczniejsze ze wszystkich mrocznych demonów, zaklinał na nienawiść wszystkich większych i mniejszych bogów, jakich znał.

Odleciał nieco od tronu i tam wreszcie zaprzestał daremnych wrzasków. Znowu był tylko pozbawionym ciała głosem. Pozbawionym wszystkiego, co ludzie traktowali jako rzecz oczywistą. Przekleństwa nie mogły mu pomóc. Jedyne nadzieje leżała w ostatnim składniku potrzebnym do ozdrowienia. Pozostałe od dawna już znajdowały się w bezpiecznym miejscu, w najlepiej strzeżonej komnacie jego zamku. Oczekiwał tylko na talizman niezbędny do rzucenia zaklęcia. Oprócz niego musiał wypowiedzieć tylko te kilka słów, które teraz znał równie dobrze jak swe własne widmowe dłonie. Powtarzał je w swych myślach dziesiątki tysięcy razy czekając na nadejście dnia, kiedy będzie mógł wypowiedzieć je głośno i zakończy tym samym swą gehennę.

Gdzie jesteś Kleg ? Lepiej byś miał to czego pożądam. I lepiej byś pospieszył się ze swym powrotem.

- Co zrobią z chłopcem ? – spytał Conan.

Tair zajęty przygotowywaniem żywności na długą drogę, odparł odwracając się przez ramię :

- Zabiją go. To nie ulega wątpliwości. Pytanie tylko kiedy i jak. Selkie służą Magowi z Mgieł, Abetowi Blazie, który mieszka pośrodku wielkiego jeziora, o sześć dni drogi stąd. Ukradli nasze Nasienie, zapewne dla jakichś mrocznych celów, a życie naszych drzew kończy się wraz z tym czynem. A jeśli chodzi o mego brata – wzruszył ramionami – mam nadzieję, że dopadniemy ich zanim się go pozbędą.

Conan przytaknął w milczeniu, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, gdyż podczas całej tej przemowy Tair ani razu nie łgał, ani nie przechwalał się swymi czynami.

- Przydałby się nam jeszcze jeden silny mężczyzna ... – dopowiedział jeszcze Tair
- To prawda – usłyszał głos Cheen.

Stanął za plecami Conana z własnym, spakowanym już plecakiem

– Twoja pomoc bardzo by się nam przydała.

Conan zastanowił się przez moment. Cheen uratowała go przed smokiem, chociaż ten dług właściwie już spłacił. Ofiarowali mu gościnę, jadł ich żywność i pił ich wino, chociaż to ostatnie dostarczyło mu nie do końca pożądanego wrażeń, ale taka uprzejmość nie wymagała zapłaty własną krwią. To prawda. Wciąż jednak pamiętał, że niedawno sam był w niewoli. Nie był wtedy wiele starszy od Hoka. Nienawidził niewolnictwa, handlarzy tym towarem i porywaczy dzieci.

- Kiedy zatem wyruszamy ? – powiedział wreszcie.

Ten chłopiec był za młody by miała z niego dodatkowy pożytek – zdecydowała Thayła, choć z drugiej strony, jako młody, miał delikatne mięso, więc oczywiście ucieszyła się z jego pojmania. Mała ucztła, zanim jej mąż wyruszy, by odkryć sekret Leśnego Ludu, byłaby sympatyczna. Wojownicy z całą pewnością lepiej walczą z pustymi żołądkami, ale skosztowanie tego, co czeka ich po zwycięstwie, również znacznie podniesie ich morale.

Zdołała już przekonać Rayka, że tu w oazie pośrodku pustyni, będzie zagrażać im coraz więcej niebezpieczeństw. Pilich nie było wielu, wolno się rozmnażali, choć mieli tę przewagę, że

szybko osiągnęli wiek dojrzały, znacznie szybciej niż liczniejsi ludzie. Jeśli dziecko Pilich i dziecko ludzkie dorastałyby obok siebie, to pierwsze osiągnęłyby pełne rozmiary, nim to drugie nauczyłyby się chodzić. Mogli wykorzystać tę przewagę, jeżeli będzie im dany czas.

Tymczasem Stal, dowódca grupy, która wróciła z pojmanym chłopcem, stał przed Raykiem powtarzając i niewątpliwie ubarwiając znacznie, historię schwytania cennego jeńca.

- I chociaż Ludzie-Ryby mieli ponad czterokrotną przewagę liczebną, tak bardzo się nas przerazili, że dali nam człowieka jako okup i błagali o litość. Ponieważ wkrótce nastąpi Księżycowy Festiwal, i ponieważ bardzo żałowali błędu, który popełnili a więc wejścia na nasze terytorium, postanowiłem darować im życie. A poza tym, cóż wart jest festiwal bez tak królewskiego dania.

Rayk przytaknął i klepnął Stala w ramię.

- Dobrze zrobiłeś, Stal. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że mogłeś wyróżnić tych tchórzliwych Ludzi-Ryb z łatwością, ale twój czyn dowodzi sprawnego umysłu. Lepiej pożywić się bez potrzeby grzebania, choćby jednego z umarłych towarzyszy.

Thayla spojrzała uważnie na obu samców, którzy jak to zwykle mężczyźni, rozplywali się w pochwałach dla swej wielkiej odwagi i wiedzy, niewątpliwie łgając przy tym, do granic możliwości. Chociaż Stal był zupełnie sympatycznym przedstawicielem samca. Kilka razy ukłonił się w jej kierunku, obrzucając ją uważnymi spojrzeniami ... kto wie może pewnego dnia, choćby z nudów, weźmie go do łóżka.

Wydawał się ambitny. Kto wie, może kiedyś jego ambicje okażą się dla niej użyteczne.

Zaś człowiek, o którym była mowa, siedział właśnie w klatce zbudowanej specjalnie dla niego. Przytomny już, przyglądał się swym nowym władcom z przerażeniem. Prawdopodobnie zdawał sobie sprawę jaki los go czeka.

Thayla podeszła do klatki i uśmiechnęła się do młodego jeńca.

- Głodny ? – spytała.

Nie było odpowiedzi.

- Nic się nie martw, będziesz dobrze karmiony. Do Festiwalu Księżyca jeszcze cztery dni, a do tego czasu dostaniesz tak wiele jedzenia, ile tylko będziesz mógł zjeść. Ach szkoda, że nie pojaliśmy cię wcześniej. Cztery dni to niestety mało czasu by trochę zaokrąglić twoją małą figurkę.

Uśmiechnęła się znowu, a widoczny dreszcz przerażenia, który przebiegł przez ciało chłopca, sprawił jej dodatkową rozkosz. Wiedział. Dobrze Wiedział.

Ale gdy już odwracała się z cichym szelestem jedwabnej szaty, nagle przez jej głowę przemknęła inna jeszcze myśl. Dlaczego Ludzie-Ryby naruszyli ich terytorium ? Musieli wkroczyć tu z wioski Leśnego Ludu. W jaki sposób pochwycili jednego z nich ?

Królowa Pilich podeszła do swego małżonka i Stala.

- Przepraszam, że przeszkadzam wielcy wojownicy, ale czy Ludzie-Ryby wspomnieli cokolwiek o celu swej misji.

Stal spojrzął na nią, a jego wzrok szybko, choć prawie niepostrzeżenie, przemknął po wszystkich zakamarkach jej kuszącego ciała. Rayk zdaje się nie zauważył tego, ale Thayla dostrzegła wyraźnie pożądanie w oczach Stala.

- Nie, moja królowo. O tym nie wspomnieli.

- A co nas obchodzą jakieś sprawy Ludzi-Ryb ? – wtrącił się Rayk.

- Biorąc pod uwagę, iż są w to zamieszani Leśni Ludzie oraz ze względu na pewne plany, o których dyskutowaliśmy razem, mój panie i królu, może mieć to pewne znaczenie.

- Spytajmy więc chłopca – odparł Rayk i roześmiał się. – Może on lepiej rozumie umysł Ludzi-Ryb.

To miał być żart, ale Thayla bez słowa odwróciła się na pięcie, postarawszy się o to aby jej jedwabna szata rozchyliła się przy tym ruchu, ukazując Stalowi na mgnienie oka jej nagie ciało.

- Spytam więc.

Przy klatce zaś zwróciła się do jeńca.

- Słuchaj chłopcze. Powiedz mi w jakim celu Ludzie-Ryby przybyli do waszej wioski.

Zapytany odszedł ku przeciwległej ścianie drewnianej klatki. Milczał.

- Mów !

Znowu brak odpowiedzi.

Thayla zastanowiła się przez moment. Czy ona będąc na jego miejscu powiedziała by cokolwiek, wiedząc, że i tak skończy jako potrawa na półmisku tych, którzy ją pojмали ? Na pewno nie.

- Dobrze więc. Powiedz co wiesz, a będziesz wolny.

Usłyszała za plecami krótkie przekleństwo Rayka, a potem także jego kroki.

- Zaraz, Thayla !

Powstrzymała go niecierpliwym ruchem dłoni.

- Bądź cicho, mój mężu !

Chłopiec spojrzał badawczo najpierw na króla, a potem na nią.

- Czy to prawda ? Jeśli wam powiem, pozwolicie mi odejść ?
- Przysięgam na grób mojej matki – odparła Thayla.

Chłopiec zdawał się rozważać przez moment tą propozycję. Po chwili zaś powiedział.

- Ukradli Nasienie. Widziałem jak jeden z nich brał je. Chciałem iść za nim, ale mnie schwytał.

Thayla spojrzała na chłopca. Nasienie ? Zapewne chodziło o Talizman Lasu. Jak to się mogło stać, że Ludzie-Ryby dokonali tego, co od tak dawna nie udawało się Pilim ?

- Na Wielkiego Smoka ! To prawda ?
- Tak, Pani.

Thayla odwróciła się i spojrzała ze wściekłością na Stalą.

- Ty głupcze ! Pozwoliłeś im odejść z tak wielkim skarbem !
- Thayla ... – zaczął Rayk.

Spojrzała na męża, ale nie odezwała się ani słowem. Rayk nie potrzebował jednak więcej słów.

- Przygotuj swych żołnierzy. – zwrócił się do Stalą – Pełny skład. Weź ich tylu, byśmy mieli przewagę nad Ludźmi-Rybami. Osobiście was poprowadzę. Jeśli dopisze nam szczęście, pochwycimy ich, zanim dotrą do wielkiego jeziora.

Gdy Stal wybiegł z jaskini, Rayk odwrócił się ponownie ku Thayli.

- Lepiej, byś ich złapał – powiedziała ona – Jeżeli Mag z Jeziora położy swe łapy na talizmanie, będzie dla nas stracony.

- Pani ... – to był głos chłopca z klatki – czy zapomniałaś, że obiecałaś mi wolność ?

Thayla nawet nie spojrzała w jego kierunku.

- Nie bądź głupi, chłopcze. Nigdzie nie pójdziesz.

- Złożyłaś przysięgę !
- Kłamałam. Możesz poskarżyć się swemu bogu, gdyż wkrótce go spotkasz. Za cztery dni.

Kleg przewidywał spokojną podróż. Nie mógł jednak wziąć pod uwagę czegoś, czego zresztą nie potrafili przewidzieć żaden selkie – pogody. Prawie natychmiast po tym jak opuścili pustynię i dotarli do wzgórz, zaczęło się zbierać na burzę.

Kleg czuł wilgoć w powietrzu i prawdę rzekłszy, było to nawet przyjemne uczucie, niemniej jednak mogło poważnie opóźnić ich podróż.

I burza nadeszła. Purpurowo-szare postrzępione chmury przesłoniły słońce. Rozpoczął się taniec błyskawic, a bogowie niebios zaczęli bić w swe bębny. Dosięgnął ich podmuch wiatru, wilgotny i potężny, a już po chwili spadła na nich szara kurtyna deszczu. Grube krople opadły na wyschlą ziemię, wzbijając w pierwszej chwili chmury pyłu. Potem zaś wodny żywioł rozszalał się w całej okazałości. Świat stał się czarny. Nie widzieli niemal nic, a ich zwierzęta zatrzymały się, odmawiając zrobienia choćby kroku, choć kłuli je ostrzami włóczni.

Kleg uniósł twarz i uśmiechnął się z radością na powitanie deszczu. Jeśli nie można go uniknąć, należy się nim cieszyć.

Wody było tak wiele, że niemal można było dokonać Przemiany i wdychać ją. Kusiło go, by zmienić swą formę i położyć się choćby częściowo zanurzonym, w jednym z głębokich stawów, które tworzyły się koło niego.

Powstrzymał jednak ten odruch, choć była to kusząca myśl.

Nie było ryzyka powodzi, gdyż znajdowali się w stosunkowo wysokim miejscu, choć niektóre z małych strumyczków, które przecinali, niżej na pewno staną się sporymi rzekami.

Ale nawet rzeka nie była dużą przeszkodą dla selkie. Zwierzęta mogły wprawdzie odmówić jej przekroczenia, ale wtedy posłużą za obiad dla swych jeźdźców, po tym jak dokonają Przemiany.

To zresztą byłby najlepszy sposób ich wykorzystania, zamiast męczyć się z nimi przez całą drogę do domu – pomyślał Kleg. Stwórcy generalnie nie obchodził los takich zwierzaków, a już z pewnością nie będzie o nich wspominał, gdy przyniosą mu talizman, który teraz znajdował się w sakiewce Klega.

Na razie jednak selkie po prostu uśmiechał się i radował się deszczem.

Leśni Ludzie zebrali na tą wyprawę grupę około dwóch tuzinów uzbrojonych wojowników, zarówno mężczyzn jak i kobiet. Co więcej, mieli jakieś dziwnie wyglądające zwierzaki tropiące, które przypominały wielkie koty i których Conan nigdy dotąd nie widział. Koty miały długie smycze i było ich z tuzin, po dwa lub trzy na każdego przewodnika.

Cheen i Tair narzucili szybkie tempo, ale nie stanowiło ono żadnego problemu dla Conana. Mógłby podróżować nawet znacznie szybciej. Cymmerianin nie potrafił chodzić po drzewach, tak jak ci ludzie, ale oni z kolei byli kiepskimi tropicielami.

Conan zaś z łatwością dostrzegał trop selkich, nawet na ruchomych piskach terytorium Pilich.

Gnani troską o brata i talizman, Cheen i Tair zgodzili się na propozycje Cymmerianina, by poszedł przodem.

Zostawił ich z tyłu, podążając śladem, który dla niego był wyraźny jak szeroka droga.

- I uważaj na psy Pilich ! – usłyszał jeszcze za sobą pożegnalny krzyk Cheen.
- Będę ! – odkrzyknął ku niej.

Pilich była niemal setka, a grupę uzupełniało co najmniej pięćdziesięciu podobnych do smoków Korgów. Te ostatnie wrywały się do przodu śladem Ludzi-Ryb, tak że Pili musieli podążać za nimi prawie biegiem.

Thayla spoglądała na ich wymarsz. Ten głupiec, jej mąż zrobiłby lepiej, gdyby faktycznie schwytał tych przeklętych selkich.

Z uśmiechem odwróciła się ku drzwiom do swych komnat. Jeżeli zajmie im to więcej niż kilka dni, spóźnią się na ucztę. Szkoda. Choć nie dla tych, którzy zostali. Zwłaszcza dla niej, królowej. Bo ona otrzyma najlepsze części ciała człowieka, włączając w to kawałki zwykle zarezerwowane dla króla.

Rzadko zdarzało się tak, by zachodzące wydarzenia, nie miały żadnych dobrych stron. Trzeba

było tylko umieć je dostrzec.

Na samą myśl o uczcie poczuła jak w jej ustach zbiera się ślina.

7.

Conan miał już pół dnia przewagi nad Leśnymi Ludźmi, gdy dotarł do miejsca, gdzie selkie spotkali się z jakąś inną, nieznaną grupą. Daleko na wschodzie słyszał odgłosy burzy, ale tutaj suchy jak pieprz piasek zachował wyraźnie wszelkie ślady, zniekształcone co najwyżej nieznacznie przez słońce i wiatr. Wyczytał więc z nich, że zza piaszczystych wydm przysła tutaj grupa osobników, których ślady stóp różniły się znacznie od tych, pozostawianych przez selkich. W pierwszej chwili uznał, że są to ślady ludzi, ale przyjrząwszy im się bliżej, dostrzegł pewne różnice. A więc Pili – pomyślał – jako, że było to ponoć ich terytorium.

Olbrzymi Cymmerianin, nie zważając na przypiekające go bezlitośnie promienie słoneczne, kucnął i uważnie przyjrzał się miejscu spotkania. Tutaj był trop dwóch selkich, którzy oddalili się od swej grupy, by spotkać się z jedynym Pilim. Jeden z selkich niósł coś ciężkiego, wystarczająco ciężkiego, by jego ślady były znacznie głębsze. A potem, po spotkaniu, oddalił się już bez tego obciążenia, za to trop powracającego Pili nagle zaczął odbijać się znacznie mocniej. Conan znalazł też małe wgłębienie w ziemi, w którym przebywał przez moment ów ciężar. Był znacznie mniejszy, niż ważyłby dorosły mężczyzna, ale z całą pewnością mógł pasować do młodego chłopca.

Cokolwiek to jednak było, zabrał to Pili.

Z całą pewnością Conana nie można było nazwać wykształconym tak, jak rozumieli to słowo cywilizowani ludzie, jednak na temat czytania tropów, jego wiedza była znaczna. Selkie dali tutaj coś Pilim. Wedle tego, co mówiła Cheen, kiedy rozpoczynali pościg, selkie i Pili nie żyli w przyjaznych stosunkach. Naturalne byłoby więc starcie pomiędzy tymi dwoma grupami, zwłaszcza na tym terytorium.

Conan powstał znad tropów. Spojrzał na północ, gdzie oddalał się trop Pilich ...

Cheen mówiła, że Ludzie-Jaszczury lubili ludzkie mięso. Conan więc doszedł do wniosku, że mogła tu zajść jakaś transakcja, a Hok mógł być czymś w rodzaju łapówki. Którędy więc powinien podążać ? Trop selkich biegł na wschód i to oni ukradli magiczne nasienie oraz uprowadzili chłopca. Ale jeżeli to Pili mają teraz Hoka, prawdopodobnie groziło mu większe niebezpieczeństwo. Selkie chcieliby go żywego dostarczyć swemu władcy. Pili zaś mogli go pożreć w każdej chwili.

Conan podjął decyzję. Nasienie z pewnością przetrwa jakiś czas, chłopiec raczej nie. Skierował się na północ.

Zerwał jednak wcześniej kilka gałązek z jednego z karłowatych krzewów, połamał je i ułożył na ziemi wyraźną strzałkę wskazującą na trop Pilich. Pod nią zaś ułożył coś, co mogło przypominać małą figurkę człowieka, która miała przedstawiać Hoka. Drugą strzałkę skierował grotem w stronę oddalającego się tropu selkich i pod nią z kolei zostawił symbol, który miał obrazować Nasienie. Kiedy Cheen i Tair oraz inni dotrą do tego miejsca, będą wiedzieć dokąd poszedł Conan i dlaczego. Przy odrobinie szczęścia znajdą jego znaki, zanim wiatr pokryje je pyłem.

Pociągnął jeszcze spory łyk wody z bukłaka przewieszzonego przez ramię, poprawił miecz przy pasie i ruszył na północ.

Fala burzowa, która powstrzymała pochód selkich, była tylko jedną z wielu następujących po sobie i chociaż Kleg zżymał się na tą stratę czasu, niewiele mógł zrobić. Bóg potrafiłby może powstrzymać deszcz, ale on będąc tylko selkim, mógł wyłącznie czekać.

Kilka znajdujących się w okolicy płytkich kałuż, zmieniło się w całkiem głębokie rozlewiska. A ponieważ i tak musieli tu siedzieć beczynn timer, Kleg zadecydował, że mogą spędzić ten czas nieco przyjemniej.

- Przyrowadź tu jakiegoś scrata ! - rozkazał jednemu ze swych selkich. Musiał naprawdę głośno wrzeszczeć, aby ten usłyszał go przez huk padającego deszczu - Wepchnij go tego jeziora !

- Lordzie Pierwszy ? - selkie był wyraźnie zdumiony tym poleceniem.

Kleg uśmiechnął się szeroko pokazując komplet swych zębów.

- Myślę, że braci ucieszyłaby kąpiel i mała przekąska ?

Na twarzy selkiego zagościł uśmiech, będący odbiciem wyrazu twarzy Klega.

- Tak, Pierwszy. Natychmiast !

Thayla wracała właśnie z kuchni, gdzie wydała niezbędne polecenia dotyczące przygotowania uczy na Festiwal Księżyca, gdy usłyszała jakiś ruch na zewnątrz. Czyżby jej mąż tak szybko powrócił z magicznym talizmanem ?

Królowa zatrzymała młodą samicę, zdążającą od strony głównego wejścia do jaskiń.

- Co to za hałasy, tam na zewnątrz ?

Zatrzymana była naga, jeśli nie liczyć skórzanej przepaski na biodrach. Była też bardzo młoda, jej piersi ledwo zaczynały się kształtować. Ukłoniła się i odparła.

- Korgowie, Pani.

- Myślałam, że król zabrał Korgów ze sobą ?

- Nie wszystkich, Pani.

Thayła wyszła zobaczyć osobiście, z jakiego powodu zwierzaki wszczęły tumult.

Pustynny wiatr na zewnątrz był gorący jak piec, ale niósł także lekką wilgoć. Na wschodzie najwyraźniej padało, choć dość daleko stąd. Tutaj deszcze były niezwykle rzadkością. Zdarzały się nie częściej jak raz, dwa razy w roku i nie były zbyt obfite.

Opiekun Korgów wrzeszczał na kilka głupich jaszczurów, które niezwykle podniecone, rzucały się tam i z powrotem w swej zagrodzie.

- Zamknijcie się wy tępe zwierzaki !

Opiekun Korgów był starym Pili. Był już w podeszłym wieku, gdy Thayła, jeszcze jako dziecko, zobaczyła go po raz pierwszy, i zdawał się wcale nie zmieniło od tego czasu.

- Co się dzieje, Rawl ?

Starzec wzruszył ramionami.

- Nie wiem, Pani. Ale Korgowie coś wyczuwają.

- I co z tym zrobisz ?

Ponownie wzruszył ramionami.

- Nic. Król rozkazał trzymać to stadko zamknięte.

- Króla tu nie ma. Ja tu jestem. Uwolnij Korgów niech ścigają to, co je niepokoi, a my będziemy mieć tu trochę spokoju.

- Według rozkazu, królowo Thaylo.

Rawl otworzył bramę zagrody, a Korgowie wymknęli się natychmiast sadząc swymi śmiesznymi susami. Ich grube ogony pomagały im utrzymać ciało w równowadze.

Thayła nie dbała specjalnie o ich los. Gdyby to zależało od niej, w ogóle nie trzymałaby ich w jaskiniach. Żarły więcej, niż same przynosiły z polowania i tylko mężczyźni Pili sądzili, że mają

jakaś wartość. Być może dlatego, że mężczyźni w sposobie myślenia i działania byli bardzo podobni do Korgów - pomyślała. Miała dość żołnierzy do strzeżenia jaskiń, bez pomocy tych głupich zwierzaków, czyniących tyle hałasu, więc życzyła im udanej podróży. Może w ogóle nie powrócą.

To była dość przyjemna myśl.

Conan dostrzegł zbliżające się figurki jeszcze na długo przedtem, nim go dopadły. Jego bystre oczy z daleka oceniły, że będzie miał przeprawę z następnym stadem, tych podobnych do smoków zwierząt Pilich.

Rozruszał mięśnie ramion i barków, i dobył miecza. Szybko rozejrzał się po okolicy i stwierdził, że nie ma tu się gdzie schować. Na lewo było jedynie małe wzgórze, nie wyższe zresztą niż kilka metrów. To mogło dać niewielką przewagę w walce. Miał może minutę, nim gady go zaatakują, toteż wykorzystał ją, by podbiec do tego pagórka. Zaczął wspinać się w górę.

Był już prawie na samym szczycie, gdy o mało nie wpadł w jakiś dół, który dostrzegł niemal w ostatniej chwili. Wykopane w piasku zagłębienie było głębokie, może nawet dwa metry, a jego ściany były strome. Dziwne. Zdawało mu się, że widział już kiedyś podobną jamę, ale teraz nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

Conan okrążył dół i stanął na szczycie pagórka. Może chociaż jeden z Korgów wpadnie w ten rów, jeśli będzie biegł szybko i nie dostrzeże go w porę. To prawda, że powinien się stamtąd bez większych problemów wydostać, ale może chociaż to da mu trochę czasu, by zająć się pozostałymi.

Poprawił uchwyt dłoni na rękojeści miecza. Siedmiu. Niedobrze. Jeśli to miała być jego ostatnia bitwa, przynajmniej nie sprzeda tanio swojej skóry. Stanie przed Cromem z tyłoma zwierzakami, z iloma tylko zdoła. Miał nadzieję, że Crom zapomniał o ich ostatnim spotkaniu, chociaż zważywszy, że było to tak niedawno ...

Jaszczury nadbiegły sycząc i warcząc. Zdawały się w ogóle nie zwracać uwagi na wzniesienie, wbiegły na nie, nie zmieniając w ogóle tempa biegu. Kły lśniły w ich pokrytych łuskami pyskach.

Conan uniósł miecz w oczekiwaniu na pierwszy cios. Może uda mu się położyć dwa na raz, jeśli machnie wystarczająco silnie ?

Jakiś bóg był jednak dziś w nastroju do żartów, bo pierwszy z Korgów nawet nie spojrzął pod nogi i gładko wjechał do jamy pod stopami Conana. Olbrzymi Cymmerianin nawet stojąc twarzą w

twarz ze śmiercią, nie mógł powstrzymać się przed uśmiechem. Głupie bydle.

Jednak kolejny z Korgów, widząc los jaki spotkał jego towarzysza, zwolnił i zaczął okrążyć jamę. Słońce błysnęło na jego białych kłach, gdy skoczył na Cymmerianina. Ten postąpił krok w lewo i ciął swym mieczem, wkładając w to całą siłę swego ramienia. Zawył przecinane powietrze. Ostrze uderzyło w szyję jaszczura, przeszło przez łuski, i gładko zdjęło mu głowę z karku. Pozbawione głowy ciało, jeszcze wciąż w biegu, przemknęło obok Conana. Ten zaś zwrócił się ku kolejnemu napastnikowi. Rozpłatał mu brzuch, nadstawiając ku skaczącemu potworowi znajdujące się przy ziemi ostrze. Wypłynęły wnętrzności, a jaszczur skulił się, zapominając zupełnie o Conanie.

Ale następne cztery już niemal siedziały mu na karku.

Cofnął się o krok i wyszarpnął miecz. Może zdoła jeszcze jednego, dwa ... jeśli będzie miał szczęście ...

Pierwszy z Korgów wrzasnął przeraźliwie z głębokiej jamy. To był długi przeciągły ryk, który zakończył się jak ucięty nożem.

Conan zaryzykował szybkie spojrzenie na dół, w momencie gdy udało mu się wbić miecz w kolejnego z napastników. Coś wyłaziło z jamy i nie był to wcale Korga, który się tam zsunął.

W tej właśnie chwili Conan przypomniał sobie, gdzie widział już podobną jamę. Była o wiele, wiele mniejsza i należała do podobnej do pająka istoty, żywiącej się mrówkami i innymi małymi owadami, które miały pecha i wpadły w tę pułapkę.

To jednak, co teraz wpełzało z jamy, było dwukrotnie większe od jaszczurów, z którymi walczył. Pająk ze snu szalonego boga. Czarny, włochaty, pozbawiony oczu za to z ośmioma odnóżami i ze szczypcami o grubości męskiego ramienia, ociekającymi trucizną.

- Na Croma !

Szybciej niż wydawało się to możliwe, potwór wspiał się na szczyt wzgórza i pochwycił jednego z zaskoczonych Korgów. Szczęk jego szczypiec był niezwykle donośny. Tylko jeden ... i Korga został dosłownie przepołowiony.

Jego towarzysze rozbiegli się we wszystkie strony, z głośnymi sykami przerażenia. Potwór zaś zaczął ścigać najbliższego z nich. Był wielki, ohydny i szybszy niż jego ofiara ...

Conan odwrócił się i pognał w przeciwnym kierunku.

Być może ta piekielna bestia wolała mięso Korgów od ludzkiego, ale on nie miał zamiaru tego

sprawdzać. Niech pożywi się i nasyci Korgami.

A mimo, że uciekał pełną szybkością, uważnie jednak patrzył gdzie stawia stopy.

Kleg wszedł do małego jeziora z uśmiechem rozkoszy. Deszcz wciąż padał, choć trochę drobniejszy. Potem, kiedy woda sięgnęła do jego pasa, piersi, szyi, deszcz przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Zanurzył się całkowicie i rozpoczął Przemianę.

Wziął pierwszy wdech pod wodą, a po bokach jego szyi pojawiły się skrzela. Kości rozciągały się, czemu towarzyszyło trzeszczenie ścięgien. Całe ciało zmieniało swój kształt. Także nogi wydłużyły się i połączyły w jedną kończynę, a stopy uformowały w ogon, dłuższy po wierzchniej stronie, niż od spodu. Ręce wniknęły w boki jego smukłego ciała, a dłonie zmieniły się w płetwy. Na plecach Klega wyrosła płetwa grzbietowa o deltowatym kształcie, a podobne choć mniejsze płetwy pojawiły się także po stronie brzusznej. Jego oczy cofnęły się a usta poszerzyły, z twardniejących dziąseł wyrosły rzędy ostrych kłów.

Po kilku sekundach Przemiana była zakończona. To co kiedyś było podobnym do człowieka Klegiem, teraz było dwukrotnie większe i pokryte twardą skórą przypominającą w dotyku pumeks. Śmiercionośny wodny łowca.

Jednym machnięciem ogona Kleg pchnął swe przemienione ciało przez wodę. Jego nowe zmysły powiedziały mu o obecności miotającego się w wodzie scrata.

Był zwierzyną łowną, więc los scrata był przesądzony.

Kleg wiedział, że wokół są jego bracia, którzy właśnie także przechodzili Przemianę. Oni także czuli ofiarę. Ale Kleg był pierwszy. Otworzył swą potężną paszczę i ukąsił głęboko.

W chwilę później błękitna woda przybrała karmazynową barwę. Scrat przestał się miotać.

8.

Dimma popłynął poprzez korytarze swego zamku ku najlepiej strzeżonemu pomieszczeniu, w którym krył się jego największy skarb - osiem przedmiotów stanowiących składniki lekarstwa, które miało go uzdrowić. Brakowało już tylko jednego, ale i ten wkrótce będzie miał, gdy tylko jego pierwszy selkie powróci ze swej misji.

I znów będzie materialny ! Już nigdy nie będzie obawiał się nadejścia tego nagłego chłodu, który oznaczał początek przemiany w mgłę. Gdy tylko znów będzie władał swym ciałem wiele spraw w jego królestwie ulegnie zmianie. Znów zacznie działać, usunie wszystkich, którzy staną mu na drodze, będzie władał wszystkim, na co padnie jego wzrok. Ćwiczył swą magię przez pięćset lat i na pewno nie popełni już błędów, które miały miejsce w przeszłości. Nie będzie już Dimmą Magiem z Mgieł, będzie Dimmą Niszczycielem. Będzie królem. Może nawet uczyni Seg swą królową ... dopóki się nią nie znudzi i nie znajdzie jakiejś nowej piękności, która ją zastąpi, a potem następnej i następnej. Wiele było do zrobienia po tych wiekach czekania. Dawno zapomniane przyjemności, armie które musiał zniszczyć, wioski i miasta, które miał zniewolić ... taka jest wola Dimmy Niszczyciela.

Tak. Podobało mu się brzmienie tego imienia.

Conan przed sobą ujrzał skaliste wzgórza, które musiały być siedzibą Pilich. Prosto ku nim wiódł go trójpalczasty trop unicestwionych przez niego Korgów. Skaliste kopce na pustyni były rozrzucone nieregularnie, jakby zrobił to od niechcenia jakiś znudzony bóg. Conan przypadł do ziemi i obserwował okolicę.

Pili wybrali na swą siedzibę miejsce, z którego mogli łatwo zauważyć przybyszy. Okolica co najmniej w obszarze półgodzinnego marszu była płaska i pustynna, jeśli nie liczyć kilku zaledwie kęp zeschniętych krzaków. Nawet niezwykle doświadczony zwiadowca miałby kłopoty z podejściem do skał, nie alarmując mieszkańców. A grupa trzech lub czterech, zwłaszcza w dzień, została by zauważona nawet przez ślepcę.

Tak - zdecydował Conan - tylko pod osłoną nocy, jeden człowiek mógł próbować tam się wślizgnąć i to pod warunkiem, że wiatr będzie korzystny i nie zwęszą go zwierzęta i w dodatku

zakładając, że Pili nie widzieli w nocy lepiej niż ludzie. To było ryzykowne, ale wszak planował zostać złodziejem w Shadizar. Każdy potrzebował nieco praktyki, by dobrze wykonywać swój zawód.

Conan podczołgał się ku jednemu z większych krzaków i przypadł w jego cieniu. Noc nadejdzie niedługo. Zaczeka ... a w międzyczasie zdrzemnie się nieco.

Kleg spojrzął na przejaśniające się niebo. Zaspokoił już głód, a jego forma znów przypominała kształtem człowieka. Deszcz zamierał, a po chwili ustał całkowicie. Popołudniowe powietrze było chłodne, szybko zbliżała się nocna pora. Jutro z samego rana - zdecydował - podejmą swój marsz do domu.

Thayla obudziła się w swym łożu wciąż czując się zmęczona. Miała nadzieję, że ten głupiec jej mąż, zdoła zdobyć Talizman Leśnego Ludu, ale nie mogła niestety mieć co do tego żadnej pewności. Pili jako lud ginęli, temu nie dało się zaprzeczyć, ale z tym magicznym przedmiotem mogli osiedlić się daleko poza zasięgiem ludzkich szlaków i powrócić do swej niegdysiejszej potęgi. Wtedy to wszystko co jej się należy będzie należało do niej. Ale zanim to nastąpi, życie będzie wciąż pełne niepewności. Thayla odrzuciła jedwabne nakrycie i naga wyciągnęła się na łożu, eksponując lubieżnie swe ciało. Potrzebowała samca. Ale żaden z tych słabeuszy pozostawionych przez jej męża, nie mógł jej usatysfakcjonować. Najsilniejszych i najlepszych Rayk zabrał ze sobą i Thayla podejrzewała nawet, że zrobił to celowo, znając jej potrzeby.

Jako zamężna samica nie mogła wziąć do łoża nikogo prócz swego męża ale jeśli chodzi o nią, to był to tylko stary przesąd. Niemniej najlepsi odeszli z królem, pozostały samice, dzieci, kilku starców i młodzieńcy, którzy byli już silni, ale nie mieli doświadczenia jako kochankowie. Tej nocy jakoś nie miała ochoty przyuczać młodego samca.

Nie Thayla pragnęła samca pełnego siły, zręczności, wytrzymałości, i to pragnęła go teraz, natychmiast !

Żle. Może modlitwa do Wielkiego Smoka przyniesie jakiś rezultat ? Podarunek od bogów ?

Królowa Pilich przekręciła się na brzuch i sięgnęła po jedną z jedwabnych poduszek. Bogowie pomagają tylko tym, którzy sami sobie pomagają - stwierdziła z westchnieniem. Więc po

którego z tych nudnych młodzików posłać swą pokojówkę ?

Conan zbliżał się do skalnego kopca jak łowca podchodzący czujną sarnę. Pod ciemnym płaszczem nocy, nawet on ze swym bystrym wzrokiem miał kłopoty, by dojrzeć cokolwiek, na szczęście gdy podszedł bliżej przekonał się, że sami Pili ułatwią mu to zadanie.

Dymiąca pochodnia, umieszczona przy kamiennej ścianie, doskonale oświetlała zarówno strażnika jak i samo wejście do jaskini. Leżąc na piasku, Conan przypatrywał im się przez chwilę. Strażnik z tej odległości wyglądał zupełnie jak łysy człowiek. Miał na sobie coś w rodzaju krótkiej spódnicy, a pierś przecinały mu skórzane pasy. Jego skóra, w mdłym świetle pochodni, zdawała się mieć niebieskawy odcień, ale tu mógł się mylić. Cienka krótka włócznia w ręku uzupełniała ekwipunek, choć równie dobrze mogła to być długa strzała. Rozejrzał się więc w poszukiwaniu łuku, zamiast niego dostrzegł tylko drewnianą procę spoczywającą na ziemi, obok strażnika. Ona sam nie zdawał się być specjalnie czujny, stał oparty o ścianę i prawie drzemał.

Ziejący w skale ciemny otwór wejścia niepokoił Conana znacznie bardziej, niż pojedynczy strażnik. Nie przepadał za takimi miejscami, zwłaszcza po swych ostatnich przygodach w podziemnych jaskiniach, pełnych gigantycznych robali, nietoperzy wampirów i innych kreatur tego typu. Ale przyszedł tu by pomóc Hokowi. Jeśli chłopiec był tu więziony, nie było innego wyjścia ... Pili raczej nie wyprowadziliby więźnia na zewnątrz na prośbę Conana.

Cymmerianin skręcił w prawo i stąpając ostrożnie, czujny na każdy, najmniejszy nawet szelest z pustyni, doszedł do skalnej ściany na lewo od strażnika. Podszedł tak blisko, jak to tylko było możliwe, by nie zostać zauważonym. W tym czasie strażnik przestąpił z nogi na nogę i mocniej oparł się o ścianę. Dwukrotnie ziewnął przy tym szeroko. Najwyraźniej czujność zmysłów nie była podstawową zaletą Pilich.

Plan Conana był dość prosty. Dostrzegł kamień nieco mniejszy od pięści i unióśł go prawą dłonią. W lewej zaś trzymał drobny kamyczek, który zamierzał rzucić przed strażnika. Pili powinien odwrócić się, by poszukać źródła hałasu, a wtedy Conan zamierzał huknąć go w łysy łeb głazem.

Rzucony kamyczek odbił się od skałek i zniknął gdzieś w ciemnościach. Strażnik jednak nie poruszył się ani nawet nie wykazał najmniejszych oznak zainteresowania tym dźwiękiem.

No cóż, być może pękające pod wpływem nocnego mrozu skałki wydawały podobne dźwięki i strażnik był doń przyzwyczajony. Należało to wziąć pod uwagę.

Następny rzucony kamyczek był więc większy. Za to rezultat taki sam.

Może Pili mieli słaby słuch ?

Conan uniósł następny kamień, tym razem niemal tak duży jak głaz, który miał mu posłużyć za broń. To musi zwrócić jego uwagę. Wziął zamach. Kamień, rozmiarów co najmniej pięści chłopca, upadł hałaśliwie pod nogi strażnika. Pili nie zareagował.

Conan ruszył przed siebie. Jeśli nie usłyszał tego ostatniego dźwięku, nie usłyszy też z pewnością jego kroków. W połowie drogi od strażnika uniósł kamień ... podszedł bliżej ... zatrzymał się.

Strażnik oparty plecami o ścianę spał na stojąco. Conan pomachał mu przed twarzą wolną dłonią. Tak - uśmiechnął się - zaraz będzie spał jeszcze głębiej. Opuścił głaz.

Wewnątrz jaskini paliły się pochodnie umieszczone w nieregularnych odstępach po obu stronach korytarza. Wokół unosiła się woń piżma, co nawet nie było takie dokuczliwe. Było tu też cieplej niż na zewnątrz. Dostał się do środka i nie było to zbyt trudne. Teraz musiał tylko znaleźć chłopca i wydostać się stąd.

Nie - zdecydowała Thayla - nie będzie budzić pokojówki, by przyprowadziła jej młodego samca. Nie było to warte tak wiele wysiłku. Królowa wstała z łoża i sięgnęła po szatę. Przejdzie się nieco i powdycha nocne powietrze. Korgowie nie wrócili, więc nie będzie musiała wysłuchiwać ich syków. Wprawdzie to, że nie wrócili nieco zaniepokoiło Rawla, ale królową ani trochę. Głupie zwierzaki.

Wyszła ze swej sypialni na korytarz ... i w tym właśnie momencie dostrzegła cień człowieka mijającego sąsiednie skrzyżowanie ...

Thayla zamarła. Nie dostrzegł jej. Człowiek ? Tu w jaskiniach ? Jakim cudem ?

Już miała podnieść alarm, ale powstrzymała się. Może to było przywidzenie. Może jej niezaspokojone pożądanie zaćmiło umysł i widzi coś, czego nie ma. Uśmiechnęła się na tą myśl - kto wie ? Już wyobraziła sobie co by było, gdyby wezwała strażę i okazałoby się, że ścigają jej senne widziadła.

Thayla doszła więc do skrzyżowania i wyjrzała za róg na swą senną zjawę, spodziewając się zobaczyć pustkę ...

Był tam. Patrzył w przeciwnym kierunku nie podejrzewając nawet, że jest obserwowany.

Potrząsnęła z niedowierzaniem głową, ale czuła wyraźnie jego zapach, widziała dokładnie jego niewiarygodnie szeroki i muskularny tors, słyszała szelest jego sandałów na kamiennym podłożu. To nie był sen - on rzeczywiście istniał ! Największy przedstawiciel tego gatunku, jakiego kiedykolwiek widziała. Szerokie barki, długie nogi, grube uda i ciemne futro na głowie.

Zadrżała. Co on tu robi ?

Zaczęła ostrożnie iść za nim krok w krok. Nieważne po co tu przybył. Bogowie uśmiechnęli się do niej łaskawie i spełnili jej życzenie. Nawet jeśli to był sen, miała zamiar cieszyć się nim do końca.

Conan poczuł chłód. Zatrzymał się i rozejrzał uważnie wokół. Nie widział nic podejrzanego. Przeszedł już przez kilka pomieszczeń, w których spali Pili ale nigdzie nie znalazł Hoka. Schodził coraz głębiej.

Thayla weszła do jednej z sypialń i zbudziła młodego samca. Wybrała takiego, który miał więcej mięśni, niż rozumu.

- Królowa ? ...

- Cisza ! Chodź ze mną !

Samiec wstał posłusznie.

Po kilku kolejnych zakrętach korytarza, Conan zatrzymał się przed wejściem do obszernej pieczary. Wszedł doń. W środku pod jedną ze ścian stała drewniana klatka, a w niej widział kształt śpiącego Hoka.

Conan podszedł do klatki. Nareszcie.

Drzwi klatki blokowało kilka dźwigni, których nie można było dosięgnąć ze środka, ale które bez większych problemów można było otworzyć z zewnątrz. Sięgnął po jedną z nich. Lepiej na

razie go nie budzić - zdecydował - zaskoczony może narobić hałasu.

- Stań tutaj ! - rozkazała Thayla swemu towarzyszowi - I weź to !

Podawała mu grubą tyczkę, której używano do strącania gnieźdzących się na suficie nietoperzy.

Potem zaś królowa stanęła w progu komnaty więziennej.

- Hej, człowieku - powiedziała.

Na dźwięk tego cichego głosu Conan odwrócił się gwałtownie, dobywając miecza. W słabym świetle dostrzegł stojącą w drzwiach kobietę. Była łysa i odziana w jakąś powiewną tkaninę. Gdy na nią patrzył, właśnie jednym ruchem pozbyła się tego odzienia, które zsunęło się ku jej stopom, pozostawiając ją całkowicie naga.

Conan patrzył bez słowa. Może była łysa, ale poza tym miała wszystko co powinna mieć kobieta. Jej piersi były ciężkie i pełne, biodra szerokie i wabiące, a ramiona rozwarte lekko, jakby w geście zaproszenia. Może i była to Pili, ale niezwykle piękna. Conan nie widział wielu kobiet, które byłyby bardziej ponętne.

Kobieta zaś - nie, Pili - uśmiechnęła się doń.

- Chodź - powiedziała - Mam coś dla ciebie.

Położyła dłoń na biodrze i przesunęła ją powoli w górę, aż do swej piersi .

Nie był na tyle głupi, by zajmować się kobietą w samym środku obozu nieprzyjaciela, ale zdecydował, że najlepiej będzie zapewnić sobie ciszę z jej strony. Szybkim ruchem podszedł więc, by ją pochwycić, gdy odwróciła się zamierzając wyjść z komnaty.

Była zaledwie kilka kroków przed nim, gdy wypadł na korytarz i wciąż oddalała się nie zwracając na niego uwagi. Za to on zwrócił, może zbyt baczna, uwagę na jej kołyszące się lubieżnie pośladki i długie nogi ...

W następnej chwili cały świat rozbłysnął nagle bólem i czerwienią, a potem powoli stał się nieprzeniknioną czernią.

9.

Selkie byli już niemal gotowi do wyruszenia w dalszą drogę, gdy jeden ze strażników wpadł pędem do obozu.

- Pierwszy ! Nadchodzą Ludzie-Jaszczury !

Kleg chwycił ciężko dyszącego selkie za ramię.

- Co ty bredzisz ?

Selkie zdołał złapać oddech.

- Cała armia, Pierwszy ! Są ich tysiące !
- Idioto ! Tylu Pilich nawet nie istnieje !
- Więc setki !
- Niech ktoś dźgnie włócznią tego bełkoczącego głupca.
- Tuziny Pierwszy ! Przysięgam na jajko, z którego przyszedłem na świat.
- Pokaż mi ich.

Wejście na pobliskie wzgórze zajęło kilka chwil i Kleg moment później stał na jego szczycie, obok zwiadowcy.

Na Stwórcę ! Strażnik mówił prawdę. Kleg widział co najmniej siedem lub osiem tuzinów Pilich oraz te ich żółwiopodobne stwory, których używali do polowań. Maszerowali tą samą drogą, którą selkie przemierzali dzień wcześniej. Czego chcieli? To była z pewnością wyprawa wojenna, a pomiędzy ich siedzibami, a wioską Kharatas na brzegu Ojczystego Jeziora, nie było żadnych osad. Jaszczury mogły szykować napad na Kharatas, ale to było mało prawdopodobne. Wioska była otoczona z trzech stron porządną palisadą, a z czwartej miała Sargasso. Nie, tym jaszczurom musiało chodzić o coś innego i Kleg miał przeczucie, że wie o co – o jego drużynę. Nie było to bezpiecznie dla tak małej grupy selkich. Ale dlaczego ? Nie posiadali niczego, co było warte pożądanego, niczego cennego ...

Nagle Kleg aż uderzył się dłonią w czoło, gdy spłynęło nań nagłe zrozumienie – talizman ! Ale jak się o nim dowiedzieli ? Kleg, Pierwszy Sługa Stwórcy, ponoć najsprytniejszy ze wszystkich selkich, sam im to właściwie obwieścił. Bo jak inaczej określić ten podarunek, tego przeklętego chłopca, który prawdopodobnie wszystko im wypaplał, nim został zjedzony. Ten chłopak przecież

widział jak Kleg bierze talizman ! Niech to szlag !

Kleg odwrócił się bez słowa i zbiegł ze wzgórza, a zwiadowca podążył za nim. Jaszczury na łądzie nie byli szybsi niż selkie. Mieli co najmniej godzinę przewagi i jeśli wyruszą natychmiast, utrzymają taką przewagę aż do Sargasso.

Tam mieszkańcy trzciny powstrzymają każdy pościg, a jeśli nawet ktoś zdoła się przez nich przedrzeć, spotka się z gniewem Stwórcy. A to oznaczało pewną śmierć !

Jeśli jednak jaszczury zdołają jakoś nadrobić tę godzinę, będą mieli znaczną przewagę ...

A Kleg musiał powrócić do domu z talizmanem !

Podjął decyzję co należy uczynić. Rozkazał swym żołnierzom, by zebrali się wokół. Po walce w lesie został ich tylko tuzin, ale to powinno wystarczyć przy dobrej taktyce.

- Ścigają nas Ludzie-Jaszczury – powiedział Kleg. – Mają przewagę liczebną mniej więcej osiem do jednego. Nasza misja musi zakończyć się sukcesem, więc pójdę przodem, a wy zostaniecie tutaj, by ich powstrzymać.

Reakcja selkich była całkiem spodziewana. Każdy żołnierz zaprotestowałby w takiej sytuacji.

- Zaraz – powstrzymał ich Kleg. – O pół dnia drogi przed nami jest rzeka, która po ostatniej burzy na pewno jest znacznie głębsza. Dojdziemy właśnie tam. Tam się Przemienicie i poczekacie na nich w wodzie.

Te słowa nieco poprawiły nastroje. Selkie mieli pewne umiejętności na łądzie, ale w wodzie nie był w stanie nawiązać z nimi walki żaden Pili. Nawet rozerwanie pół tuzina z nich nie powinno stanowić żadnego problemu, zaś Kleg dodatkowo ich zachęcił mówiąc :

- Kiedy już wybijecie jaszczury i powrócicie do domu, z całą pewnością zdołam przekonać Stwórcę, by nagroził każdego z was co najmniej dwoma nowymi żonami i dostępem do najlepszych łowisk.

W odpowiedzi zabrzmiał donośny ryk radości. Droga do serc selkie wiodła przez żołądek, a jeśli nie tędy, to istniała jeszcze inna...

A ponieważ wspominał o nich obu, był pewien sukcesu. Żywność i samice – pomyślał Kleg, – to zawsze odnosiło właściwy skutek.

- Wyruszamy ! I przygotujcie się na spotkanie wroga.

Conan zbudził się po długiej podróży w ciemnościach, nie pamiętając zupełnie gdzie się znajduje, ani skąd się tu wziął. W dodatku jego głowa pulsowała bólem. Czyżby wypił za dużo wina?

Cymmerianin usiadł i zobaczył, że znajduje się w klatce. Obok niego zaś siedział Hok.

Aha. Teraz pamiętał. Widział piękną, łysą kobietę. Była naga i przyzywała go. To była ostatnia rzecz, jaką zapamiętał, nim niebo zważyło mu się na głowę.

- O. Mój dzielny mężczyzna nareszcie się zbudził – usłyszał jakiś głos.

Conan odwrócił się w stronę skąd dochodził. To była ona – ta kobieta. Nie, nie kobieta – Pili, chociaż jeśli chodzi o jej wygląd nie było w zasadzie różnicy, poza brakiem włosów i lekko niebieskawym odcieniem skóry. Była owinięta czerwoną tkaniną, którą ostatnio widział leżącą u jej stóp.

Zapalono więcej pochodni i wewnątrz jaskini stało się zupełnie jasne. Kiedy kobieta Pili dostrzegła, że Conan na nią patrzy, uniosła lekko dłonie i rozchyliła poły swej szaty pokazując nagie piersi i pozostałe uroki swego ciała, które mógł już oglądać wcześniej.

- Widzę, że podobam ci się trochę – powiedziała.

Faktycznie – pomyślał Conan – mogła to widzieć. Zmienił nieznacznie swą pozycję.

Kobieta Pili roześmiała się. Kiedy podeszła bliżej Conan dostrzegł, że miała kocie oczy o wąskich pionowych źrenicach. Ale jej twarz nie była brzydka, chociaż tej części jej ciała poświęcił najmniej uwagi, ponieważ sposób w jaki się poruszała, wprawiał inne fragmenty jej ciała w ruch, który znacznie bardziej przyciągał wzrok.

Odstępy między prętami klatki były wystarczająco duże by Conan mógł wyciągnąć rękę i dotknąć jej ciała, kobieta jednak zatrzymała się poza zasięgiem jego ramienia.

- Jestem Thayla, królowa Pilich. – powiedziała – Witam w naszych jaskiniach.

- Zawsze trzymacie swych gości w klatkach ?

- Zazwyczaj. Ale nie obawiaj się, wkrótce zostaniesz uwolniony. Jak mam się do ciebie zwracać mój wspaniały mężczyzno ?

- Jestem Conan z Cymmerii.

- Czy wszyscy mężczyźni w Cymmerii są tacy ... wielcy ? – uczyniła przy tym mimowolny gest, który spowodował, że Conan zastanowił się przez moment, czy w jej słowach

nie ma ukrytego sensu ... nie, musiał się chyba pomylić.

- Nie wszyscy.
- A więc mam szczęście, że trafiłeś mi się właśnie ty - odparła. – Po co tu przyszedłeś ?
- Aby uwolnić chłopca – wskazał na Hoka. – Porwali go selkie.
- Cóż, może się jakoś dogadamy.
- Nie mam nic wartościowego, oprócz mojego miecza.

Uśmiechnęła się.

- Istotnie to imponująca broń.

Conan spojrział – na podłogę za królową, w miejsce, gdzie leżał jego miecz. Ona jednak patrzyła nie tam, lecz na niego.

Czego mogła od niego chcieć ? – zastanowił się.

Wiedział, że Pili są ludożercami, ale w jej oczach zdawał się widzieć głód całkiem innego rodzaju.

Woda, która była ledwie małym strumyczkiem, gdy selkie przekraczali ją poprzednio, teraz zamieniła się w prawdziwą bystrą rzekę, o mętnej wzburzonej toni. Jej silny prąd niósł nawet powalone drzewa i nawet po Przemianie, selkie z trudem będą musieli walczyć z jej mocą.

Trudno będzie utrzymać w niej pozycję – stwierdził Kleg.

Posłał więc zwiadowcę, by wypatrywał przybycia Ludzi-Jaszczurów. Jego żołnierze muszą poczekać do ostatniej chwili, nim rzuca się w te groźne odmęty.

Kleg sam brodził teraz w wodzie, czując jak potężny nurt uderza w jego nogi. Rzucił się nagle na powierzchnię wody, zmienił swój kształt tak szybko jak mógł i popłynął ku przeciwległemu brzegowi. Mimo iż był bardzo silny, nie było to łatwe zadanie. Dotarł oczywiście tam, gdzie zamierzał, ale prąd zniósł go w dół, co najmniej o sto długości ciała.

Po przybraniu ponownie dwunożnej formy, Kleg przespacerował się do najwęższego miejsca rzeki, które prawdopodobnie zostanie przez jaszczury wybrane do przeprawy.

Ponieważ żyły one na lądzie i były kiepskim pływakami, najprawdopodobniej zbudują coś w rodzaju promu. Ktoś odważny przeprawi się z liną i zbudowana tratwa będzie pływać wzdłuż tej

liny. Drzew w okolicy było sporo. Ale nawet samo zbudowanie prostej tratwy zajmie kilka godzin i ten czas powinien wystarczyć, by Kleg oddalił się od jaszczurów na bezpieczną odległość. A kiedy tratwę się wywróci i zamieni przy tym część jaszczurów w padlinę, złapanie jej lub budowanie następnej, zajmie kolejne godziny. Kleg przypuszczał, że może liczyć na co najmniej pół dnia dodatkowego czasu.

Pierwszy Selkie uśmiechnął się.

Nakazał swym żołnierzom udać się w górę rzeki, by atakując mogli skorzystać z siły prądu. Tam ukryją się w gęstych krzakach i zaczekają na jaszczury. Gdy tratwa będzie gotowa, wskoczą do wody i zaatakują.

Kleg czuł, że jego plan jest bez zarzutu. Był dumny z opracowania tak wspaniałej taktyki. Teraz pozostało tylko poczekać tu, by przekonać się osobiście, jak się sprawdzi w praktyce. Mógł pozwolić sobie na stratę tej godziny i tak zyska znacznie więcej czasu. Ci co przeżyją przeprawę, nigdy nie zdołają go dogonić, gdy będzie miał taką przewagę. Zakładając, że będą jeszcze mieli ochotę kontynuować pościg.

Kleg znalazł więc wygodne miejsce i czekał na zbliżającą się rzeź z rosnącym zainteresowaniem.

Królowa pozostawiła Conana w klatce, w towarzystwie Hoka.

- Mają zamiar nas zjeść ! – zawołał chłopiec, gdy zostali sami.
- Może nie – odparł Conan – Królowa sugerowała, że może uda się osiągnąć jakieś porozumienie
- Ona kłamie. Powiedziała, że będę wolny jeśli powiem jej, czego selkie chcieli w naszej wiosce. Powiedziałem, a ona tylko roześmiała się, gdy poprosiłem, by w zamian otworzyła klatkę.

Conan skinął w milczeniu głową. A więc królowej nie można ufać. Dobrze wiedzieć.

- Jeszcze nas nie jedzą, chłopcze – powiedział – zobaczymy co będzie.

Usunął kilka leżących w klatce kamieni ku jednej ze ścian, aby oczyścić sobie podłogę, na której z rozkoszą wyciągnął się na wznak.

- Co ty właściwie robisz ?- zapytał Hok.

- Idę spać.
- Jak możesz teraz spać ? Musimy znaleźć wyjście z tej klatki !
- Wyjście z tej klatki jest przez te drzwi, chłopcze. Kiedy tu przyjdą i je otworzą, będziemy mieli wyjście, a w międzyczasie chcę się przespać.
- Ale ..ale ... ale ...
- Obudź mnie jeśli zaczną nas jeść.

To rzekłszy Conan zamknął oczy i zapadł w sen. Chociaż był to lekki i czujny sen.

Chłopiec był przerażony i miał zresztą do tego prawo, ale w tym momencie Conan nie mógł nic zrobić. Mógł natomiast odpocząć i odzyskać siły, co mogło przydać się później. Miał przeczucie, że przynajmniej na razie królowa Pilich nie zmierza zrobić z niego zupy. Jej chodziło o co innego.

Po komnacie królowej krzątały się trzy pokojówki, sprzątając pomieszczenie.

- Nowe poduszki ! – rozkazała Thayla – Grube. I zapalcie kadzidełko. To czarne, intensywne. Ruszajcie się !

Thayla przyglądała się biegającym pokojówkom, ale wewnątrz swego ciała czuła już narastające podniecenie. Ten olbrzym z pewnością dostarczy jej niewiarygodnych rozkoszy. Nie mogła wprost się doczekać. Mogła trzymać go tu kilka dni, nim nie wróci jej mąż. Na festiwalową ucztę można zjeść chłopca, ale ten wielki mężczyzna nie zostanie zjedzony, dopóki zupełnie nie wyczerpie jego męskich sił. Nieważne jak długo to będzie trwało.

Oczekiwała z niecierpliwością, aż będzie mogła przystąpić do dzieła.

A jednak rzeczywistość rozmijała się nieco z planem Klega.

Po pierwsze jaszczury wcale nie poszły na drugą stronę pływaka z liną. To nie był taki duży problem. Jeśli chcą zbudować kilka tratw i przepawić się wszyscy naraz, albo użyją tej samej kilka razy nie dbając o to, że będą przesuwane się cały czas w dół rzeki; tym lepiej.

Ale potem zamiast zabrać się za ścinanie drzew, jaszczury zaczęły rozpakowywać wielkie

pakunki, które dźwigały ze sobą. Czyżby namioty ? Czy chcieli rozłożyć tu obóz ?

Siedzący w swym ukrytym punkcie obserwacyjnym po drugiej stronie rzeki, Kleg uśmiechnął się z zadowoleniem. Jeszcze lepiej. Mógł więc swobodnie oddalić się do domu...

Ale zaraz. Co oni robili ?

Z tuzin jaszczurów zaczęło majstrować przy przedmiotach, które wyglądały jak wielkie rury. Co ...?

Kleg przyglądał się, jak jaszczury zaczynają wdmuchiwać powietrze do swych namiotów ... nie, nie namiotów, czegoś w rodzaju duży skórzanych worów. Były zszyte w taki sposób, że pod naciskiem spłaszczają się od góry i przypominają kształtem zgniecione jajka ...

Pontony. Nie zamierzali budować tratw. Chcieli przepłynąć rzekę na tych wypełnionych powietrzem worach !

Kleg na moment wpadł w panikę, ale zaraz uspokoił się.

To co, że mają pontony. Tym lepiej. Selkie będą miały z nimi mniej problemów niż z drewnianymi tratwami. Jedno uderzenie kłami i ponton pęknie jak bąbel wody.

Musiał to zobaczyć. To będzie prawdziwa rzeź !

Trwało to zaledwie kilka i wszystkie pontony zostały napełnione powietrzem, gotowe do przeprawy. Osiem lub dziewięć jaszczurów podeszło do każdego z nich i przesunęło go na sam skraj wody.

Niecierpliwość Klega wzrosła. Ach, jak bardzo chciałby być w wodzie i sam wziąć udział w tej uczcie !

A jednak jaszczury nie wrzuciły jeszcze swych łodzi na wodę, tak jak oczekiwał. Zamiast tego jeden z nich przeszedł wzdłuż szeregu wojowników, niosąc duży gliniany garnek. Każdy z jaszczurów maczał w nim czubek małego oszczepu, który trzymał w dłoniach.

Jakiś rytuał ?

Nagle oczy Klega rozszerzyły się z przerażenia, gdyż zrozumiał o co chodziło.

Czubek każdej włóczni wydobytej z garnka był pokryty jakąś czerwoną, połyskującą w słońcu substancją.

Trucizna !!!

Jaszczury rozpoczęły przeprawę. W czasie, gdy troje lub czworo na każdym z pontonów,

chwyciło za wiosła, pozostałych czterech, pięciu stało z gotowymi do rzutu oszczepami i wpatrywało się w wodę.

Kleg patrzył.

Tam w górze rzeki zwiadowca dawał właśnie sygnał tuzinowi selkich. Teraz musieli już być w wodzie i gnali do ataku. Kształt paszczy Przemienionych selkie wymagał odwrócenia się na plecy, jeśli chcieli skutecznie zaatakować kłami ponton ! Musieli odsłonić swe brzuchy !

Pontony miały płytkie zanurzenie. Selkie będą musiały atakować tuż przy powierzchni !

Kleg wiedział, że powinien biec ! Teraz ! Już ! Natychmiast ! Aby zyskać jak najwięcej czasu. Ale stał w miejscu nieruchomy i patrzył.

Pierwsza z łodzi nagle zaczęła gwałtownie dryfować z prądem, a jaszczury ciskały w wodę swoje oszczepy, wrzeszcząc przy tym w niebogłosy.

Ich ponton nagle spłaszczył się a oni z krzykiem runęli do rzeki. Jednakże Kleg dojrzał też śmiertelne drgawki trzech, ze swych dwunastu selkich, z ich ciał sterczały pokryte trucizną oszczepy.

Kolejne łodzie płynęły przez rzekę. I leciały w nią kolejne oszczepy. Niektóre jaszczury wpadały do wody, gdy powietrze uciekało z ich pontonów; ale większość nie ...

Kleg zdołał wreszcie zerwać się na nogi. Co najmniej jedna trzecia jaszczurów przepłynęła na drugą stronę, a wszyscy, albo niemal wszyscy jego selkie, zasnęli już wiecznym snem w głębinach.

Popełnił błąd. Miał teraz zaledwie kilka minut przewagi nad swymi prześladowcami.

Rozpoczął wyścig ze śmiercią.

10.

Conan obudził się nieco bardziej wypoczęty i pierwsza rzecz, jaką dojrzał po przebudzeniu, to zaniepokojona twarz Hoka. Uznał, że chłopcu przydałoby się parę uspokajających słów.

- Nie bój się - powiedział więc - mam plan.

Oczy Hoka rozszerzyły się

- Naprawdę ?

- Mhm. Kiedy przyjdą tu jaszczury i otworzą drzwi, będziemy udawać uległych i przerażonych. A jak już będziemy na zewnątrz klatki, to pokonam ich wszystkich i ucieknemy.

Hok wpatrywał się w niego z otwartymi ustami.

- Czy to jest właśnie ten plan ?

- Proste prawda ?

- Raczej prymitywne.

- Jestem otwarty na twoje propozycje - odparł nieco zirytowany Conan.

- Dlaczego nie zamienimy się w ptaki i po prostu stąd nie wyfruniemy ? Albo w wiewiórki ?

To tak samo prawdopodobne, jak twój plan.

- Hok, jak na takiego małego chłopca, masz stanowczo za dużą gębę.

- Ty za to, jak na takiego dryblasa, masz stanowczo za małą głowę ...

- Csss, ktoś idzie...

Hok momentalnie zawiesił głos, słysząc dźwięk kroków na kamiennym podłożu.

To przyszła królowa. Była sama.

- Przyszłam zabrać cię do swej komnaty, mój mężczyzno.

- Z miłą rozkoszą, ale musisz wpierw otworzyć te drzwi - odparł Conan.

- Och bądź pewien, że dla ciebie otworzę je szeroko ...

Uśmiech na twarzy Conana nawet nie był udawany, to wszystko szło zbyt łatwo.

Królowa Pilich uniosła prawą dłoń zaciśniętą w pięść.

- Ale najpierw coś, co zagwarantuje mi twoją współpracę.

Mówiąc to otworzyła dłoń, sypiąc w twarz Conana jakiś proszek, który mężczyzna wciągnął głęboko w nozdrza, nim zdołał powstrzymać oddech.

Zakręciło mu w nosie i rozpaczliwe starał się wykrztusić zdradliwy pył ze swych płuc. Było już jednak za późno. A gdy tracił świadomość, przez głowę przemknęła mu myśl, że być może będzie to jednak nieco trudniejsze niż oczekiwał.

Kiedy Conan odzyskał przytomność spostrzegł, że leży na jedwabnych poduszkach u boku królowej Pilich. Był zupełnie nagi, podobnie zresztą jak ona i co tu dużo kryć, czuł się potwornie zmęczony.

Królowa uśmiechnęła się doń

- Aha. Mój mężczyzna zbudził się ze snu.

Conan spojrzał na nią, starając się skupić myśli, które szybowały gdzieś chaotycznie. Pamiętał że podała mu jakiś narkotyk ... potem zapewne rozkazała przenieść go do tej komnaty.

- Byłeś wspaniały - pieszczotliwie przesunęła dłonią po jego ramieniu, - jak nikt przed tobą.

- Przecież nic nie robiłem - spróbował odezwać się Conan.

- Jesteś zbyt skromny. Przecież musisz pamiętać ?

- Pamiętam jak sypnął mi w twarz jakiś proszek.

- I nic potem ? No, jeśli tak zachowujesz się podczas snu to zaprawdę nie mogę się doczekać, by zobaczyć co potrafisz kiedy jesteś przytomny.

Conan potrząsnął energicznie głową w kolejnej próbie zebrania myśli. O czym ona mówiła ?

Królowa przysunęła się doń, by to dokładnie mu wyjaśnić.

Kleg miotał na Ludzi- Jaszczury najgorsze klątwy, jakie mogli na nich spuścić wszyscy bogowie, jakich znał, ale nie miał zamiaru zatrzymać się, by zobaczyć czy, zostaną wysłuchane.

Jego pierwszą myślą było po prostu się ukryć. Jeden selkie powinien być trudniejszy do wypatrzenia, niż tuzin, ale przypomniał sobie co słyszał o umiejętności tropienia jaszczurów i zdecydował, że to zbyt kuszenie losu. Nie, szybkość była jego największym sojusznikiem. Selkie mógł z całą pewnością poruszać się szybciej niż ta banda jaszczurów zwłaszcza, że im chodziło tylko o łup, a selkie walczył jeszcze o swą skórę.

Kleg przebijał się więc niestrudzenie przez gęsty las, mimo iż powoli zapadał już mrok. Ii chociaż musiał oszczędzać oddech, nie przeszkadzało mu to, przynajmniej w myślach, ubliżać swym wrogom.

Conan wstał z łoża królowej, tym razem czując się znacznie mniej zmęczony niż poprzednio. Efekt zażycia narkotyku osłabił więc znacznie. Natomiast królowa zasnęła.

Sięgnął po swoje ubranie. Pod jedną z poduszek leżących na podłodze, znalazł także swój miecz. Zapewne pod drzwiami stały strażę, ale był niemal pewien, że rozkazano im nie wchodzić do komnaty, bez wyraźnego polecenia. I na pewno nie wystarczyłby tu tylko hałas, bo już do tej pory wpadliby tu kilka razy.

Conan uśmiechnął się półgębkiem. Nie mógł powiedzieć, że jego wizyta u jaszczurów była nieprzyjemna. Prawdę rzekłszy królowa, nie różniła się zbyt od ludzkiej kobiety i bez problemu tak o niej myślał.

Wystawił głowę przez wąską szparę w drzwiach.

Strażników było dwóch - po jednym z każdej strony. Miękkim głosem powiedział :

- Hark, królowa chce przekazać pewną wiadomość - jego głos brzmiał jak przyjazny szept.

Obaj strażnicy spojrzeli na niego, a potem na siebie. Conan zaś przywołał ich dłonią bliżej, uśmiechając się przy tym porozumiewawczo.

Odpowiedzieli podobnym uśmiechem. Najwyraźniej wspólnota płci grała tu ważniejszą rolę, niż wspólnota gatunku. Pochylili się ku niemu.

Cymmerianin położył dłonie na karkach strażników i silnie zderzył ze sobą ich głowy. Odgłos był nieco pustawy, a kiedy ich puścił osunęli się na ziemię jak zarżnięte woły.

Conan zaś szybkim krokiem oddalił się w dół korytarza, gdzie powinien czekać nań Hok.

Thayla obudziła się z szerokim uśmiechem na ustach ... kto by pomyślał ...

Gdzie on jest ? - Usiadła gwałtownie. Conana nie było w komnacie ! W jaki sposób się wydostał ?

- Straże, do mnie !

Odpowiedziała jej cisza. Thayla zerwała się na równe nogi i podbiegła ku drzwiom.

Dwóch strażników leżało rozciągniętych bezwładnie na podłodze.

Na Wielkiego Smoka !

- Do broni ! - wrzasnęła królowa.

Musiała go odnaleźć. I to szybko. Nie mogła pozwolić, by żył i był na wolności człowiek, który mógłby opowiadać o swym związku z królową Pilich. Zwłaszcza, że takie opowieści mogłyby dotrzeć do niewłaściwych uszu ... do uszu jej męża.

- Do broni !

Conan biegł przez piaski pustyni kierując się na wschód, a za nim podążał Hok.

- Ale jak uciekłeś ? - dyszał - Pokonałeś ją swym mieczem ?

- Oszczędzaj oddech, chłopcze.

- Słuchanie nie jest męczące.

- Zapytaj swą siostrę, jak już się z nimi spotkamy ... albo jeszcze lepiej zapytaj swego brata, Taira.

Jeśli uda mu się utrzymać to tempo przez noc, rankiem dotrze do wioski Kharatas na brzegu Ojczystego Jeziora. Tam będzie bezpieczny. Wprawdzie wioska jest zamieszkała w większości przez ludzi, ale bywały tam także istoty jego gatunku. I wszyscy słuchali rozkazów Stwórcy. Poza tym, gdy dotrze do brzegu Sargasso, będzie mógł się przemienić i popłynąć pod trzcunami do podwodnego wejścia do zamku, trzymając bezpiecznie talizman w zębach.

Żyły tam wprawdzie pod wodą istoty, które mogły stoczyć wyrównany bój nawet z Przemienionym selkie, ale nie było takich zbyt wiele. A z pewnością nie istniała żadna istota, która mogłaby go dogonić w wodzie. Tak. Kilka godzin i będzie bezpieczny.

Tymczasem noc pokryła świat swych szaro - czarnym płaszczem.

Kleg zaś wciąż biegł, mając za jedynych sojuszników tylko swą siłę i szybkość.

Odpuście, gdy będzie w domu. Jeśli zatrzyma się teraz, zatrzyma się na zawsze.

Kiedy okazało się ponad wszelką wątpliwość, że zarówno Conan jak i chłopiec opuścili jaskinie, Thayla zebrała wszystkich samców, jakich miała do dyspozycji. A było ich równo tuzin.

- Musimy odszukać tego człowieka i chłopca ! - powiedziała - To jest niezwykle istotne.

Niektórzy parsknęli cichym śmiechem, ale następne słowa Thayli zmroziły wszelką wesołość.

- Jeśli nie zostaną pochwyceni, powiem królowi, że pozwoliliście im uciec.

Teraz wszyscy spoważnieli. I wiedziała, że tak właśnie będzie. Była bądź co bądź królową i trzymała króla mocno w garści i to za tą część ciała, która dla mężczyzny była najważniejsza. Jeśli dojdzie co do czego, nie mieli wątpliwości komu król uwierzy. A to czyniło sprawę znacznie poważniejszą.

- Osobiście poprowadzę pościg ! - Thayla zawiesiła na moment głos, czekając jak zareagują na dowództwo kobiety, ale nawet jeśli ktoś miał jakieś wątpliwości, nie wyraził ich na głos.

Nie mogła im wierzyć na słowo, jeśli doniosą jej że Conan został pochwycony i zabity, musiała być tego świadkiem.

- A więc w drogę ! - powiedziała królowa Pilich

Jej rozkaz został wykonany.

Dimma, wciąż przebywający w najpilniej strzeżonym pomieszczeniu zamku, nagle został tknięty gwałtownym przecuciem - jego Pierwszy Sługa był w niebezpieczeństwie.

Popłynął w kierunku drzwi. Niestety poruszał się powoli, a nawet najłżejszy podmuch wiatru

mógł skierować go w niewłaściwym kierunku.

Wiedział, że gdyby Kleg był martwy poczułby to z całą pewnością, ale to było inne odczucie. Jeśli Kleg zdobył to, po co był posłany, musi jeszcze wrócić. I Dimma mógł posłać innych na jego spotkanie, aby być pewnym że Kleg zakończy swą podróż ... a przynajmniej, że podróż zakończy Nasienie. Tak, życie jednego selkie nie miało żadnego znaczenia, nawet jeśli był to Pierwszy. Zawsze można było podnieść do tej godności innego.

Każdy ze sług Dimmy znał cenę porażki, a on nie pozwalał im o tym zapomnieć nawet na moment. I starał się zawsze przypominać na przykładach.

Jeśli Kleg zawiedzie, jego ciało lub cokolwiek, co z niego pozostanie, będzie wisieć w tej komnacie ku przestrodze innym. Jeśli zaś wypełni misje, będzie mógł zanurzyć się w głębinach, z całym należnym mu honorem.

Czegóż więcej mógłby pragnąć, niż wdzięczności swego boga ?

11.

Conan i Hok nie odbiegli daleko, gdy dostrzegli pościg. Conan zatrzymał się gwałtownie, dobywając miecza.

- Zaczekaj - powstrzymał swego towarzysza.

Zbliżała się ku nim grupa około dziesięciu postaci, ale gdy podbiegli bliżej twarz Hoka rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

- Cheen !

W rzeczy samej Conan także dostrzegł, że byli to Leśni Ludzie.

Wkrótce też spotkali się, a Cheen pochwyciła w objęcia swego odzyskanego brata. Zresztą wszyscy wokół byli radośnie roześmiani.

Wreszcie także Conan doczekał się jej serdecznego i ciepłego uścisku.

- Dziękuję, że ocaliłeś mego brata - usłyszał jej głos.

Mimo ostatnich przygód z królową Pilich, Conan poczuł wyraźnie, że jego ciało reaguje na bliskość trzymanej w objęciach Cheen. Ona jednak zdawała się nie zauważać tego. Uwolniła się wreszcie z jego ramion i spojrzała mu wprost w oczy.

- Właśnie staraliśmy się obmyślić jakiś sposób wejścia do jaskiń, gdy zobaczyliśmy, że ty i Hok stamtąd uciekacie. Jak tego dokonałeś ?

- Królowa go zabrała - zaczął chłopiec zanim Conan zdołał otworzyć usta - Nie chciał mi powiedzieć co tam zaszło, ale nie było ich długo i ...

- Potem wszystko wyjaśnię - przerwał dość gwałtownie Conan - Teraz lepiej będzie, jeśli się stąd zabierzemy.

Cheen spojrzała na niego z wahaniem, ale w końcu skinęła głową.

- Niech tak będzie. Tair i pozostali są na tropie selkich. Będą potrzebować naszej pomocy.

- Ludzie-Jaszczury mogą nas ścigać - dodał Conan

- Wypełniliśmy połowę naszego zadania - Cheen pogłaskała Hoka po czuprynie. - Cieszę się, że znów cię widzę braciszku.

Ruszyli w dalszą drogę.

Kleg kontynuował więc ucieczkę w nocy i było to zresztą jedyne wyjście, bowiem nigdy nie miał nad prześladowcami więcej, niż pół godziny przewagi. Nie chodziło im zresztą o niego. Mogli nawet nie wiedzieć, że istnieje. Ścigali talizman, którego nie znaleźli przy ciałach martwych selkie.

Wraz z nadejściem pierwszego brzasku, Kleg zwolnił nieco. Mimo swej olbrzymiej siły, był wyczerpany. Ale cel był już tak blisko. Drewniana palisada wioski Kharatas widniała przed nim w pierwszym blasku poranka.

Na wschód od osady znajdowało się coś, co z daleka wyglądało na wzgórze. W rzeczywistości był to olbrzymi odłam skalny i promienie słońca właśnie oświetlały jego czarną jak smoła powierzchnię. Na tle zieleni drzew i trawy, czarny gład odcinał się wyraźnie jak kropla czarnej farby na śnieżnobiałej powierzchni. Wioska - jak wiedział Kleg - zawdzięczała swą nazwę właśnie temu geologicznemu cudowi, jako że Kharatas oznaczało właśnie czarną skałę w języku tych, którzy osiedlili się tu pierwsi.

Kleg pośpieszył ku wznoszącej się przed nim drewnianej palisadzie.

Magiczny talizman obijał mu się o piersi. Teraz był już prawie bezpieczny. To prawda że mógł być ścigany dalej poprzez jezioro, ale było ono bardziej niebezpieczne dla ścigających, niż dla niego. Najlepszy podwodny szlak zaczynał się właśnie w miejscu, gdzie wioska stykała się z wodą.

A tu, w osadzie pościg jaszczurów musiał się skończyć. Tutejsi może otworzyliby bramę dla pojedynczego Pili, ale na pewno nie dla całej uzbrojonej armii. Władcy Kharatas na pewno mieli już dość kłopotów wewnątrz swych murów, by wpuszczać jeszcze następne przez wrota.

Otóż i palisada. Kleg stanął nad drodze tuż obok wartowni, przed mniejszą z dwóch bram wiodących do wioski.

- Hej tam, straż !

Gruby, brodaty mężczyzna, noszący na głowie szyszak podobny nieco do misy, wychylił się i spojrzał w dół na Klega.

- A straż ! Kto u bram ?

- Kleg, Pierwszy Sługa Stwórcy prosi o otwarcie wrót.

Strażnik zniknął z widoku, a Kleg usłyszał zgrzyt brązowej dźwigni, która służyła do otwierania bramy. Wkrótce wzmacniane żelazem drewniane wrota zazgrzytały donośnie i uchyliły

się, poruszając się ciężko na swych potężnych zawiasach.

- Wejdz Pierwszy.

Kleg uśmiechnął się z zadowoleniem i wkroczył do wioski.

Znali go tutaj i nie chcieli żadnych sporów z jego władcą, którego łaskawości zawdzięczali to, że mogli tu mieszkać. Stwórca mocą swej magii mógł w każdej chwili, gdyby tylko zechciał, unicestwić tę wioskę równie łatwo, jak selkie mógł rozgnieść pluskwę. I każdy z mieszkańców wiedział o tym doskonale.

Kleg poczuł prawdziwą ulgę, gdy usłyszał szcęk zamykającej się za nim bramy. Teraz mógł się pożywić i odpocząć, zanim wkroczy do Sargasso. Mógł poświęcić na to nawet cały dzień, teraz, kiedy koniec jego misji był już tak bliski.

Oaza, która pojawiła się na ich drodze, była jak mała plama zieleni pośród piasków pustyni. Wewnątrz znajdowało się jeszcze mniejsze jezioro. Tam właśnie Conan, Cheen i pozostali podróżnicy postanowili schronić się przed żarem południowego słońca. W czasie gdy Leśni Ludzie napełniali swe manierki wodą i rozkładali się do wypoczynku w cudownym cieniu, Cheen odwołała Conana na stronę.

- Chociaż bardzo chciałabym podążać naprzód, jednak musimy tutaj nieco wypocząć. Do wieczora. Pustynia w części, którą mamy teraz przejść, jest bezlitosna. Wysysa wszelkie siły życiowe z tych, którzy próbują ją przemierzyć w porze dnia.

Conan skinął głową. Nie było ani śladu pościgu Pilich i podróż poprzez pustynie również jemu zdawała się przyjemniejsza w nocnym chłodzie niż w żarze jakiego teraz doświadczali.

- Chodź, wyjaśnij mi to, co Hok zaczął opowiadać o królowej Pilich - dodała Cheen kładąc dłoń na ramieniu Conana. - Tam jest zaciszne miejsce, w cieniu tego kwiecistego krzewu. Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Conan objął wzrokiem zarys piersi Cheen, skrytych po cienką koszulą, jej muskularne ramiona, uśmiech, który kierowała wyraźnie ku niemu. Wiele wskazywało na to, że ta opowieść będzie okraszona jakąś demonstracją praktyczną i mimo ostatnich kłopotów jakie miał z kobietami, ta myśl nie wydała mu się nieprzyjemna.

Tropiciele Thayli odkryli miejsce, w którym Conan i Hok połączyli się z resztą grupy, a to oznaczało, że ścigani zrównali się liczebnie ze ścigającymi. Mimo to, Pili wyruszyli ich tropem. Wkrótce jednak powiał pustylny wiatr, a pył i piach doszczętnie pokryły wszelkie ślady zbiegów i ich nowych towarzyszy.

Thayla jednak, miotana na przemian obawą i gniewem, wiodła wytrwale swą grupę poprzez pustynie.

Jak on śmiał uciec, zanim sama z nim skończyła ? I co się z nią stanie, jeśli to jej mąż pochwyci Conana ?

Jeden z Pilich zbliżył się do królowej.

- Czy nie skręcimy do oazy, Milady ?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Pili mogą odbyć tę podróż bez wody.

- Wybacz Pani, to oczywiście prawda, ale ludzie nie ...

- Ominiemy oazę - przerwała, - w ten sposób wyjdziemy przed nich i będziemy mogli zastawić pułapkę.

- Ha ... - powiedział zaskoczony żołnierz - ... mądre.

Thayla zignorowała jego pochlebstwo. Gdyby faktycznie była mądra, pożywiali by się teraz ludzkim mięsem w swej jaskini, a nie gonili za nim po pustyni.

W swym zamku, pływającym na wodach Sargasso, Dimma rzucał właśnie magiczne zaklęcie. Wzywał nim nadnaturalne istoty, które zawdzięczały swą egzystencję wcześniejszym eksperymentom Maga z Mgieł. I przybywały skreeche z głębin, wielkie węgorze elektryczne i wreszcie gigantyczny drapieżca Kralix.

Skreeche były w połowie rybami, w połowie zaś przypominały kobiety, a ich głosy niesione przez wiatr, hipnotyzowały i pozbawiały woli każdego, kto tylko je usłyszał. Zaś człowiek, który zwabiony tym głosem wpadłby w ich ręce, szybko odnalazłby śmierć, jako że skreeche żywiły się krwią. Teraz tuzin z nich przybyło na wezwanie swego pana.

Węgorze osiągały długość równą wysokości dorosłego człowieka, zaś ich grubość dorównywała ludzkiemu ramieniu. Każdy z nich mógł powalić wroga wyładowaniem elektryczności o mocy błyskawicy. Jego dotknięcie w wodzie przynosiło porażenie i śmierć od szoku elektrycznego lub utonięcia. Przybyło dwadzieścia tych istot.

Kralix Ranafrosch był jedynym osobnikiem swego gatunku. Rozmiarem dwukrotnie przewyższał wołu, a jego oślizgła skóra miała barwę zgniłej zieleni. Żywił się zarówno roślinami jak i mięsem, a pożywienie mógł z równą łatwością zdobywać w wodzie, jak i na lądzie. Przypominał istotę zrodzoną po trosze z wilka, niedźwiedzia i ropuchy. Jego najważniejszą cechą było to, że nie odczuwał nigdy ani przyjemności, ani bólu. Kralix w ogóle znał tylko jedno uczucie - głód, tak straszliwy i dojmujący, że w zapamiętaniu mógłby zacząć pożerać samego siebie. Był stworzeniem godnym najstraszniejszych koszmarów sennych, a jego siłę nie mogło dorównać żadne ze stworzeń żyjących w jeziorze, i tylko niewiele z tych, które chodziły po lądzie.

Dimma posłał swych poddanych w trzciny koło wioski, na sam skraj jeziora.

- Idźcie - powiedział. - I znajdźcie pierwszego z moich selkich. Przywiedźcie go tutaj.

Posłusznie odeszli.

Dimma zaś popłynął ku sali tronowej. Skreeche i węgorze będą ograniczone jeziorem, ale Kralix może wyjść na ląd. Co prawda, jego pojawienie się w wiosce może wywołać pewne zamieszanie ... Dimma uśmiechnął się na samą myśl.

Kralix, jeśli będzie miał trochę czasu, może przegryźć sobie drogę nawet wprost przez palisadę. Zaś jego celem wyznaczonym przez Dimmę było dotarcie do Pierwszego selkie i gdziekolwiek był Kleg, Kralix go odnajdzie. A biada wszystkim i wszystkiemu, co stanie na drodze Ranafroscha.

Conan leżał w cieniu krzewu, opierając się na łokciu i z uśmiechem spoglądał na Cheen. Tak jak przypuszczał jego opowieść o królowej jaszczurów nie skończyła się jedynie na słowach. A Cheen żywo uczestniczyła w jej przyjemniejszej części.

Teraz zaś śmiała się do niego.

- Od momentu kiedy się spotkaliśmy zastanawiałam się, jak to będzie z tobą - powiedziała

- I co teraz ?

- Teraz moja ciekawość jest zaspokojona.

Conan zaś zastanawiał się nad czym innym - teraz gdy odzyskali Hoka pozostawała druga część zadania ...

- Co z talizmanem ?

Cheen usiadła i zaczęła się powoli ubierać.

Poczuł lekki smutek. Bez ubrania wyglądała niezwykle pociągająco. Uznał, że podobają mu się umięśnione kobiety. Były pociągające, a czasem mogły być też użyteczne.

- Jestem związana z Nasieniem - powiedziała Cheen. - Gdziekolwiek jest, jeśli tylko znajdzie się blisko, wezwie mnie.

To powinno nieco ułatwić zadanie - pomyślał Conan. Wyraził na głos tę myśl.

Cheen skończyła się ubierać.

- Powinniśmy odpocząć - powiedziała. - Wyruszymy natychmiast, gdy tylko słońce ułoży się do snu.

Conan przytaknął.

Ledwie wyciągnął się na poduszce z martwych liści i miękkiej ziemi, zapadł prawie natychmiast w głęboki sen, nie przerywany żadnymi widziadłami.

Kleg usiadł samotnie w rogu małej i pustawej gospody, która nie wiedzieć czemu nosiła nazwę Pod Drewnianą Rybą. Karczmarz, zaawansowany już wiekiem, łysy, tęgi i ospowaty mężczyzna, postawił przed nim misę z gotowanym mięsem węgorza i surowymi małżami oraz puchar z kraleń - silnym, aromatycznym alkoholem, niezwykle lubianym przez selkich. Ludzie wprawdzie mówili, że kral śmierdzi jak kloaka i smakuje jak zlewki, ale dla selkich napój był świeży i słodki, i znacznie lepszy niż kwaśne wina, którymi raczą się ludzie.

Kleg czuł się teraz znacznie lepiej niż przez kilka ostatnich dni. Miał jedzenie, picie i bezpieczne schronienie. Toteż naje się, a potem wyśpi aż do wieczora. Zaś gdy słońce skryje się za widnokretem, spędzi chłodne godziny zmierzchu w towarzystwie kilku starych druhów. Dopiero gdy ponownie nadejdzie świt, podejmie ostatni etap swej podróży.

Wiedział, że zasłużył na ten odpoczynek, a jeden więcej dzień nic nie znaczył, jeśli jego misja zakończy się sukcesem. Stwórca być może zbeszta go za to, ale jego niezadowolenie i tak rozplynie

się w wielkiej radości, z powodu uzyskania przedmiotu, który przyniesie Kleg. Co więcej, Stwórca na pewno nie chciałby, żeby talizman zaginął gdzieś w jeziorze z powodu krańcowego wyczerpania tego, który go niósł. Toteż Kleg nie miał wątpliwości, że przekona władcę o słuszności swego postępowania.

Selkie przeżuwał swego węgorza. Był niedogotowany i źle przyprawiony ale to nie miało dlań znaczenia. Za kilka dni sam zapoluje na świeższy obiad, jeszcze skąpany w ciepłej krwi. Ta myśl przywołała uśmiech na jego twarz, a białe zęby błysnęły jasno w migotliwym blasku świec.

12.

Plan Thayli, by ominąć oazę szerokim łukiem i zastawić pułapkę na uciekinierów i ich towarzyszy, wydawał się być bez zarzutu. Królowa Pilich mogła mieć uzasadnione nadzieje, że potyczka będzie szybka i krwawa oraz, że przyniesie większą ilość mięsiwa na królewski stół, niż zdarzyło się im zgromadzić w ciągu ostatnich wielu miesięcy. Miała wciąż szansę zamienić swą porażkę w zwycięstwo. A kiedy ten głupiec, jej mąż powróci, dowód niewierności będzie się gotował w garnku, albo smaży powoli nad małym ogniem. Tak naprawdę, o ile uda jej się zdobyć całe mięso z uciekającej grupy, uzyska przewagę nad mężem na długi, długi czas, zwłaszcza, jeśli jemu nie uda się zdobyć leśnego talizmanu.

Najkrótsza i najbardziej sensowna droga na wschód, jaką mogli obrać uciekinierzy, prowadziła przez kilka ruchomych wydym, leżących nieopodal miejsca gdzie właśnie teraz byli.

Wzgórza usypane przez niesiony wiatrem piasek, były kilkanaście razy wyższe niż każdy z Pilich. Ukształtowanie tych wzniesień zmieniało się często, czasem nawet z dnia na dzień, gdyż wiatr przesuwiał ich piaszczyste zbocza. Robił to powoli lecz wytrwale. Znacznie też zmieniły swe położenie w porównaniu z miejscem, gdzie Thayla oglądała je po raz ostatni, dwadzieścia zim temu. Pomiędzy ruchomymi górami piasku uformowały się także wąskie doliny, które stanowiły naturalne i wygodne ścieżki.

Kiedy dotarli do wydym, Thayla wkroczyła w najszerszą z takich ścieżek.

- Tutaj - stwierdziła.

Podzieliła swój oddział na grupy, wyznaczając im pozycje.

- Ty, ty i ty, na tamto wzgórze i schować się za szczytem. Ty i ty włączyć na tę skałę. Wy czterej tam. Ty, ty i ty do mnie, zostajemy tutaj.

Tuzin Pilich rozstawił się w sposób, który zapewnił okrążenie tych, którzy wkroczą pomiędzy wydmy.

- Aha, ten, którego włócznia położy wielkiego mężczyznę, co wzgardził naszą gościnnością, otrzyma specjalną nagrodę.

Ta uwaga powinna zagwarantować, że wszyscy jej ludzie skupią się na Conanie. Aby być tego pewną jeszcze bardziej, dodała :

- A jeśli ucieknie znowu, wasze skóry posłużą za dywan w klatce Korgów.

Thayla wiedziała, że atak z góry powinien zapewnić im przewagę i nawet jeśli nie uda się wybić wszystkich, Conan powinien być martwy. A to było najistotniejsze.

Kiedy słońce zniżyło się nad horyzontem i zaczął powoli zapadać zmrok, Thayla wspięła się na piaszczyste wzgórze. Pozostało już tylko czekać.

Conan i jego grupa różnym krokiem przemierzali pustynię, ciesząc się nocnym chłodem i ciężącymi u pasa pełnymi manierkami. Przed nimi, oświetlane bladym światłem księżyca, z płaskich piasków pustyni wyrastały garby wzgórz.

- Wydmy - powiedziała na ten widok Cheen. - To oznacza, że zbliżamy się do skraju pustyni. Przed pierwszym brzaskiem będzie za nami.

Conan ocenił odległe wzniesienia. Nie wiedzieć czemu, poczuł nagły chłód wędrujący w dół kręgosłupa, bardziej przejmujący, niż wynikało to jedynie z nocnego powietrza.

- Nie podoba mi się to - mruknął.

Cheen spojrzała pytająco na Cymmerianina

- Nie wiem co masz na myśli.

- Podróż nocą jest sympatyczna, jeśli ma się szerokie pole widzenia, - wskazał ruchem ręki płaską pustynną okolicę. - Pomiedzy tymi stertami piachu nie będziemy dużo widzieć.

- Więc ?

- Więc ... Nie widziałem ani śladu pościgu ze strony Pilich.

- Powinieneś więc podziękować za to Bogini Lasu. Być może nie zdecydowali się podjąć pogoni.

- Być może ... chociaż królowa Pilich nie wyglądała na taką, która łatwo zostawi nas w spokoju.

- Co zatem wynika z twoich obaw ?

Conan wzruszył ramionami.

- Pili mogli się domyślić, że łatwo dostrzeżemy ich na pustyni i przygotujemy się do walki. Ale te wzgórza to co innego. Mogą zaatakować nas z bardzo bliska. Tam może na nas czekać pułapka.

- Chyba martwisz się na wyrost. To mało prawdopodobne, aby wśród wydm ukrywali się Pili.
- Może mało prawdopodobne ... ale jednak możliwe.
- Więc co twoim zdaniem mielibyśmy zrobić ?
- Okrążyć je.

- To kiepski pomysł. Zajmie kilka godzin. Musielibyśmy smażyć się na pustynnym słońcu jeszcze z pół jutrzejszego dnia, a może i dłużej.

Conan potrząsnął niechętnie głową. Wyglądało na to, że większość jego życia miały zająć kłótnie z kobietami. One chyba muszą to lubić, ot tak dla samej przyjemności kłócenia się. Jak jej wytłumaczyć, że lepiej pocić się pół dnia na pustyni, niż zostawić na zawsze swoje kości między tymi ocienionymi wydmami ? Ale nie powiedział już nic, poluzował tylko miecz w pochwie i ruszył w stronę wydm. Zachowywał jednak szczególną ostrożność, nie zważając co sądziła o tym Cheen.

Samotny nocny wartownik przy głównej bramie Kharatas, stał śmiertelnie znudzony. Trudno zresztą było mu się dziwić. Ostatni raz wioska była w niebezpieczeństwie w czasach jego dziada. Bądź co bądź znajdowali się pod swego rodzaju opieką Maga z Mgieł, a to wystarczyło by różne luźne bandy, których być może nie powstrzymałaby palisada, omijały ich z daleka. Nikt nie miał ochoty przekonać się na własnej skórze o potędze Dimmy.

Ich ziemie położone były wystarczająco daleko by nieinteresował się nimi żaden potężny mag, czy król z wielką armią. Po co miałyby się zresztą interesować, jakąś małą wioską na skraju jeziora. Strażnik nudząc się na warcie, myślał, dla zabicia czasu o tych sprawach, a to nie zdarzało mu się znów tak często. Nie należał bowiem do ludzi, którzy przeciążają swoje szare komórki. Wnioski z tych rozmyślań były dość proste. Kilka atrakcyjnych kobiet, trochę dobrego wina i może złota, to trochę mało, by porywał się na takie łupy władca, który musiał bądź co bądź, dbać o odzienie i wyżywienie dla swej armii.

Tak zabawiając się nieczęstymi dlań rozkoszami łamania głowy, skracał sobie nudną wartę. Nagłe pojawienie się samotnego Pili, który zbliżał się do bramy, nie wzbudziło w strażniku niepokoju. Wywołało to raczej przyjazne zainteresowanie. Pełnienie służby wartowniczej przy tej bramie należało do jego obowiązków mężczyzny od momentu, gdy jego twarz zaczął porastać pierwszy zarost teraz, zaś na jego brodzie znalazłoby się już sporo siwych włosów. W ciągu tych wszystkich lat najniebezpieczniejszym incydentem, jakiego doświadczył, było rzucenie w niego

zgniłym melonem przez pijanego chłopca. Napastnik zresztą chybił.

Strażnik widywał już wcześniej Ludzi-Jaszczurów. Rzadko bywali w tych stronach, ale pełniąc służbę wartowniczą, widział jak wielu przechodziło już przez tę bramę. Przybysz, więc nie wzbudzał w nim większego zainteresowania, nawet mimo swego niezwykle bogatego stroju.

- Hej tam, czuwaj na bramie ! - zawołał Pili.

- A czuwam, czuwam - odkrzyknął strażnik. - Czego tu chcesz ?

- Przynoszę wiadomość dla Człowieka-Ryby . Pozwól mi wejść.

Strażnika nie zdziwiła ta prośba, mimo, iż proszący trzymał w ręku długą włócznię. Naparł na dźwignię otwierającą mniejsze drzwi. Usłyszał ich zgrzytanie poniżej.

Pili odwrócił się i krzyknął w ciemność słowo w języku, którego strażnik nie rozumiał.

- Co ... - zaczął.

Urwał, ujrawszy co najmniej dwudziestkę uzbrojonych we włocznie Pilich, gnający ku bramie.

- Hej ! - naparł na dźwignię ponownie, starając się zamknąć bramę.

Czuł, że brązowa sztaba straszliwie ślizga się w jego spoconych dłoniach. Działo się tu coś złego.

- Tutaj - usłyszał krzyk.

Spojrząwszy w dół, dostrzegł jednego z Pilich stojącego poniżej już wewnątrz osady. Przez głowę przemknęło mu mnóstwo wariantów dalszego postępowania - grozić, pytać, błagać o litość ?

Cięnięta przez jaszczura włócznia, ugodziła w sam środek jego piersi. Poczłł gorący ból, ale tylko przez moment. Potem ból malał, odchodził gdzieś daleko i nie czuł już nic. Ostatnia myśl, która przeszła mu przez głowę była naprawdę osobliwa - po tych wszystkich latach nudy, nareszcie wydarzyło się coś ciekawego.

Kleg obudził się, gdy wioska pogrążyła się już w mrokach nocy. Czuł się o wiele lepiej. Wstał, opłukał się nieco chłodną wodą z dzbana i tak odświeżony, wyszedł ze swego pokoju, położonego na trzecim i najwyższym piętrze gospody. Kierował się w dół, zamierzając jeszcze posilić się przed dalszą drogą. Gdy selkie doszedł do półpiętra, zerknął mimochodem przez

mieszczące się tam małe okienko. Czarny płaszcz nocy było rozjaśniony rojem niezliczonych, jasnych gwiazd. Widział też wyraźnie połówkę księżyca. Wiatr niósł orzeźwiający zapach jeziora.

Kleg miał doskonały humor, dopóki nie spojrzał jeszcze w dół, na wioskę.

Tam, wąską uliczką pomiędzy gospodą a sklepem skórzanym, przemykało się chyłkiem kilka skulonych figurek. A blask księżyca i światło pochodni, wiszące u drzwi gospody, wystarczały, by bystre oczy Klega wypatrzyły, że z całą pewnością nie byli to ani ludzie, ani selkie.

To byli Pili !

Chłód, jaki nagle poczuł Kleg, nie miał nic wspólnego z nocną bryzą, której podmuch docierał przez okno.

Pili ! Skąd mogli się tu wziąć ? Strażnik z całą pewnością nie wpuścił tu całej zbrojnej bandy. Wspięli się po palisadzie otaczającej wioskę ? Wyłamali bramę ? To nie ważne jak tu weszli - powiedział sam do siebie - ważne po co. Przyszli tu po ciebie, chyba w to nie wątpisz ?

Przez moment niemal wpadł w panikę. Dwudziestu Pilich przejdzie przez tę wioskę jak burza. Pochwyć go w mgnieniu oka !

Instynktownie jego ręka powędrowała ku sakiewce przy pasie, gdzie znajdował się talizman. A jeśli nawet go nie pochwyć, lecz zdobędą Nasienie ... Szybka śmierć od włóczni byłaby przyjemnością w porównaniu z tym co zrobiły z nim Stwórca. Musiał uciec !

Tak, musiał się dostać do jeziora, mimo, iż nocą kanały pod trzcinami będą znacznie bardziej niebezpieczne. W swej zmienionej formie będzie miał znacznie większe szanse, niż jako istota dwunożna. Pili mogli przejść przez palisadę, ale prędzej słońce na pustyni stanie się zimne, niż nauczą się pływać tak, by pochwyć go w wodzie.

Kleg zaczął schodzić na dół. Wtem rozległ się rozkazujący głos.

- Szukamy Człowieka-Ryby ! Jest tam ? Odpowiadaj albo skosztujesz mojej włóczni !

- Nnn ... nna ... gó ... górze - zabrzmiał drżący głos

Kleg zatrzymał się gwałtownie. Na Czarne Głębie ! Był uwięziony.

Wysoki Pili, którego Thayła zamierzała poznać bliżej, gdy będzie nieco starszy, zsunął się z piaszczystej wydmy i zbliżył cicho do królowej i pozostałych.

- Idą - powiedział tylko.

Thayla skinęła z zadowoleniem głową.

- Tak jak planowałam. Wiecie wszyscy co macie robić ?

- Tak Pani.

- Więc do dzieła.

Młody samiec skinął głową i zaczął z powrotem wspinać się na wzgórze, za nim zaś poszło pozostałych dwóch, których dotąd Thayla trzymała przy sobie. Sama królowa też powoli poszła w ich ślady. Zamierzała z wierzchołka wzgórza przyglądać się, jak jej żołnierze będą atakować. Siły były wyrównane, ale to oni mieli przewagę zaskoczenia. Noc mogła dodatkowo zwiększyć skuteczność pułapki, choć z drugiej strony Pili nie widzieli w ciemnościach lepiej niż ludzie, nie mieli też lepszego słuchu.

Ostatecznie to nie grało roli, ilu jej żołnierzy zginie. Ważne by osiągnęła to o, co jej chodziło. A teraz miała przyglądać się rzezi. Nie wątpiła, że jej dzicy gadzi przodkowie, byliby zachwyceni uśmiechem, jaki na tę myśl pojawił się na jej twarzy.

I gościł on na jej twarzy cały czas, gdy zajmując dogodną pozycję na wydmie, oczekiwała na rozlew krwi, który miał zaraz nastąpić.

Conan odłączył się od pozostałych i poszedł nieco w prawo. Może Cheen miała rację. Może jego obawy były przesadzone i podobne do strachu dziecka, które obawia się duchów w ciemnościach. Ale podczas swego spotkania z Cromem przekonał się, że skakanie naprzód, bez dobrego rozpoznania terenu, jest dość niebezpieczne. O ile to oczywiście nie była narkotyczna wizja. Gdyby nie linka uwiązana do kostki podczas nadrzewnej uroczystości, jego mózg bardzo ładnie rozprysnąłby się pośród korzeni tych gigantycznych drzew. Conan Cymmerianin nie popełniał nigdy dwukrotnie tego samego błędu. Ktoś, kto używał zawsze siły a nigdy głowy, z pewnością nie pożyje długo, a on miał zamiar jeszcze cieszyć się życiem.

Piasek na zboczu wydmy był znacznie drobniejszy niż tam na dole, toteż Conan musiał bardzo uważać, by nie osypywał się pod jego sandałami i nie czynił hałasu. Wiatr wiał mu w plecy i boleśnie chłostał jego odkryte ciało ziarnkami piasku. Dokuczliwy pył wciskał się też w każdy zakamarek jego odzieży. Zapach pustyni był charakterystyczny, a jego nozdrza nie wyczuwały

odoru ciał jaszczurów, który dość wyraźnie poznał w jaskiniach i klatce.

W połowie wysokości wydmy bystre oczy Conana dostrzegły trzy ciemniejsze kształty, kulące się na szczycie pagórka. Na początku myślał, że to jakieś karłowate rośliny, ale wkrótce zrozumiał swoją omyłkę. To byli wojownicy Pili wpatrujący się uważnie w coś, co znajdowało się po przeciwnej stronie wydmy. I Conan doskonale wiedział w co - w Leśnych Ludzi, zmierzających wprost w pułapkę.

Ostrożnie, by miecz nie zazgrzytał przy wyciąganiu go z pochwy, Conan dobył broni. Skradając się, doszedł prawie na wyciągnięcie ręki do swych wrogów, kiedy nagle poczuł na plecach kolejny silny podmuch wiatru.

- Uch ... co to za smród ? - odezwał się jeden z Pilich.

- To nie ja - odpowiedział drugi.

- Ale jest jakiś znaj ... - zaczął trzeci - to zapach człowieka !

Wszyscy trzej odwrócili się jak na komendę.

Teraz nie było już potrzeby się chować. Conan runął przed siebie, nie dbając o piach szeleszczący pod stopami.

- Pili ! - wrzasnął - Na szczytach wydm ! Pili ! Uważajcie !!!

Odpowiedziały mu krzyki zaskoczonych jaszczurów.

Najbliższy zaszarżował, wykorzystując przewagę wysokości i próbował nadziąć Cymmerianina na swą długą włócznią. Conan uskokczył. Chociaż był nieco wolniejszy przez piaszczyste podłoże, zdołał jednak uniknąć wymierzonego weń drzewca. Natomiast wytrącony z równowagi Pili poleciał dalej w dół zbocza, turlając się bezradnie z wrzaskiem. Drugi zdołał ledwie unieść broń, gdy żelazne ostrze Conana przecięło ze świstem nocne powietrze i ugodziło go w bok szyi otwierając jego ciało, aż do przeciwnego ramienia. Struga krwi trysnęła na suchy piasek, który wchłonął ją chciwie.

Trzeci Pili zerwał się do ucieczki, ale nie był wystarczająco szybki. Czubek miecza Conana zdołał ugodzić jego odkryte plecy i przeszedł na wylot, wychodząc w okolicach mostka. Conan uniósł prawą nogę i pchnął ciało wroga w dół, uwalniając tym samym swą broń, ten zaś stoczył się w kierunku zaskoczonych Leśnych Ludzi.

Cymmerianin objął pole walki jednym spojrzeniem.

Ostrzeżeni w porę towarzysze, wspinali się właśnie ku niemu, by zająć korzystniejszą

pozycję. Kilku Pilich zbiegało w dół z innych wydm, wywijając przy tym włóczniami i wrzeszcząc. Conan dojrzał jeszcze jak jeden z Leśnego Ludu zwałił się z nóg, ugodzony ciśniętym drzewcem. Mały Hok był właśnie w połowie drogi na szczyt wydmy, a Cheen biegła tuż za nim. Jeden z ostatnich Leśnych Ludzi obrócił się gwałtownie i cisnął włócznię. Odpowiedział mu jęk jaszczura, trafionego w sam środek brzucha.

Conan uśmiechnął się pod nosem. Zwykła potyczka przy prawie idealnej równowadze sił, to było coś, co umiał robić doskonale. Bez słowa pobiegł w dół na spotkanie swych towarzyszy i wrogów, którzy tam czekali. Nad głową trzymał miecz.

13.

Kleg zastanowił się co robić i znalazł niewiele dobrych rozwiązań. Na dole, w głównej izbie tej nędznej gospody, znajdowała się nieokreślona ilość Pilich, którzy właśnie dowiedzieli się o jego tu pobycie. Był na trzecim piętrze, a dom miał tylko jedno schody. Mógł pójść nimi na dół na pewną śmierć. Mógł też ukryć się, ze słabą nadzieją na to, że nie zostanie znaleziony ... no i jeszcze wyhodować sobie skrzydła, by wyfrunąć przez okno, inaczej z pewnością połamię sobie nogi na brukowanej uliczce w dole ...

To nie wyglądało dobrze.

Dobyl zza pasa długi sztylet, z którym nigdy się nie rozstawał i zdeterminowany postanowił, że zanim padnie, uśmierci tak wielu Pilich, jak tylko zdoła. Nie wiedział, czy Stwórca może go osiągnąć na Szarych Ziemiach, po drugiej stronie życia, ale jeśli to możliwe na pewno to zrobi. Lepiej więc by miał pewność, że Kleg zginął tej nocy, walcząc z całych swych sił za sprawę swego władcy.

Nagle rozległ się odgłos potężnych uderzeń, a cała gospoda zadygotała, jakby nagle poruszyła się ziemia. W głosach istot na dole usłyszał, teraz straszliwą panikę. Dotarły do niego przerażone wrzaski, trzaski łamanych mebli, ogólny chaos.

Co tam się działo ?

Kleg ostrożnie zszedł kilka stopni, wciąż ściskając w dłoni sztylet. Kiedy wychylił się zza ostatniego zakrętu schodów, pierwszą rzeczą jaką dostrzegł, było wylatujące z głównej izby krzesło, a tuż za nim wyleciał jeden z Pilich, a raczej jego pozbawione głowy ciało.

Coś tam się działo !

Kleg podszedł jeszcze bliżej i to co ujrzał, było przerażające nawet dla niego.

Wschodnia ściana gospody w zasadzie nie istniała, fragment sufitu zwisał nad dziurą, grożąc w każdej chwili zawaleniem. Około pół tuzina Pilich biegało w przerażeniu po zrujnowanej izbie, próbując walczyć z czymś, co było prawdziwym sennym koszmarem.

Potwór, który był ich przeciwnikiem wyglądał jak skrzyżowanie niedźwiedzia z ropuchą, może z pewną domieszką psa lub wilka. Jego wielkość była zatrważająca. Z olbrzymiej paszczy sterczały ostre kły, które dalej przechodziły w płaskie płyty wielkich zębów trzonowych. Bestia coś żuła, i Kleg poczuł nagły skurcz żołądka, gdy zdał sobie sprawę, że była to pozostałość z głowy

martwego Pili. Z pyska potwora obficie spływała zmieszana z krwią ślina.

Uklucia włócznie walczących Pilich nie zdawały się czynić stworowi zbytnej szkody. Kleg mógł obserwować z przerażeniem, jak bestia skoczyła gwałtownie naprzód, bardzo szybko jak na swoje rozmiary, i odgryzła, jednym kłapinięciem paszczy, nogę kolejnemu z Pilich. Człowiek-Jaszczur wrzasnął głośno, ale nie uczyniło to na potworze większego wrażenia, niż dźgające go włócznie, które wprawdzie zanurzały się w jego ciało, ale nie wytaczały zeń ani kropelki krwi. Oślizgły szaro-zielony stwór, po prostu przeżuwał odgryzioną nogę, jak krowa przeżuwa trawę, i był równie, jak ona, obojętny na cały otaczający go świat.

W całym tym zamieszaniu droga do drzwi gospody stała jednak otworem i Kleg zdecydował, że nigdy nie będzie miał większej szansy, by stąd uciec. Pognał ku zbawczemu wyjściu.

Pili byli zbyt zajęci, by zwrócić na niego uwagę, ale biegnący Kleg wzbudził zainteresowanie potwora. Jego czerwone oczy zwróciły się na biegnącego ku wolności selkie. Nagle Kleg poczuł instynktownie, że bestia była tu z jego powodu.

Potwór nie był przyjacielem Pilich. Czy możliwe, że przysłał go tu Leśny Lud ?

Kleg dopadł drzwi i wypadł na ulicę. Zebrał się tam niewielki tłumek ludzi, który właśnie zmierzali ku gospodzie.

- Hej, co to za hałasy ?

- ... przeklęte wrzaski ...

- ... uważaj głupcze.

Kleg zignorował obecność ludzi, za wyjątkiem jednego, który stanął mu na drodze ale nawet na niego zwrócił uwagę tylko po to, by brutalnie odepchnąć go na bok. Jeśli ci idioci chcą wejść do gospody, proszę bardzo, droga wolna. Zatrzymają przynajmniej na chwilę to Coś. Nawet te kilka chwil, mogło mu bardzo pomóc.

Mało prawdopodobne by Leśny Lud stworzył takiego stwora a więc, jeśli nie był to także zwierz Pilich, wszystko wskazywało na to, że to przysłał go tu Stwórca. Ale po co ? By mi pomóc? Czy by go pożarł ? Talizman na pewno przetrwałby podróż w jego brzuchu i to w dodatku bezpiecznie. Może taki właśnie był plan Stwórcy ?

Kleg nie znał odpowiedzi na te pytania, ale też nie zamierzał czekać, by je poznać. Potwór, który pożerał Pilich jak kawałki mięsa, nie wyglądał na takiego, z którym można rozsądnie podyskutować.

Kleg gnał przeto ku wybrzeżu, pokładając całą nadzieję na ocalenie w szybkości swych nóg. Gdy tylko dopadnie wody, będzie bezpieczny.

Nagle poraziła go inna myśl. Jeśli Stwórca mógł wysłać tego potwora, czy nie posłał też następnych ? Takich, które teraz czekają na niego w Sargasso? Biegący selkie zwolnił, a potem stanął. O mało nie pobiegł wprost w objęcia śmierci. ..

Mógł zostać poraniony, zabity, może nawet pożarty.

Kleg zawrócił i poszedł boczną alejką pomiędzy kuźnią, a na wpół rozwaloną świątynią. Zanim ochoczo rzuci się w wodę, wprost w paszczę takich jak ten potworów musi się trochę zastanowić.

Thayla była wściekła. Misterna pułapka na jej oczach waliła się w gruzy. Ktoś wszczął alarm. Cała przewaga zaskoczenia, na jaką liczyła, a także przewaga wysokości, nie zdały się na nic. A Leśni Ludzie właśnie wspinali się na wzgórze, wyprzedzając jej żołnierzy i to w dodatku, jak dotąd, niemal nie ponieśli strat. Gdzie byli ci trzej, którzy mieli stanowisko na tamtej wydmy ? Jednego dostrzegła ... bogowie ... leciał właśnie w dół po zboczu. A za nim był ten olbrzymi człowiek ! Stał na samym wierzchołku i krzyczał coś, machając mieczem. Zaś w chwilę później dostrzegła, jak sady w dół wielkimi susami, by dołączyć do reszty Leśnych Ludzi.

W ciemnościach padały ciała. Ciężko nawet było dostrzec, czy to ludzie, czy Pili. Szczękała broń i rozległy się jęki rannych. A Conan wciąż posuwał się na dół, usuwając Pilich ze swej drogi, jak karłowate roślinki. Raz i dwa, raz i dwa, na Wielkiego Smoka ! Pili poszli w rozsypkę. Mieli też znacznie wyższe straty, a więc cała przewaga, jaką miał dać nagły atak, uleciała gdzieś, jak piasek na wietrze. Właśnie padł następny z jej żołnierzy, przecięty niemal na pół przez tego szaleńca, którego wpuściła do swego łoża. Kolejnego dosięgła włócznia rzucona przez któregoś z nadrzecznych ludzi. Thayla oglądała rzeź, ale to jej żołnierze, a nie ludzie byli ofiarami. A kiedy ostatni z Pilich padł pod cięciem miecza Conana, dotarło do niej, że sama znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. A jeśli będą przeszukiwać okolicę ? Thayla ześlizgnęła się z wierzchołka wydmy. Lepiej żeby jej wtedy nie znaleźli. Spiesząc w dół, by znaleźć jakąś kryjówkę, królowa Pilich poczuła oprócz gniewu, także narastający strach.

Co teraz miała zrobić ?

Conan dopadł uciekającego Pili, po krótkim pościgu. Ciężki miecz zaśpiewał pieśń śmierci w mroku nocy i głowa zbiega została zdjęta z jego ramion jednym cięciem. Jaszczur upadł, z ciała trysnęły na suchy piasek fontanny krwi. Cymmerianin odwrócił się, szukając następnych wrogów. Jego własna krew pulsowała weń rządzą czynu. Ale nie było już żadnego wroga, który stałby na własnych nogach.

- Jesteś ranny, Conanie ?

Spojrzał w kierunku głosu i dostrzegł zbliżającą się doń Cheen.

- Nie. Co z resztą ?

Zrobili razem szybki przegląd strat. Pięciu towarzyszy poległo od włóczy Pilich. Ciał wrogów naliczyli jednak tuzin.

- Szukamy pozostałych ? - spytał Hok zwracając się do swej siostry.

- Sądzę, że nie - odparła Cheen. - Naszym celem jest co innego i nie chcę tu tracić czasu. Co ty o tym myślisz, Conanie ?

Cymmerianin był zajęty polerowaniem ostrza swej broni. Kiedy skończył staranne wycieranie jej krawędzi kamieniem, powoli skinął głową, patrząc na Cheen.

- Tak kontynuujemy marsz. Nie sądzą byśmy mieli z nimi dalsze kłopoty. - Wskazał mieczem leżące na ziemi ciała - Zanim do królowej dotrą wieści o śmierci jej żołnierzy, dawno już opuścimy ich terytorium.

Po szybkim pochowaniu swych zmarłych i opatrzeniu ran tym, którzy przeżyli, grupa ruszyła w dalszą drogę, opuszczając teren krwawej potyczki.

Płynąc w powietrzu poprzez puste komnaty, Dimma czuł narastającą frustrację. Wiedział, że zrobił wszystko co mógł. Jego Pierwszy selkie prędzej straci życie, niż nie wykona misji. Posłał mu tylu pomocników, ilu tylko mógł i ilu miało sens, ale teraz mógł tylko beczynnie czekać. W porównaniu z pięcioma setkami lat, te parę dni nie znaczyło nic. Jednak Dimma oczekiwał z niecierpliwością końca swych tortur, niemal już czuł swe ciało, czuł dotyk kobiety ...

Gdyby był materialny, mógłby sam wyruszyć na tę wyprawę i zobaczyć, co tam się działo. Ale

w swej obecnej formie, kiedy byle podmuch wiatru mógł porwać go w dowolnym kierunku, nie mógłby dokonać niczego, mimo swej potężnej mocy. Ta właśnie bezsilność budziła jego wściekłość. I miał zamiar srogo pomścić upokorzenia, jakich właśnie doznawał. Niech tylko odzyska swe ciało. Wtedy świat odczuje jego zemstę. Utopi go w rzece krwi, zasypie piramidami kości. Ci, którzy mają ciała, zapłacą srogo za to, że on nie mógł cieszyć się swoim. I dopóki nie uspokoi swego gniewu, nie będzie myślał o niczym innym.

Jak zacznie ? Od zarazy, która wybije do nogi wszystkie żywe stworzenia w Koth, skąd pochodził mag, który niegdyś go przeklął ! Tak to będzie dobry początek. Mag z Mgieł poczuł się znacznie lepiej na myśli o nadciągającej orgii zniszczenia. Już wkrótce. Wkrótce.

Kleg stanął przed trudnym wyborem. Z jednej strony w wiosce byli Pili, którzy z całą pewnością chcieli go zabić i ukraść mu talizman, który on sam ukradł wcześniej. Powinien więc uciekać do jeziora i szukać schronienia w wodach Sargasso. Z drugiej strony, wylazł stamtąd co najmniej jeden potwór, który wyraźnie go szukał, a mogą czekać inne, a on nie był wcale pewien ich intencji. Plany Stwórcy były za bardzo skomplikowane, jak na umysł selkie, a więc woda mogła okazać się jeszcze bardziej niebezpieczna niż wioska.

Kleg oparł się ciężko o drewnianą ścianę kuźni i rozważył ten problem.

Co miał wybrać ? Demony, które znał ? Czy tego, którego dotąd nie znał ? Jedno było pewne, musiał szybko podjąć decyzję. To Coś może znaleźć go znów albo mogą to zrobić Pili. Jego szanse na ponowne ujście z życiem, z któregoś z tych spotkań były delikatnie mówiąc wątle. No, Kleg ! Co wybrać ?

14.

Nie tak łatwo było zniechęcić do czegoś królową Pilich. Chociaż straciła wszystkich swych żołnierzy, za wyjątkiem jednego, nie zamierzała wcale zaprzestać pościgu. Ten jeden, który ocalał, przeżył zresztą tylko dlatego, że pozbawiony przytomności podczas walki, został wzięty za martwego. Jednak drużyna Leśnych Ludzi także straciła połowę swego stanu i została zredukowana do pięciu osób, nie licząc Conana i chłopca. Siedmioro przeciwko dwojgu. To wykluczało wprawdzie bezpośredni atak, ale mimo wszystko Thyła zamierzała w jakiś sposób uzyskać przewagę. Jeszcze nie wiedziała jak zdoła doprowadzić do śmierci Conana, ale z pewnością jakaś okazja się nadarzy. Tego była pewna.

Na razie ona i jej jedyny ocalały żołnierz, niedoświadczony młodzieniec zwany Bładem, zachowywali bezpieczną odległość od Leśnych Ludzi i idąc w ślad za nimi, powoli dochodzili właśnie do skraju pustyni. Kiedy znajdą się w leśnym gąszczu, być może zdołają podkraść się nieco bliżej. Może też uda im się usunąć swoich przeciwników pojedynczo, jednego za drugim, powoli wyrównując stan liczebny. Coś musiało się wydarzyć prędzej lub później.

Kleg podjął decyzję. Jakikolwiek niebezpieczeństwa czyhały na niego w rodzinnym jeziorze, będzie znacznie lepiej przygotowany do stawienia im czoła w swojej prawdziwej formie. Ta rzecz, tam w gospodzie, była znacznie większa i bardziej przerażająca niż selkie w wodzie, ale wzięwszy pod uwagę jej kształt, nie mogła być na pewno tak szybka. I chociaż w jeziorze zdarzały się mniejsze drapieżniki, które mogły spowolnić nieco tempo jego ucieczki, nie było ich znowu tak wiele. Lepiej więc być dwukrotnie większym niż teraz i uzbrojonym w potężne kły oraz obdarzonym mięśniami i płetwami, które zapewniały stosowną szybkość, niż zostać schwytanym tu na lądzie, z tym jednym sztyletem i dwoma nędznymi nogami. Nie musiał przecież obrać najkrótszego i najprostszego szlaku do zamku. Były tysiące dróg, wiodących poprzez trzciny.

Tak więc się stanie.

Po podjęciu decyzji, Kleg natychmiast poczuł się lepiej. Przeszedł przez nadbrzeże, kryjąc się w cieniu portowych budynków i przykładając wielką wagę do tego, by go nikt nie zauważył. Kiedy tylko dotarł do wodnego kanału, zaledwie krótką chwilę zajęło mu wypłynięcie na otwartą toń

jeziora. Teraz był już pewien, że podjął właściwą decyzję. Będąc zatem u celu, Kleg odpiął sakiewkę wraz z pasem i przygotował do przewieszenia jej przez głowę, wokół szyi. Pasek był zrobiony celowo z elastycznego materiału, który z łatwością mógł się dopasować do znacznie grubszego ciała Przemienionego selkie. Stwórca pamiętał także o takich szczegółach.

Gotów do zanurzenia Kleg przełożył pasek przez głowę. Talizman wydał mu się niezwykle lekki, prawie nie czuł, że coś znajduje się wewnątrz opakowania z grubej skóry. Odruchowo potrząsnął sakiewką, aby usłyszeć brzęk, do którego zdołał się już przyzwyczaić przez kilka ostatnich dni. Ale talizman nie zabręczał. Ruch Klega spowodował tylko, że górna część sakiewki uchyliła się szeroko. Jak to się mogło stać? Przecież była tak dokładnie związana! Czując narastające uczucie paniki, Kleg sięgnął do wnętrza sakwy szukając talizmanu. Ale sakwa była pusta.

Tłum stojący na wąskiej ulicy tuż przed gospodą Pod Drewnianą Rybą, przeżył niemałą sensację, gdy potwór wypadł przez frontowe drzwi, niszcząc je doszczętu wraz, z co najmniej połową ściany.

Pomiędzy stłoczonymi ludźmi stał także pomarszczony, niewiele przewyższający rozmiarami chłopca, mężczyzna, którego zwano Seihman. Kiedyś był silnym i odważnie szukającym przygód człowiekiem ale teraz bardziej był znany jako Seihman od świń, jako że obecnie jego zajęciem było dogłądanie knurów i macior, własności co bogatszych mieszkańców wioski. Nie była to może wielce chwalebna funkcja, ale pozwalała zarobić na żywność i wino, zwłaszcza na wino ...

I było to znacznie lepsze, niż zdychać gdzieś pod płótem z głodu lub co gorsza z pragnienia.

Kiedy olbrzymia bestia wytoczyła się przez ścianę gospody, reakcja Seihmana nie różniła się zbyt od reakcji pozostałych. Odwrócił się i zaczął gnać przed siebie na oślep, byle dalej od gospody. Za sobą zaś słyszał tupot niezliczonych nóg, jak gwałtowny deszcz bijący o kamienny bruk. Seihman, który swe najlepsze lata miał już niestety za sobą, biegł najszybciej jak potrafił, a jednocześnie co jakiś czas spoglądał nerwowo w stronę demona. Wystartował z całkiem sporą szybkością, nie bardzo mógł mu dorównać jakikolwiek, młodzik na ulicy, ale zaledwie przebiegł kilka kroków, gdy poczuł, że jego noga trafiła na jakiś okrągły, twardy przedmiot. Straciwszy równowagę, runął płasko na plecy.

Tłum wokół rozwiął się niczym dym, pod podmuchem silnego wiatru, a Seihman leżał rozciągnięty jak długi na pustej ulicy, o wiele za blisko olbrzymiej bestii, która mogła go połknąć

jednym młasnikiem i najwyraźniej miała właśnie zamiar to zrobić.

- Mitro, ocal mnie !

Seihman w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie wydał ani miedziaka, ani nie spędził choć jednej minuty w którejkolwiek ze świątyń Mitry, ale przysięgał naprawić to niedopatrzenie, jeżeli tylko Błogosławiony wyświadczy mu tę małą przysługę i ocaliżycie.

Bestia, potworniejsza niż wszystko co Seihman do tej pory widział w życiu, patrzyła z wyraźnym zainteresowaniem na leżącego na ziemi mężczyznę. Po chwili jednak odwróciła się i odeszła, zdążając w stronę jeziora.

Seihman usiadł z wysiłkiem.

- O Święty Mitro ! Błogosławię cię ! Jestem twoim dłużnikiem.

Gdy potwór oddalał się, Seihman spojrzał jak to przedmiot spowodował jego upadek. Czym była ta dziwnie wyglądająca, przypominająca kształtem oko, rzecz? Coś. Przedmiot, przypominał pestkę, choć znacznie większą, niż kiedykolwiek dane było mu zobaczyć. Jakieś nasienie ? Seihman uniósł je i zważył w ręku. Może miało jakąś wartość ? Wstał i włożył swe znalezisko za pazuchę zniszczonej tuniki, gdzie spoczęło bezpiecznie na jego piersi. Zaniesie je staremu Tallow'owi, handlarzowi warzywami. Może on rozpozna, co to jest. Może nawet kupi. Ach gdyby tak dał za to na szklanekę taniego wina.

Zanim ciekawski tłum zdołał powrócić, Seihman oddalił się ku swemu barłogowi przy świńskich zagrodach.

Zaczął już rozmyślać nad historią, którą opowie przyjacielowi owczarzowi, gdy znowu zasiądą nad szklanicami wina.

Tak widziałem to Coś, co zniszczyło Drewnianą Rybę. Ruszyło to prosto na mnie, a ja stałem sam na ulicy i patrzyłem na to bez lęku. A ono odwróciło się i odeszło.

No tak ... była to niemal prawda.

Nadszedł świt, a bezchmurne niebo i leżąca poniżej ziemia znów kapały się w białych i zimnych promieniach słońca. Ostatnie deszcze rozmyły niemal całkowicie trop uciekających selkich ale po dotarciu nad brzeg rzeki, Conan i towarzyszący mu Leśni Ludzie znaleźli niewątpliwe dowody bytności Ludzi-Ryb. Nad rzeką leżały ciała kilku martwych selkich i to w dwóch

odmianach. Niektórzy wyglądali tak jak ci, których Conan spotkał na drzewach tyle, że splamieni purpurową ciecżą i pokryci czarnym rojem much. Inni przypominali do złudzenia wielkie ryby, dwukrotnie większe od człowieka. Ich ciała były smukłe, zakończone długim ogonem, ozdobionym płetwami i trudnymi do przeoczenia potężnymi kłami. One także były martwe a z ich ciał sterczały małe strzałki. Zapach trucizny wyjaśniał całkowicie, dlaczego na ich zwłokach nikt się nie pożywiał. Niektóre muchy, za głupie by to pojąć, leżały obok martwe.

- Hej, spójrzcie tutaj ! - zawołał Hok.

Conan podszedł do miejsca, które wskazywał chłopiec. On zaś stał nad innym, nieco rozmytym przez deszcz tropem, który Conan natychmiast rozpoznał, gdyż widział go już swego czasu na pustyni. Pili ! No tak nie trzeba było mędrca, by wyciągnąć właściwe wnioski. Pili i selkie stoczyli tutaj walkę i zdaje się, że wykończono większość Ludzi-Ryb.

Cheen podeszła bliżej i stanęła u boku Conana.

- Tam dalej, w dole strumienia, są także ciała martwych Pilich - powiedziała

- Wygląda na to, że po drugiej stronie rzeki są także ich ślady. Stąd trudno dokładnie powiedzieć - odparł Cymmerianin.

- Masz dobry wzrok.

- Powinniśmy spleść tratwę i przepawić się. Ktoś już to przed nami zrobił. Wskazał na drewnianą tratwę, wyciągniętą na przeciwległy brzeg rzeki.

Cheen spojrzała, podążając za jego gestem.

- Tak ... i to w dodatku wygląda na nasze dzieło. Tair jest wciąż przed nami.

- A więc pospieszmy się i dołączmy do niego.

- Myślisz, że tam w wodzie mogą być inni, tacy jak ci - wskazała na olbrzymie ryby i wzdrygnęła się wyraźnie.

- Raczej nie, nie ma powodu by tu zostali ... jeżeli jakikolwiek przeżył.

Zabrali się do budowy tratwy. Zajęło to zresztą znacznie mniej czasu, niż Conan się spodziewał. Leśni Ludzie jak mało kto, potrafili obchodzić się z drewnem i pnączami.

Przeprawa przez rzekę też obyla się bez żadnych przygód.

- Jeszcze jeden dzień marszu i powinniśmy dotrzeć do wioski na brzegu jeziora Sargasso - powiedziała Cheen, gdy opuścili tratwę. - Tak przynajmniej mi mówiono, nigdy sama tam nie

byłam.

- A dalej ?

- Mag z Mgieł żyje na trzcinowej wyspie. Ma pływający zamek pośrodku jeziora. Nikt tam nigdy nie doszedł ... a przynajmniej nie wrócił z powrotem ... za wyjątkiem tych istot.

- Więc miejmy nadzieję, że dogonimy selkich, zanim tam dotrą - skwitował Conan.

- Ano tak.

Thayla i Bład policzyli ciała martwych Pilich znalezione na brzegu jeziora. Co najmniej tuzin i Smok jeden wiedział, ilu mogła zabrać woda. Ten głupiec, jej mąż, nie znajdował się pomiędzy martwymi. Thayla nie była pewna, czy powinna się z tego cieszyć, czy wręcz przeciwnie i podczas, gdy Bład jęczał nad poległymi towarzyszami, jej uczucia były mieszane. Gdyby król leżał pomiędzy poległymi, mogłaby zaprzestać pościgu, byłaby królową, mogłaby sama wybrać sobie nowego samca ... może nawet Błada ... i spędziłaby resztę życia w takim luksusie, jaki tylko mogliby zapewnić jej Pili. Ale Rayk żył i wciąż istniała szansa, że dowie się o Conanie.

Oczywiście wcześniej krążyły różne plotki, ale ponieważ ten, którego dotyczyły, zawsze został pożarty, nigdy nie mógł odpowiedzieć na pewne pytania ... Nawet jej mąż nie oczekiwałby wyjaśnień od gotowanego mięsa. Ale Conan żył, a więc dopóki żyła i ona i jej mąż, była w niebezpieczeństwie.

- Potrzebujemy tratwy - powiedziała do Błada - Zbuduj coś, dzięki czemu moglibyśmy przebyć rzekę.

- Natychmiast królowo.

- Użyj swej siły - powiedziała uśmiechając się do młodego samca - a ja, kiedy już będziemy po drugiej stronie, być może znajdę jakiś sposób, by wynagrodzić twoją wierną służbę, mój drogi Bładzie.

Muszę przywiązać go do swej osoby - zdecydowała.

Młodzieniec spojrział na nią.

- Nie potrzebuję nagrody, Milady.

Thayla zrzuciła z ramion ciężką podróżną szatę, szybko też pozbyła się bielizny. Po chwili

wyprężyła przed swym towarzyszem nagie ciało.

- Ale coś możesz otrzymać, jeżeli się pospieszysz ...

Ubierając się ponownie, Thayla uśmiechnęła się na myśl, że nigdy jeszcze nie widziała Pili'ego, który pracowałby z tak wielkim zapalem.

Gdzie był talizman ? - tylko ta myśl pulsowała w głowie Klega. Jak mógł go utracić ? Kiedy? Gdzie?

Zawrócił w stronę gospody, a w myślach przemierzał po raz setny całą drogę, którą przebył od poprzedniego dnia. Z pewnością miał przy sobie talizman wczoraj wieczorem w pokoju, gdy szykował się do spania. Wtedy otworzył sakiewkę i sprawdził. Potem musiał źle zawiązać rzemienie i jakimś sposobem magiczne Nasienie wypadło z niej. Czy wtedy kiedy biegł w dół po schodach ? Wtedy kiedy zobaczył tą bestię ? Czy kiedy ... zaraz ... wpadł na kogoś na ulicy ! Na jakiegoś głupca gapiącego się na gospodę. Odepchnął go ! Tak to było wtedy. Wtedy musiał wypaść mu talizman. W ciemnościach być może nikt tego nie zauważył. Nie rzucał się w oczy. Taka szarobrazowa, okrągła, nieco zaostrzona na końcach pestka, jak nasienie dużego owocu. Ale teraz, za dnia ktoś może je dostrzec.

Kleg przyspieszył kroku, wciąż jednak starał się trzymać tak blisko budynków, jak to tylko możliwe. Wschodzące słońce znacznie ograniczyło zasięg cieni, w których dotąd krył się przed Pili, a wielu z nich mogło przeżyć spotkanie z paszczą nieznanej bestii. Nie powinni znajdować się wewnątrz wioski, więc także będą uważać, gdzie się poruszają. Jeden Pili może nie zdziwiłby nikogo, nie mniej pół tuzina maszerujących i uzbrojonych we włócznie jaszczurów, z pewnością ściągnęłoby tutaj miejscowe straże. I oni dobrze o tym wiedzieli.

Pierwszy selkie przeciął biegiem wąską uliczkę, mijając starego człowieka rozrzucającego karmę świniom. Starzec spojrzał na niego uważnie, ale Kleg ani się doń nie odezwał, ani nie zwolnił kroku.

A co z tym potworem ? Co z nim się stało ? Nie widział go, od czasu wizyty w gospodzie, ale wątpił, by Pili lub ktokolwiek inny, zdołał go zabić. To wszystko stawało się zbyt skomplikowane. Musi znaleźć talizman ! I musi to zrobić szybko !

Seihman rozrzucając zgniłą słomę świniom, uniósł wzrok, spoglądając na przebiegającego obok selkie. Starzec potrząsnął głową w zadumie. Dziwne rzeczy działy się tu ostatnimi czasy. Ten demon na ulicy, teraz selkie, a wcześniej, o świcie, nim jeszcze zapiał kogut, widział chowających się w cieniu Ludzi-Jaszczurów. To wszystko mogło być złym znakiem. Lepiej uważać na swe kroki, by nie wdepnąć w sam środek jakiejś grubszej awantury. Rzucił ostatnią garść słomy świniom, przesunął drewniany pojemnik pod płot i zdecydował, że czas wypić coś na śniadanie.

Owczarz powinien wkrótce się tu zjawić i być może postawi mu szklanekę wina za to opowiadanie o potworze.

A jeszcze ta pestka, którą znalazł. Musiał ją zabrać do starego Tallow'a. Może uda się utargować miedziaka albo dwa. Seihman sięgnął za pazuchę w poszukiwaniu nasienia ...

Upps ... nie ma ... hmm ... gdzieś je posiał ... no cóż nie ma rady. Może nie było nic warte ?
Taa na pewno niewiele ...

15.

Kleg nie przypominał sobie, by kiedykolwiek w życiu przeżył gorszy dzień. Ten, w którym Stwórca przyłapał go z dziewczyną z kuchni, był fatalny. Równie przykry był dzień, w którym niechący rozdarł liczący sobie tysiąc lat arras, wiszący na ścianie zamku. Ale to było nic w porównaniu z tym, co przeżywał teraz.

Powrócił na ulicę przylegającą do zniszczonej gospody ...

Mógł mówić o szczęściu, bo nie było tam już potwora. Niestety nie było też ani śladu talizmanu. Jeśli zatem upuścił go na ulicę, a tak właśnie przypuszczał, to coś lub ktoś musiał go podnieść.

Promienie słońca dobrze oświetlały okolice i Kleg mógł się obawiać, że zostanie odkryty przez Pilich. O świcie widział kilku z nich, chowających się po zacienionych miejscach, ale na szczęście żaden nie był świadom jego obecności. Teraz zaś selkie przyłgnął do tylnej ściany gospody, starając się stopić z nią w jedno. Co miał zrobić? Powrót do Stwórcy bez talizmanu oznaczał straszliwą śmierć w męczarniach, co do tego nie miał wątpliwości. Nie powrócić znaczyło jeszcze gorzej. Kleg wiedział, że niezależnie od tego jak szybko i jak daleko będzie uciekał przez całe życie, nie uda mu się ująć zemsty swego władcy. Być może opóźni nieco swój koniec, ale było pewne, tak jak to, że słońce zachodzi każdego wieczora, że zostanie schwytany. Wtedy zaś śmierć za próbę ucieczki, będzie po trzykroć straszna, tak straszna, jak to tylko możliwe. Stwórca stworzył selkich z tego, co pełzało w mule przy dnie jeziora, uczynił ich silniejszymi i szybszymi od ludzi, którzy władali większością lądów. Ten, który potrafił zmienić te nędzne stworzenia żyjące w błocie, w selkich, jednym ruchem ręki, z całą pewnością potrafił też znaleźć jeden ze swych tworów i zmiażdżyć go tak łatwo, jak dziecko mogło rozgnieść drażniącego insekta. Nie, żadna z tych dwóch dróg nie mogła przynieść ocalenia. Jediną drogą ratunku była ta, która wiodła do odzyskania talizmanu. Ale jak ? Nie mógł przecież chodzić po mieście i pytać każdego przechodnia, czy nie znalazł przypadkiem magicznego nasienia, ukradzionego Leśnemu Ludowi.

A może znaleźli je Pili ? Potrząsnął głową. Dlaczego on właśnie był w tej sytuacji ? Dlatego przytrafiło się to właśnie jemu ? Wszak jedyne czego chciał od życia, to mieć dostęp do samic i polować na zwierzynę. Dlaczego tak się działo ? Zrobił wszystko co było w jego mocy. Z pewnością Stwórca, który wie wszystko, jest tego świadom. A może to była część testu - sprawdzić,

jak bardzo jego sługa będzie się starał spełnić swe zadanie ? Kleg ponownie potrząsnął głową. Dlaczego ja ?

Nad światem zaczynała się już rozpościerać kolejna ciemna noc, kiedy Conan i jego grupa dogonili w końcu Taira i resztę towarzystwa. Pocieszające było, że wciąż żyli, ale także ze smutkiem spostrzeżono, że niektórych zabrakło przy tym spotkaniu. Gdy obie grupy Leśnych Ludzi witały się ze sobą, Conan trzymał się nieco z boku. Mógł w między czasie przyjrzeć się olbrzymiej czarnej skale, która jak kamyczek ciśnięty przez jakiegoś niedbałego boga, sterczała samotnie obok miejsca, w którym się zetknęli.

Kiedy powitania i żale po poległych dobiegły wreszcie końca, Tair i Cheen podeszli ku niemu.

- Wioska Kharatas leży tam, zaraz za tą czarną skałą - powiedział Tair. - Ostatni z selkich znalazł tam schronienie. W dole rzeki miała miejsce bitwa pomiędzy selkimi, a wielką grupą Pilich.

- Tak - potwierdził Conan - Widzieliśmy pobojuwisko.

- Najwyraźniej Pili także ścigali selkich. Zdołali także w jakiś sposób dostać się do wioski.

- A więc my także musimy to uczynić.

Tair skinął niepewnie głową.

- Tak, ale jest pewien problem. Z powodu jakiegoś zamieszania w środku, warty są niezwykle czujne i w dodatku nie pozwalają wejść żadnemu obcemu. Nawet ktoś tak odważny i silny jak ja, nie może mieć nadziei, by dostać się tam siłą.

Conan wzruszył ramionami.

- Więc znajdziemy jakiś inny sposób, by dostać się do środka.

- O ile wiem, mury Kharatas nigdy nie zostały rozbite, odkąd je wzniesiono ... chociaż wielu próbowało - włączyła się Cheen.

- Nie mam zamiaru ich niszczyć - odpowiedział Conan, - ale może da się na nie wspiąć ?

Na twarzy Taira zagościł szeroki uśmiech. Z rozmachem klepnął ramię Cymmerianina.

- Ależ na Zieloną Boginię ! Oczywiście ! Nie ma czegoś, na co nie potrafiłbym się wspiąć.

- A pozostali ?

- No, nie są tak sprawni jak ja, ale drewniana ściana nie powinna stanowić dla nich dużego

problemu. Palisada to po prostu nic więcej, jak drzewa pozbawione konarów.

- Więc powinniśmy znaleźć jakieś miejsce na uboczu i ją sforsować. W ciemnościach nocy.
- Sprytny pomysł. Zrzucimy ci linę jak już będziemy na szczycie.
- Myślę że dam radę wejść tak jak wy.

Tak - pomyślał - albo zginę próbując, ale na pewno nie pozwolę wciągnąć się na linie. Leśni Ludzie nie mają więcej palców u rąk i nóg niż Cymmerianin, więc jeśli oni zdołają wejść na tę ścianę, to niech przeklną go wszyscy bogowie, jeśli on nie potrafi tego dokonać.

- Wyślę zwiadowcę, by znalazł jakieś dobre miejsce - powiedział Tair - A w międzyczasie zjedzmy coś i opowiedz mi ze szczegółami, co was spotkało po drodze. Ja także mam wiele do powiedzenia.

Tego akurat Conan był pewien. Uśmiechnął się zjadliwie. Nigdy jeszcze nie spotkał ludzi, którzy tak bardzo chwaliliby się swymi wyczynami. Z całą pewnością dobre łgarstwo było wśród nich w wysokiej cenie.

Thayla przeżuwała twardy korzeń i krzywiła się z niechęcią. Obrzydliwe. W środku była jakaś mleczna ciecz o słonawo-gorzkiemu smaku. Przetykała ją ze wstrętem. Z całą pewnością nie była to dieta, do której przywykła, ale teraz nie było innego wyjścia. Nie było czasu, by zapolować na mięso. Wciąż musieli utrzymywać kontakt wzrokowy z Leśnymi Ludźmi i z tym przeklętym Conanem.

Bład, leżący obok niej pod przykryciem z gałęzi, uśmiechnął się. No tak, temu prostakowi niewiele trzeba było do szczęścia. Po przebyciu rzeki, nad którą padło tak wielu z ich ludu, Thayla nagrodziła młodego Pili skarbem, o którym nawet nie śmiał marzyć. A teraz należał do niej ciałem i duszą. Śmiechu warte, jak łatwo można było przewidzieć reakcje mężczyzn.

- Mówisz, że rozłożyli się z obozem ?

- Tak, Pani. Siedzą i rozmawiają.

Thayla przeżuwała otrzymaną informację, wraz z korzeniem. Jakikolwiek pomysł na wykończenie Leśnych Ludzi przychodził jej do głowy, wszystkie rozpląnęły się jak sen, gdy Conan i jego towarzysze połączyli się z następną, znacznie większą grupą tych przeklętych ludzi. Teraz była ich co najmniej dwudziestka i jeśli Bład popełniłby najmniejszy błąd, oglądałaby go już w

kawałkach. Nie żeby była to dla niej taka straszna strata. Dla niej akurat jeden samiec Pili był wart dokładnie tyle, co każdy inny. Wszyscy wyglądali tak samo, zwłaszcza w nocy. Ale ponieważ chwilowo Bład był jedynym, którego miała pod ręką, powinna oszczędzać jego życie, przynajmniej dopóki nie znajdzie się ktoś inny.

- Jesteśmy blisko wioski ? - spytała.

- Tak, królowo. Kilka minut drogi.

Co teraz zamierzali Leśni Ludzie ? - zastanawiała się - I gdzie był ten głupiec, jej mąż ? Wioska znajdowała się na samym brzegu wielkiego jeziora i musiał być tam, za jej murami, o ile nie siedział w wodzie gdzieś w trzcinach, co wydawało jej się mało prawdopodobne. Co on tam robił ?

- Idź i dalej szpieguj tych ludzi - rozkazała - I natychmiast zawiadom mnie, jeśli coś tam się wydarzy.

Uśmiech zniknął z twarzy Błada. Najwyraźniej liczył na coś innego, niż leżenie w krzakach i szpiegowanie wrogów. Thayla sięgnęła dłonią ku jego ramieniu. Uśmiechnęła się lubieżnie.

- Zaczekam tu na twój powrót...

Na twarz Błada znów powrócił uśmiech i niemal ochoczo podskoczył na równe nogi.

- Natychmiast, królowo.

A kiedy już się oddalił, Thayla potrząsnęła głową. To prawda, że czynami mężczyzn kieruje inna część ciała, niż mózg.

Noc zastała nieszczęśliwego Klega, w pełnej szcurów tawernie przy dokach. Szylid wiszący na zewnątrz obwieszczał, że nora ta nosi nazwę Jasnej Nadziei. Odbierał to jako okrutny żart, gdyż nie widział w obecnej chwili ani odrobiny nadziei, a knajpa była mroczna i ponura. Kleg siedział nad drewnianym dzbanem z krale, przy mdłym świetle śmierdzącego łożowego kaganka. Cała izba wypełniona była gęstym dymem oraz co najmniej dwudziestką mężczyzn, rekrutujących się z całą pewnością z nizin społecznych. Towarzyszyło im kilka najgorszego sortu ladacznic. Odrapane ściany były ochlapane jakąś szarą cieczą, a gdzieś tam wisiały na nich fragmenty rybackich sieci, które prawdopodobnie miały służyć za dekorację. Paskudne miejsce.

Kleg siedział tu tylko dlatego, iż nie sądził, by ktokolwiek go tu szukał.

Siorbał swój napój.

Zebrani tu mężczyźni byli zwykłymi rzeźmieszkami, gwałtownymi w obejściu, śmierdzącymi z daleka. Raczej nie trafiali się tu obywatele zarabiający na życie uczciwą pracą. Chociaż przy sąsiednim stoliku, sądząc z głośnej rozmowy, siedzieli akurat świniarz i owczarz. Przepijali do siebie wzajem i przekrzykiwali się pijackimi głosami.

Kleg nie zwracał na nich szczególnej uwagi, ot, co nieco wpadało mu w uszy ...

Powszechnie było wiadomym, że selkie, nawet w swej lądowej formie jest znacznie silniejszy od każdego z ludzi i bardzo gwałtowny w gniewie, gdy go rozdrażnić. Mała przeto istniała szansa, by ktoś tu z nim zadarł.

- Inne ... poczekaj ... powiem ci jak rozciągnąłem wilkołaka ... samą tylko procą.

- Nie, nie słyszałem, tę bajkę setki razy. To ja opowiem ci o potworze w knajpie.

Owczarz rozlał wino na swoją okrutnie poplamioną i śmierdzącą kapotę z owczej skóry.

- Ta.. te same łgarstwa ...

- Nie mówię ci, byłem tam. Wyszedł prosto przez ścianę Rybska. Rozerwał ją jak pajęczą sieć. I prosto na mnie. Wielki jak ta chałupa - tutaj świniarz machnął ręką z kuflem, by podkreślić o jak wielkim potworze mówił. Spora część napoju wylała się przy tym na brudną podłogę.

- On i ja ... sami na ulicy. Nic pomiędzy. Powiedziałem sobie - Na Mitrę już po mnie, więc mogę zachować się jak mężczyzna. Spojrzałem mu w oczy ... Tak jak mówię było - szedłem do niego i patrzyłem mu prosto w mocy. A on spojrzał na mnie i obrócił się

- Tak ! Ja też bym uciekł, gdybym zobaczył cię pierwszy raz w życiu. - wybuchnął gromkim śmiechem owczarz. Własny żart rozbawił go wyraźnie, bo chichotał dopóki śmiech nie przeszedł w atak gwałtownego kaszlu.

- Nie ! Przegnałem go, mówię ci ! Ulica była pełna ludzi, a każdy zmiatał jak robaki przed karpem. A ja stałem, o ! Mówię ci, to zawsze powstrzymuje demony.

Rozległa się następna seria suchych kaszlnięć.

Kleg był zajęty własnymi myślami, inaczej już wcześniej zwróciłby baczniejszą uwagę na ich dyskusję. Zorientował się jak może być ważna dopiero, gdy owczarz bełkocząc coś o konieczności opróżnienia pęcherza, wstał od stołu i zaczął oddalać się chwiejnym krokiem. Jeśli to prawda, że ten człowiek był na ulicy, gdy potwór rozwalił ścianę gospody, mógł zobaczyć talizman. Kleg pokręcił w zadumie głową - mała szansa ale zawsze lepsze to, niż jej kompletny brak.

Selkie wstał i podszedł do starego świniarza. Nawet będąc całkowicie pijany, mężczyzna patrzył z wyraźnym przerażeniem w oczach, jak Kleg pochyla się nad nim.

- Eee

- Słyszałem część twojej opowieści. Mężczyzna tak odważny jak ty, zasługuje na uznanie. Co pijesz ?

- Mmm ... bełta ... no co mógłbym więcej.

Kleg wezwał gestem jedną z obsługujących kobiet. Jasnowłose czupiradło, ubrane w jakiś łań, którego oryginalna barwa była ukryta dokładnie pod kilkoma warstwami brudu, podeszło do nich.

- Butelkę najlepszego wina dla mojego odważnego przyjaciela !

Twarz świniarza rozjaśniła się niezwykłą radością.

- To niezwykle miło z twojej strony, Panie. Ty selkie ... nie żebym miał coś złego na myśli ... rozumiesz ...

Kleg skinął głową.

- Opowiedz jeszcze raz swoją historię, o której już mówi się na ulicach.

- Na ulicach ? Eee... co tam wiedzą ci głupcy. Tak Milordzie to był okropny widok. Stało się to wczoraj zaledwie - zaczął opowiadać długą historię, której fragment udało się Klegowi wcześniej podsłuchać.

Umilkł tylko na chwilę, kiedy dziewczyna wróciła z winem. Nalał sobie szklanicę przelewając wierzchem i wypił połowę jednym haustem.

- Uff ... tak więc stałem tam i patrzyłem na demona, uzbrojony tylko w moją odwagę....

W pokoju zapadła nagła cisza. Gwar umilkł jak ucięty nożem.

Kleg spojrział na głowę starca, aby zobaczyć co spowodowało tą nagłą zmianę.

W drzwiach stał Pili, oświetlony dokładnie płomieniami kaganków.

Tymczasem świniarz, jako jedyny przemawiał wciąż podniesionym głosem, stając się w swej historii coraz większym bohaterem.

- Więc ruszyłem wprost ku niemu, starając się wsadzić mu palce w oczy ...

Pili nie mógł wiele widzieć w zadymionym wnętrzu izby, ale jeśli wejdzie i jego oczy przyzwyczają się do mroku, niewiele czasu upłynie, nim zobaczy Klega. Ten sięgnął po sztylet.

Jeden do jednego, to nie powinien być duży problem zwłaszcza, że ma przewagę zaskoczenia.

Pili wkroczył do izby. Nikt już nie odzywał się, za wyjątkiem świniarza, który szybował na skrzydłach fantazji i chwały.

Jednak w ślad za pierwszym, do izby wszedł drugi Pili, a potem trzeci.

Ups ... to zmieniało nieco postać rzeczy.

- Szukamy jednego z Ludzi-Ryb ! - powiedział ten, który wszedł pierwszy.

Co najmniej połowa głów odwróciła się w stronę Klega. Pili zauważył to i jego spojrzenie podążyło za pozostałymi ku miejscu, gdzie siedział selkie.

- Ach ! Nareszcie ...

Ale cokolwiek więcej Pili chciał powiedzieć lub zrobić, przerwał mu dźwięk walącej się wschodniej ściany tawerny. Łojowe kaganki runęły na ziemię, rozlał się płonący tłuszcz, podpalając siedzących najbliżej mężczyzn i drewniane stoły. Ściana wpadła do środka gospody. Ludzie podnieśli niezmierny wrzask i runęli ku wyjściu, jak jeden mąż. Cały budynek zaś zadrżał w posadach, jakby uderzyła weń pięść giganta i podobny do olbrzymiej ropuchy potwór, o którym dopiero co opowiadał siedzący obok Klega pijak, wtargnął przez drewnianą ścianę. Zaprawdę nie była ona dlań większą przeszkodą, niż sieć małego pajęczka. Świniarz, który wedle swej opowieści właśnie ścigał uciekającą w popłochu bestię przez ulicę wioski, spojrzał tylko raz na przybysza, który właśnie rozdziawił swą paszczę i zwałił się pod stół, omdlewając z przerażenia.

Trzech Pilich nie mogło utrzymać się na nogach, gdy wpadło na nich trzydziestu uciekających w panice ludzi. Zostali porwani przez ten strumień, a tymczasem drewniane ściany tawerny lizały już wszechobecne języki ognia.

Kleg pochwycił nieprzytomnego świniarza i porwał go uciekając w ślad za pozostałymi. Będąc już w drzwiach obejrzał się do tyłu tylko po to, by zobaczyć, że potwór jest tuż za nim. Pomknął więc co sił wypadając na zewnątrz i wbiegając na oślep w wąskie alejki wioski.

16.

Czas i warunki atmosferyczne nie były łaskawe dla drewnianej palisady otaczającej wioskę. Być może wspięcie się na drewnianą ścianę byłoby trudne dla przeciętnego człowieka ale dla Conana okazało się stosunkowo proste. Dużo fragmentów palisady było przegniłych, w wielu można było wydłubać spore otwory, które były zupełnie wystarczającymi punktami oparcia dla rąk i nóg. A tam, gdzie drewno zdołało się oprzeć jednemu wrogowi, było poważnie naruszone przez innych : korniki, ptaki, termyty. Wszystko to razem wzięte, przyczyniło się do znacznego ułatwienia wspinaczki. Równie dobrze na zewnątrz palisady można było ustawić drabinę. Jeśli ci ludzie traktowali tę ścianę jak główny bastion chroniący ich przed atakiem, byli prawdziwymi głupcami.

Mimo jednak sporych umiejętności wspinania, które posiadał jako Cymmerianin, Conan poruszał się po ścianie niezgrabnie i powoli w porównaniu z Leśnymi Ludźmi. Ci weszli na ścianę jak stado mrówek i wleźli na górę tak szybko i pewnie jak ludzie spacerujący szeroką ogrodową aleją. Dopiero po drugiej stronie Conan dołączył do nich i to po dłuższej chwili.

- I co teraz ? - spytała Cheen.

- Teraz polujemy na selkich - odparł Conan. - W małych grupach, nie większych niż dwie trzy osoby, aby nie zwracać na siebie uwagi.

- Idę z tobą - powiedziała Cheen.

- Dobrze. Jeśli którakolwiek z naszych grup znajdzie selkich, lepiej żeby powiadomiła pozostałe.

Podział nastąpił szybko i Leśni Ludzie wkroczyli do cichej wioski.

Conan wiódł Cheen w dół alejki, poruszając się w kierunku czegoś, co można było uważać za centrum osiedla.

Gdybym był selkim, gdzie bym się ukrył ? Odpowiedź na to była prosta. W wodzie i już teraz wracałbym do maga, który mnie tu wysłał. Jednak nie zawsze najprostsza odpowiedź była właściwa. Jeżeli selki dostał się do wody, pod tą matę z trzciny, to pościg był właściwie skończony, wedle tego co opowiadała Cheen. Conan nie miał zamiaru być wspomnianym jako kolejny z ludzi, którzy wybrali się do zamku czarownika i nigdy zeń nie powrócili. Życie tych wielkich drzew zaczęło już coś dla niego znaczyć, ale kiedy porównywał je z własnym, stawał się już nieco bardziej powściągliwy. Były wszak inne drzewa, choć może nie tak wielkie, na których Cheen i jej lud mogli

nauczyć się mieszkać, ale o ile wiedział był tylko jeden Conan z Cymmerii i zamierzał utrzymać go przy życiu.

Zatrzymał się i wciągnął nosem powietrze.

- Co jest ? - spytała Cheen.

- Coś się pali.

- Tak, prawdopodobnie z setka palenisk, pięć razy tyle łojowych lamp i świec. Ten zapach jest dość oczywisty. - odpowiedziała

- To coś więcej. Słuchaj !

Cheen przekrzywiła głowę.

- Słyszę tylko wiatr od strony jeziora i jakiegoś nocnego ptaka ... czekaj ... głosy ...

Conan przytaknął.

- Tak. Powiedziałbym wrzaski, odległe co prawda ... i trzask ognia, dużego ognia.

Spojrzał w górę na niskie chmury a potem jeszcze raz rozejrzał się wokoło.

- Tam - powiedział wskazując palcem.

Odległy pomarańczowy płomień tańczył i migotał na tle chmur.

- Co to jest ?

- Chmury odbijają ogień. Zobaczmy co tam się pali.

Powiódł Cheen szybkim krokiem w kierunku, gdzie spodziewał się źródła ognia.

Kiedy Cymmerianin i Kobieta z Drzew przybyli na miejsce, przy płonącej tawernie stał już spory tłum.

Setka a może i więcej ludzi stało wokół i przyglądało się pożarowi. Gdy Conan zatrzymał się u celu dostrzegł, że płomień ognia liżą już dach sąsiedniego budynku. Przez tłum przebiegł wyraźny jęk, a po nim nastąpiła gorączkowa paplanina podnieconych głosów. Zjawilo się około tuzina mężczyzn niosących wiadra z wodą. Jeden za drugim, zbliżali się do ognia i wylewali zawartość naczyń na płonący budynek. To było zbyt mało - zauważył Conan, - żar był zbyt potężny, by gaszący mogli zbliżyć się na wystarczającą odległość. W rezultacie połowa wody lądowała bezużytecznie na ulicy. To zaś, co docierało do ognia, zdawało się nie odnosić wielkiego skutku. Gaszący pobiegli po następną porcję wody.

Conan usłyszał głos stojącego o kilka zaledwie stóp obok, starego mężczyzny ubranego w

cuchnący kubrak z owczej skóry. Mamrotał właściwie sam do siebie.

- Niech Mitra skaże mnie uderzeniem pioruna jeśli kłamię, ten stary Seihman mówił prawdę. Wywalił dziurę w drzwiach ... tak zrobiła ta bestia. Prawdziwy potwór - potrząsnął siwą głową - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego ... wyszedłem tylko na chwilę z izby ... wróciłem a izba była pełna Ludzi-Jaszczurów, Ludzi-Ryb i jeszcze to Coś zżerające zewnętrzną ścianę ...

Conan podszedł kilka kroków i stanął przed starcem.

- Ludzi -Ryb, mówisz ? - przerwał mu.

- Tak ... jeden w każdym razie. Siedział obok starego Seihmana ... taki wielki jak ty ... i pił z nim wino, kiedy to Coś przeszło przez ścianę. Schwycił starego i pobiegł.

- Gdzie ?

Pytany spojrzał zapijaczonymi oczkami na Conana.

- Mitro ... aleś ty wyrósł ...

- Człowiek-Ryba. Dokąd pobiegł ?

Starzec pokręcił głową.

- Nnnie wiem ... mało nie zdeptali ... zajęty by za nimi ślepic ...

- Jak dawno temu ?

- Przed ogniem tuż ... niedawno ...

Conan odwrócił się ku Cheen.

- Może to i któryś z naszych ?

- A ten potwór, o którym mówił ? - odpowiedziała pytaniem.

Conan wzruszył ramionami.

- Coś tam mówił. To nie nasze zmartwienie. Musimy znaleźć selkich. Nie może ich tu być za wielu, zwłaszcza dźwigających na plecach starców. Nie powinno zatem być trudno go znaleźć. Chodź !

Kiedy się odwrócili, następny budynek stał już w płomieniach.

Tłum znowu zaszemrał gorączkowo.

- Moja królowo, ludzie wyruszyli !

W ten sposób Thayla została rozbudzona z lekkiego snu.

- Co ?

- Ruszyli w kierunku wioski - dotarł do niej głos Błada.

- Powiedziałaś, że brama jest strzeżona.

- I jest, ale nie idą w stronę bramy.

Thayla przetarła oczy, starając się odgonić resztki snu.

- Prowadź !

Podążyła za młodym samcem w kierunku ludzkiej osady. Nie była to długa podróż i przybyli w porę, by dostrzec Conana i Leśnych Ludzi, pnących się na palisadę.

- Są odważni - przyznała.

- I co my teraz zrobimy, Milady ?

- Pójdziemy za nimi. Jeśli oni mogą tam wejść, my też możemy.

I tak też się stało. Wprawdzie zajęło to sporo czasu i kosztowało wiele wysiłku, ale Thayla, wspomagana przez Błada, zdołała wreszcie usiąść okrakiem na szczycie palisady, która na szczęście miała sporo niewidocznych z daleka dziur i szczelin. Zanim jednak dwójka Pilich dotarła na szczyt, Leśni Ludzie i Conan dawno już znikli we wnętrzu osady. Thayla przez moment poczuła przypływ paniki. Jeżeli jej mąż wciąż żył, a było to bardzo prawdopodobne, był on gdzieś w tym labiryncie budynków, który miał uchodzić za ludzkie miasto. I nie było to wcale takie duże miasto, nie na tyle duże, by mogła być pewna, że jej mąż - król Pilich - nie zetknie się z jej barbarzyńskim kochankiem. Musiała odnaleźć Conana, zanim to się stanie i musiała być pewna, że posłała go na spotkanie z jego bogami. Ale gdzie on był ?

- Spójrz, Milady. Dym.

Tak. Widziała wyraźnie chmurę gęstego, czarnego dymu w powietrzu, a poniżej pomarańczowe, migoczące światło, które mogło być tylko ogniem.

Czy taki pożar nie przyciągnąłby także uwagi Coanana ?

- Idziemy tam - zdecydowała.

Nie da się ukryć, że Kleg wpadł na moment w panikę, gdy tak biegł, dźwigając na plecach nieprzytomnego, objającego się bezładnie starca, śmierdzącego w dodatku świniami. Nie miał dużych złudzeń co do tego, że potwór z takim upodobaniem niszczący budynki, w których się zatrzymywał, szuka właśnie jego. Ale w jaki sposób go odnajdywał ? Jeżeli został wysłany przez Stwórcę, nie mogło to dziać się przypadkiem. Co zresztą potwierdzało tylko opinię Klega o niezmierzonej potędze jego władcy.

Musiał odnaleźć talizman ! Musiał wrócić do zamku ! Musiał dokonać obu tych rzeczy bardzo szybko ! Nie zdoła w nieskończoność wymykać się swym wrogom : Pilim i tej magicznej bestii. Zwłaszcza nie mogło to długo trwać w małej wiosce, zamkniętej w dodatku z trzech stron palisadą, a z czwartej jeziorem.

Csss... co to było ?

Kleg przylgnął płasko do ściany piekarni i zniknąwszy w jej cieniu, przyglądał się uważnie dwóm postaciom, które podążając wąską uliczką, niemal otarły się o niego. Był to mężczyzna w towarzystwie młodego chłopca, obaj ubrani na modłę Leśnych Ludzi. Mógł przyjrzeć im się w miarę wyraźnie, jako że oświetlało ich mdłe światełko wypalającej się pochodni. Nie był pewien, ale ten chłopiec ... wyglądał znajomo. Oczywiście dla Klega oni wszyscy wyglądali podobnie, ale czy nie był to ten, którego swego czasu oddał Pilim w zamian za bezpieczne przejście przez ich terytorium ? Nie - zdecydował - to niemożliwe. Tamten chłopiec musiał już być usmażony dawno temu i równie dawno pożarty przez łakomych Pilich. Nieważne. Ważne natomiast było to, że ci dwaj pochodzili z Leśnego Ludu. W jaki sposób tu się dostali ? Czy byli tu także inni ich gatunku ? Tak, musieli być. A że szukali właśnie jego, w to Kleg nie mógł niestety wątpić. Na Czarne Głębinie ! Nie wystarczyło zatem brać pod uwagę dwóch wrogów. Teraz pojawił się jeszcze trzeci. Kleg zaklął. To było nieuczciwe !

Odwrócił się i pobiegł truchtem w najbliższą boczną alejkę, by uniknąć za wszelką cenę spotkania z tymi mieszkańcami drzew. Musiał dotrzeć do miejsca, gdzie mógłby bezpiecznie ocucić tego cuchnącego świniami człowieka i dowiedzieć się co on wie. O ile, co było niestety wątpliwe, ten starzec w ogóle wiedział cokolwiek użytecznego.

Po serii zakrętów w wąskich uliczkach, które miały zgubić potencjalny pościg, Pierwszy selkie dostrzegł stajnię, która jeśli nie liczyć obecności dwóch spętanych koni, była pusta. Wewnątrz było dość mroczno, jako że budynek posiadał tylko jeden otwór okienny i wpuszczał on nie za wiele światła gwiazd i księżyca. Niewiele można było więc dostrzec.

Kleg położył starca na suchej kopie siana, wdychając przy tym w nozdrza drażniący pył, który wzbił się w powietrze. Zaczął gorączkowo rozglądać się za czymś, dzięki czemu mógłby docucić tego pijaka. Jego wzrok padł na wiadro używane do pojenia zwierząt. Zaczepnął w nie śmierdzącej wody ze stojącego obok zbiornika. Powrócił do starca i wylał odrobinę ciepłej wody na jego twarz. Gdy nie dało to porządnym efektów, chlusnął całą zawartością wiadra. To go zbudziło.

- Hej ! Przestań ! Niech Mitra cię przeklnie !

Kleg czekał cierpliwie, aż starzec zetrze z twarzy brudną wodę swymi kościstymi dłońmi.

- Ktoś ty ?

- Kupiłem ci wino, pamiętasz ?

- Ach Pod Jasną Nadzieją ... Człowiek - Ryba ... dlaczego tu jest tak ciemno ? Nic nie widzę.

- To teraz nie ma znaczenia. Przypomnij sobie tą bestię, która zaatakowała cię na ulicy zeszłej nocy.

- Boli mnie głowa ... muszę się napić ...

- Później. Dostaniesz baryłkę wina, ale musisz mi pomóc.

- Ech ? Baryłkę wina ?

- Kiedy zeszłej nocy zobaczyłeś tego potwora, czy znalazłeś coś jeszcze ?

- Coś jeszcze ? A co ?

- Coś jak ... nasienie. Mniej więcej wielkości pięści człowieka.

- Tak widziałem taką rzecz. Podniosłem ją. Miałem zamiar sprzedać ją staremu Tallow'owi ale ...

- Ale co !

Mimo półmroku Kleg dostrzegł, że nagle rysy twarzy starca stężały, oczy zwięzły się chytrze, a na usta wypłynął lekki uśmiech.

- Mów ! Mów co z tym nasieniem !

- Więc ono jednak ma pewną wartość tak ?

- Powiedziałem już. Baryłkę wina jeśli mi je dostarczysz.

- A może więcej niż baryłkę ? Może jest warte dwie baryłki, ech ?

- Dwie. Zgoda.

- A może trzy ?

Gniew selkiego wybuchł nagle z gwałtowną siłą.

Prawie każda istota przebywająca w tej wiosce chciała się napić jego krwi, a ten śmierdzący starzec targował się o wyższą cenę !

Kleg chwycił go za koszulę jedną dłonią i uniósł nad ziemię. Drugą ręką dobył sztylet, którego czubek przytknął wprost do pomarszczonego gardła mężczyzny.

- A może po prostu odetnę ci głowę i ja z kolei się napiję ? Jeśli masz to ziarno, daj mi je !

- Nnnie, nnie, nie tnij ! Ja, ja go ... nnie ... nie mam ...

Kleg naparł lekko na sztylet, a na szyi starca pojawiła się kropelka krwi.

- Cze ... cze ... czekaj mam ... ale zgubiłem.

- Gdzie zgubiłeś ?

- Nnie ... nie wiem ... miał ... miałem je, kiedy karmiłem świnie dziś rano. Potem nie mogłem go znaleźć.

- Gdzie trzymasz te zwierzaki ?

- Za ... za rzeźnią. Dwie przecznice w górę od wielkiego spichlerza.

Kleg opuścił starca tak, że mógł stanąć samodzielnie na trzęsących się nogach.

- Mówisz prawdę ? Zgubiłeś je w chlewie ?

- Tak. Jestem pewien, że właśnie tam.

W Klega znów nieśmiało wstąpiła nadzieja. Czy możliwe, że jednak znajdzie talizman i ucieknie ?

- A moje wino ? - upomniał się starzec.

Jego głos nie drżał już, a chciwość zupełnie wyparła strach.

Kleg spojrzał nań uważnie. Nie mógł pozwolić, by ta pijana łajza opowiadała wszystkim historię spotkania z nim.

- A wino. Tak. Jest tam za tobą.

Starzec odwrócił się spoglądając, w mrok. Kleg zaś chwycił go gwałtownie za włosy, a ręką uzbrojoną w sztylet przeciągnął mu po gardle, zanurzając głęboko ostrze. Starzec zabalgotał coś niewyraźnie i potoczył się naprzód, chwytając, obiema dłońmi za szyję, by powstrzymać

wyływające zeń życie. To jednak nie mogło się udać.

Kleg tymczasem zauważył, że na zewnątrz stało się jakby jaśniej. Wyjrzał przez otwór okienny i dostrzegł, że całe już niebo migotało żółto - pomarańczową łuną. Pożar musiał się rozprzestrzeniać !

Selkie nawet nie obdarzył martwego świniarza pożegnalnym spojrzeniem. Wypadł natomiast ze stajni, sadząc gwałtownymi susami.

Na Czarne Głębiny ! Co najmniej pół wsi stało już w płomieniach ! Musiał dotrzeć do tej świńskiej zagrody, zanim dotrze tam ogień !

Pognał co sił.

Conan zdał sobie sprawę, w jakim są niebezpieczeństwie, gdy dostrzegł, że budynek znajdujący się samym sąsiedztwie palisady, runął strawiony ogniem wprost na nią. Płomienie zaczęły pełzać po drewnianej ścianie zewnętrznej i jasnym stało się, że zaraz także ona stanie w płomieniach.

Szarpnął ramię Cheen.

- Musimy uciekać z wioski !

- Co ?

- Ogień wymknął się spod kontroli. Wszystkie zabudowania zaraz staną w płomieniach ! Ugotujemy się tu !

Ludzie wokół nich chyba także zaczęli rozumieć grozę sytuacji, sądząc po histerycznych wrzaskach, które słyszeli zewsząd. Conan spojrział w stronę czterech mężczyzn biegnących główną aleją w kierunku bramy mającej w pewnej odległości. Po obu stronach drogi, którą biegli, budynki stały już w płomieniach. Biegący byli nie dalej niż sto kroków od celu, gdy najwyższa z drewnianych budowli runęła na ulicę, grzebiąc ich pod płonącymi balami i blokując zarazem całkowicie tę drogę ucieczki.

Płomienie zdawały się sięgać niebios, a budynki, jeden za drugim, stawały się ich pokarmem. Conan zaczynał już czuć ukąszenia żaru na swej nagiej skórze. Powietrze, które wdzierało się do płuc, parzyło. Budynki podgryzane ogniem zaczynały walić się kolejno, jak niszczone ręką demona, wszystkiemu towarzyszył ogłuszający trzask.

Powietrze wypełniły oblężające wrzaski ludzi, którzy pojęli, że znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Ściana tańczącego taniec śmierci ognia, blokowała każdą z dróg wiodących ku bramom wioski, a sama palisada była już tylko jednym ognistym kręgiem.

Wewnątrz wioski zrobiło się jasno, jak w dzień.

- Jezioro - powiedział do siebie Conan. - Musimy biec do jeziora !!! - wrzasnął
- To jezioro jest śmiertelnie niebezpieczne !
- Tutaj czeka nas pewna śmierć ! Biegnij za mną !

I oboje pobiegli co sił w nogach w jedynym kierunku, skąd dochodziło jeszcze nieco chłodniejsze powietrze. Ale nawet tam czekała pułapka, w postaci smoły pokrywającej nadbrzeżne pomosty, która już zaczynała rozgrzewać się i dymić.

Conan dostrzegł jednego z Pilich, który obrał tą samą drogę ucieczki, a tuż obok zobaczył biegnących niemal ramię w ramię z Człowiekiem-Jaszczurem, Taira i Hoka. Jakikolwiek mieli zadawnione porachunki, teraz nie miało to znaczenia.

Gdy wokół szalał pożar, wszystkie zwierzęta były braćmi.

17.

Thayla nie martwiła się już o spotkanie z mężem. Jedyne zmartwienie, które miała w tej chwili, było to, jak nie zostać upieczoną żywcem. Niemal wszędzie wokół niej szalało morze ognia. Cała wioska płonęła. Co tu się działo ?

- Milady. Tędy !

Przez moment Thayla niemal bezwolnie pozwoliła się wlec Bładowi, który zdawał się wiedzieć dokąd podąża. Potem jednak sama dostrzegła wolną od ognia przestrzeń i wrzasnęła do niego :

- Tamtędy ! Tam jest wolna droga !

- Ta droga prowadzi do jeziora, Milady.

Pojęła o co mu chodzi. Pili nie umieli pływać. Żyjąc pośrodku pustyni mieli niewielką szansę posiadać tę umiejętność. Ale nawet pustynia, choć tak gorąca, nie dałaby się porównać do otaczającego ich zewsząd żaru.

- Tam powinny być jakieś łódki. Spieszmy tam !

Pognali przed siebie co sił w nogach. Do blasku ognia i żaru dołączyły jeszcze potęgujące grozę trzaski walących się budynków i wrzaski tych, którzy byli zbyt powolni by uciec przed ogniem. Thayla nie miała pojęcia co spowodowało to piekło, ale czuła, że ten, którego ściga, był za to w jakiś sposób odpowiedzialny. Królowa uskoczyła przed gradem opadających belek, które niemal ją przysypały.

Będzie później czas na rozmyślania, głupia ! Teraz módl się, by ujść z życiem.

Mag z Mgieł płynący swobodnie w powietrzu jednym z rozlicznych korytarzy swej siedziby, poczuł nagle, że staje się jakby cięższy. Niemożliwe. Czy mógł ponownie odzyskać swe ciało po tak krótkiej przerwie ? Zaledwie zdołał o tym pomyśleć, gdy dość gwałtownie stał się materialny upadając przy tym na kamienną posadzkę.

Cud ! Cud, że znów wydarzyło się to po tak krótkim czasie ! To był prawdziwy uśmiech losu. Jego cel był niemal w zasięgu dłoni. W pobliżu nie było żadnego ze sług, a on musiał mieć żywność

i kobietę. I to natychmiast, teraz, kiedy miał znów swe ciało. Dimma pobiegł w dół holu, błogosławiąc samą możliwość biegania. Kiedy jednak dotarł do cienkiej tafli kwarcu, który wypełniał ukształtowany na wzór nietoperza otwór okienny i wpuszczał do środka mrocznej budowli nieco światła, musiał się zatrzymać. Właściwie niemal upadł wyczerpany. Nie był nawet przyzwyczajony do chodzenia, a co dopiero do biegu. Mimo to, zdołał utrzymać się na nogach. Podszedł zadyszany do okna i wyjrzał na zewnątrz. Tafla kwarcu miała zmienną grubość, więc wszystko co przez nią widział zdawało się nieco rozmazane i niewyraźne, ale minerał był tak dobrej jakości, że pozwalał Dimmie widzieć na sporą odległość. W bezchmurny dzień mógł nawet dostrzec wioskę Kharatas, położoną na samym skraju jeziora. Teraz w mrokach nocy wioska była oczywiście niewidoczna, a palące się w niej światła były zbyt odległe, by je dostrzec ale ... Dimma zrozumiał nagle, że jednak widzi Kharatas, czy raczej to co z niego zostało !

Nawet z tak wielkiej odległości ogień trawiący wioskę i jego żółto-pomarańczowa łuna, wyraźnie rozświetlały mroki nocy.

Dimma przyglądał się temu spektaklowi. W ciągu ostatnich pięciu wieków widział wiele zniszczonych przez wiatr, ogień, a czasem przez magię miast. Niewiele mogło go zaskoczyć. Jakiś głupi chłop kopnął lampę na suchą drewnianą podłogę, rozlał płonący olej ... ot takie sobie błahe wydarzenie...

Jednak teraz, kiedy Dimma przyglądał się temu, ponury uśmiech pojawił się na jego twarzy. Mimo, że tyle razy oglądał takie katastrofy, nie był to widok, który mógł się znudzić. Przerażliwy strach i cierpienie wieśniaków mogły być całkiem przyjemną rozrywką, w jego nudnym życiu. Szkoda, że nie mógł tam być i upajać się ich wrzaskami, spoglądać na ich oszalałe ze strachu twarze. Tak, niektóre rzeczy zawsze będą pełne uroku.

Ale po krótkiej chwili przez głowę Maga przemknęły mniej przyjemne myśli. Jego Pierwszy selkie z całą pewnością musiał przechodzić przez tę wioskę, wracając z pożądanym przez Dimmę przedmiotem. Jeżeli mu się to udało, nie było żadnego problemu ... o ile tylko dotarł do wybrzeża. Mógłby wówczas spokojnie przeczekać ten pożar. Dimma wprawdzie nie byłby zadowolony z takiego opóźnienia, ale zrozumiałby je. Ale co jeśli Kleg był właśnie teraz w wiosce ? W momencie, gdy ją oglądał ? Co, jeśli ten głupiec nie zdołał umknąć przed płomieniami, a wraz z nim spalił się ostatni składnik, potrzebny do rzucenia czaru, którym miał zamiar zdjąć klątwę ? Nie. To się nie mogło stać !

Dimma odwrócił się gwałtownym ruchem od kwarcowej tafli i zaczął znowu biec. Musiał posłać więcej istot na poszukiwanie selkie, każdą istotę, która była w jego władzy, jeżeli było to

konieczne. Nie było wszak ważniejszej rzeczy niż zakończenie sukcesem tej misji !

Dimma zrobił zaledwie pięć szybkich kroków, szóstego już nie zdołał ... Zanim jego stopa ponownie zetknęła się z podłogą, Mag z Mgieł utracił swe ciało. A kiedy znów stał się podobnym do dymu, wrzask jego gniewu wzbil się aż pod niebiosy.

Kleg, Pierwszy selkie, najwyższa z istot, które Stwórca podniósł z mułu, klęczał teraz w świńskich ekskrementach, grzebiąc w nich własnymi rękami. Świnie uciekły. Kleg otworzył szeroko zagrodę, a zwierzęta przerażone pożarem nie czekały ani chwili. Nawet nie spojrzały na tego, który je uwolnił. Selkie zerkał raz po raz przez ramię, ku zbliżającym się płomieniom i czynił to co raz bardziej nerwowo.

W dodatku ten przeklęty potwór mógł pojawić się w każdej chwili. Teraz jednak nie miał czasu zastanawiać się nad tym. Nawóz był już suchy, co tylko utrudniało poszukiwania. Najbliższy budynek nie stał jeszcze w ogniu, ale zaczynał już dymić i trzeszczeć. To była kwestia zaledwie kilku chwil i on także padnie pastwą oszalałego żywiołu.

Kleg wiedział, że nie pozostało mu wiele czasu. Wszystko wokół niego pożerał ogień. Był nim otoczony, a jego skóra już zaczynała pokrywać się bąblami, pod gorącym oddechem zagrażającego mu śmiertelnie wroga. Zanurzał więc palce w śmierdzącym nawozie coraz głębiej, modląc się aby starzec, którego zabił, mówił prawdę.

To musiało być gdzieś tu. Musiało !

Głośny trzask oznajmił mu, że budynek za jego plecami został właśnie zaatakowany przez płomień. Żar uderzył w plecy selkiego, niczym pięść. Kleg upadł do przodu, twarzą wprost w nawóz. Był przynajmniej chłodniejszy, niż otaczające go powietrze i przynosił ulgę poparzonej skórze. Toteż odwrócił się jeszcze na plecy, by pokryły się cienką warstwą gnoju.

Wiedział jednak, że osiągnie w ten sposób zaledwie odrobinę więcej czasu. Musiał uciekać teraz albo umrze ! Nie było wyjścia, talizman przepadł !

Kleg zrobił dwa kroki przez twardniejący gnój, gdy nagle poczuł, że jego stopa trafiła na coś okrągłego. Pochylił się błyskawicznie wkładając dłoń w to miejsce, pod warstwę nawozu. Dotknął znajomego kształtu. To niemożliwe ! Nasienie !!!

Kleg roześmiał się ochryple, wyciągając talizman z gnoju. Miał go.

Wepchnął ubrudzone Nasienie do sakiewki. Tym razem upewnił się, że prawidłowo zaciągnął rzemienie. Potem zaś pobiegł.

Wąska przestrzeń wolna od ognia, zmniejszała się gwałtownie więc, zdołał uciec rozszalałym płomieniom niemal w ostatniej chwili, nim ostatnia droga ucieczki została odcięta. Teraz wzywała go toń jeziora.

Ogień był niemal wszędzie, ale Kleg był pewny, że zdoła dotrzeć do wody i do trzcin.

Warstwa nawozu na skórze chroniła go nieco przed żarem, gdy tak gnał w kierunku jeziora, które miało zapewnić mu bezpieczne schronienie.

Conan doprowadził Cheen, Taira i Hoka na skraj jeziora. Wielu mieszkańców wioski też wpadło na ten pomysł i kiedy Cymmerianin oraz jego mała grupka dotarli na wybrzeże, liczne rzesze wieśniaków ściągały właśnie z zabagnionych brzegów łodzie i wszelki możliwy sprzęt, nadający się do pływania. Conan także podążył ku jednej z łodzi, upatrzawszy taką, która mogła pomieścić co najmniej sześć osób. Na drodze stanął mu jednak olbrzymi mężczyzna.

- Ta łódź jest moja ! - zawołał. Zaczął spychać ją na wodę.

- Jest tam miejsce na pół tuzina ludzi. Wpuść też i nas - zaproponował Conan.

- Nie. Na to brak czasu ! - mężczyzna wyciągnął zza pasa nóż, którego zakrzywione ostrze miało długość krótkiego miecza.

- Masz racje, brak na to czasu. - warknął Conan.

Jego szeroki miecz błysnął zaledwie raz, odcinając uzbrojoną w nóż dłoń, a następnie głowę przeciwnika. Olbrzymi mężczyzna, choć teraz już trochę niższy, runął bezwładnie, jak wypełniony ziarnem wór.

- Do łodzi ! - rozkazał Conan.

Tair, Cheen i Hok wykonali to polecenie.

Zrobili to błyskawicznie, bo znajdujący się za ich plecami, pokryty smołą pomost, zajarzył się właśnie na kształt ognistej alei, a żywioł postępował ku nim z rykiem.

Conan, grzęznąc w gęstym mule, całą siłą naparł na rufę łodzi, by wypchnąć ją na wodną toń. Poszło na tyle łatwo, że zaskoczony tym Cymmerianin, ledwie w ostatniej chwili sam zdążył wskoczyć do środka lądując tuż obok Cheen. Tair trzymał już w dłoniach jedno z wiosel

zamocowanych w dulce, a Hok starał się właśnie wsadzić tam drugie. Conan odebrał je chłopcu i sam wykonał tę czynność.

- Odsuń się ! - ponaglił go, chwytając oburącz wiosło.

Wiosłowanie nie było akurat tą umiejętnością, w której Cymmerianin był biegły, ale nadrabiał to swą wielką siłą. Ciągnął więc drewniane wiosło przez wodną toń, używając całej mocy swych ramion i grzbietu, pochylając się głęboko i prostując za każdym pociągnięciem, a łódka oddalała się od wybrzeża i płonącego pomostu z dość dużą szybkością. Cały pomost zawalił się w końcu z hukiem, wyrzucając w powietrze płonące iskry i drewniane belki, które na szczęście w większości nie sięgnęły ich łódki.

Wiosłując, Conan stał tyłem do dziobu łodzi i mógł przyglądać się umierającej wiosce. Teraz zdawała się być tylko jednym wielkim ogniskiem, a na jego tle widział jedynie kilka figurek ocalałych ludzi, biegających po obrzeżu tego piekła.

- Już niedaleko do trzcinowej maty - powiedział Tair.

Conan przytaknął ruchem głowy, ale nie odezwał się. Pomiędzy brzegiem a trzcunami była wystarczająca przestrzeń wodnej toni, aby pożar nie mógł tylko dotrzeć. A nawet jeśli, to wodne rośliny nie były najlepszym paliwem. O niebezpieczeństwa, które kryły się pod powierzchnią trzcin, będzie czas martwić się potem. Na razie trzeba było wyjść całkowicie poza zasięg ognia.

Toteż wiosłował bez przerwy, a łódź ślizgała się lekko po powierzchni wody.

Kiedy Thayla i Bład dotarli do brzegu jeziora dostrzegli, że zostały tam jeszcze tylko dwie łódki. W dodatku biło się o nie co najmniej piętnastu ludzi. Walka toczyła się na nogi i pięści, kilku miało jednak także noże i pałki. I mieli rację walcząc, gdyż małe łodzie mogły pomieścić czterech, najwyżej pięciu pasażerów. Większa liczba ludzi groziła wszystkim potopieniem się.

Thayla nie wahała się ani chwili. Pobiegnęła ku bliższej łodzi.

- Bład, oczyść drogę !

Młody wojownik Pilich zniżył włócznię i z okrzykiem bojowym na ustach pobiegł w kierunku walczących. Wieśniacy najwyraźniej nie spodziewali się takiego ataku. Okrzyk wojenny Błada - syczenie przechodzące stopniowo w donośny ryk - miał służyć wywołaniu paniki wśród wrogów i efekt ten osiągnął. Mężczyźni odwrócili się ku biegnącym Pilim i zamarli w bezruchu. Na szczęście

tylko jeden z nich stał bezpośrednio na ich drodze i Bład nadział go na włócznię, po czym odepchnął przerażoną ofiarę na bok, odrzucając zarazem wbitą w jego brzuch, niepotrzebną już broń. Zwolnił i odsunął się nieznacznie na bok, tak, że biegnąca za nim Thayla, w pełnym biegu wskoczyła do łodzi. Bład pchnął ją na wodę i wskoczył w ślad za swą królową. Chwytając wiosło, spojrział raz jeszcze na zaskoczonych ludzi. Ponownie okrzyk bojowy i zabrał się do wiosłowania.

Kilku mężczyzn rzuciło się naprzód, jakby chcieli ścigać odpływającą łódź. Czterech lub pięciu, korzystając z tej chwilowej nieuwagi pozostałych, wskoczyło do ostatniej łódki. Thayla w międzyczasie znalazła drugie wiosło, a kiedy też wzięła się do pracy, ich łódka zaczęła sprawniej płynąć w pożądanym kierunku. Na ten widok wszyscy mężczyźni, z wyjątkiem jednego, pognali za ostatnią łodzią. Zanim jednak pokonali połowę odległości, płonące nadbrzeżne pomosty zapadły się, grzebiąc zarówno łódkę jak i mężczyzn, pod stosem płonących belek.

Gwałtowny podmuch gorącego powietrza uderzył Thayl, która aż jęknęła. Nie zaprzestała jednak wiosłować. Spośród mężczyzn pogrzebanych pod pomostem, ocalał jeden. Nie zaprzestał on pościgu za Pilimi udało mu się wskoczyć do wody. Był dobrym pływakiem. Poruszał się znacznie szybciej, niż łódź Pilich i w ciągu kilku sekund niemal dotarł do jej rufy.

- Czekajcie ! Pozwólcie mi wejść !

- Bład ! - Thayla wydała ostrym głosem polecenie.

Młody Pili odwrócił się i spojrział na swoją królową, która wskazała mu porozumiewawczym spojrzeniem człowieka w wodzie. Bład skinął głową, zaś do pływaka powiedział :

- Tutaj. Łap wiosło !

Kiedy człowiek podpłynął, by chwycić wyciągnięte drzewce, Bład gwałtownym ruchem uniósł wiosło w górę i równie szybko opuścił w dół, a ciężkie pióro uderzyło mężczyznę w sam czubek głowy.

Uderzył chyba wystarczająco silnie - pomyślała Thayla, widząc jak pływak zniknął pod powierzchnią wody. Pojawiło się na niej kilka pęcherzyków powietrza, ale ofiara Błada już nie wypłynęła. Dobrze. Uciekli przed ogniem. Thayla z westchnieniem odłożyła swoje wiosło.

- Skieruj nas do tamtych trzciny, Bład ! - rozkazała.

Miała zamiar poczekać tam spokojnie, aż ogień się dopali, a potem powrócić do tej martwej wioski i dalej do domu. Z całą pewnością jej mąż lub Conan, a może nawet obaj, szczęśli gdzieś w płomieniach. Ty samym jej cel został osiągnięty.

Wprawdzie miała przed sobą jeszcze powrót, ale królowa Pilich poczuła się znacznie lepiej.

Kleg wykonał gwałtowny unik i przeskoczył nad płonąca belką, która miała zamiar przerobić go na pieczeń. Zaszły gnój odpadał płatami z jego skóry, ale wciąż jeszcze dawał mu odrobinę ochrony. Pomiędzy nim, a wodą była jeszcze tylko jedna przeszkoda, niska ściana ognia, którego pokarmem była smoła rozlana z płonącej beczki, leżącej na reszcie pomostu.

Biegnący selkie odpiął sakiewkę od pasa i zawiesił ją bezpiecznie na szyi. Obiła się o jego pierś krusząc następną warstwę nawozu, ale przynajmniej teraz czuł wyraźnie ciężar Nasienia i to było najważniejsze.

Kleg przeskoczył nad linią ognia czując, że parzy go po nogach. Opadł jednak nie na płaski grunt, ale na kawałek rozgrzanego do czerwoności żelaza, jakiś fragment, który kiedyś wzmacniał zniszczony pomost. Na to nie był przygotowany i jego lewa stopa wykręciła się na tej przeszkodzie. Usłyszał lekkie chrupnięcie w kostce i wiedział już, że coś stało się z nogą. Co konkretnie - pokazał następny krok. Stąpając ponownie na uszkodzoną nogę, upadł jak długi. Coś stało się ze ścięgnem i jego stopa nie mogła już utrzymać ciała.

Za jego plecami eksplodowała beczka ze smołą, wysyłając w górę fontannę ognia. Jeden z kawałków płonącej smoły upadł na prawy but Klega. Ściągnął go błyskawicznie odrzucając za siebie i starał się dotrzeć do zbawczej wody skacząc na pozbawionej buta stopie. Ale to było tylko kilka kroków - skoczył ...

A rzeka płonącej smoły ścigała go. Spojrzał przez ramię i dostrzegł, że kolejne beczki zaczęły płonąć. Jeśli eksplodują i one, zaleje go płonąca smoła !

Kleg skoczył jeszcze raz, z całych sił rzucając się w przód.

Beczki wybuchły. Ale stało to się w momencie, gdy Kleg właśnie opadał w chłodną, niosącą ratunek, toń jeziora. Kiedy uderzył weń podmuch ognia, a płonąca smoła chlusnęła do jeziora, był już zanurzony całkowicie i nurkował co sił w dół.

Rozpoczął Przemianę i po kilku chwilach nie musiał się już martwić niebezpieczeństwami ładu. Był teraz wielki, zwinny i śmiertelnie niebezpieczny i jeśli nie liczyć bólu w lewej płetwie, nigdy w swym życiu nie czuł się lepiej.

Na jego pysku pojawił się grymas, który można było uznać za przerażający uśmiech. Był

znów w toni, w której przyszedł na świat.

18.

Łódź Conana dobiła do dość wysokiego brzegu trzcinowej maty. Dziób uderzył w splątana roślinność, która okazała się równie solidna, jak stały ład. Cała czwórka wspięła się na tą dziwną wyspę i Conan odkrył, że podłoże, po którym stąpają, naprawdę jest niezwykle twarde. Łodygi wodnych roślin splatały się ze sobą tak ciasno, jak pnącza w gęstej dżungli. Kłacza były grube na palec, a mogli przyjrzeć im się bardzo wyraźnie przy tej jasnej pochodni, jaką była dopalająca się wioska. Podłoże było wystarczająco silne, aby swobodnie utrzymać ciężar Conana i kiedy po nim stapał, czuł się tak, jakby kroczył po miękkiej, wilgotnej ściółce leśnej. Za to woń, którą dochodziła do niego, nie kojarzyła się bynajmniej z lasem i grzybami. Był to wyraźny zapach ryb.

Do roślinnej maty Sargasso przybiło jeszcze kilka innych łodzi, ale żadna blisko miejsca, gdzie wylądowali Conan i jego przyjaciele. Być może ktoś także wyszedł na tę splątana roślinność, ale jako że jej powierzchnia była nierówna, pełna wybrzuszeń i strzelających w górę pnączy, a gdzie indziej sporych depresji, nie można było tego dostrzec.

Dziwnym zaiste miejscem było Sargasso.

Conan spojrzał ponownie w kierunku wioski, która teraz była tylko jednym wielkim morzem ognia. Żar musiał być tam zabójczy dla wszystkiego co żywe, mimo iż płomienie zatrzymały się na brzegu jeziora. Wystarczało tylko poczuć te podmuchy gorąca, które docierały do nich tutaj, by w to nie wątpić. Nawet jeśli ktoś cudem przeżyłby w ciasnych uliczkach wioski, będzie z pewnością poparzony w straszny sposób.

Kiedy tak patrzył, nagle na brzegu uformowała się wirująca kolumna ognia, która pognąła z przerażającą szybkością wzdłuż pomostów, posyłając w powietrze niezliczoną ilość iskier i płonących kawałków drewna.

Tak, musieli przyznać, że bogowie byli dla nich łaskawi. Nie wszyscy mieli tyle szczęścia ... lub nie byli wystarczająco szybcy.

Gdy skończył przypatrywać się tym fajerwerkom, zwrócił się do Cheen.

- Zdaje mi się, że to koniec naszej wyprawy. Twój magiczny talizman pewnie tam został - wskazał na wioskę - i spłonął ... przykro mi.

Cheen odwróciła się od niego łagodnie i przez moment Conan myślał, że pogrążona jest po

prostu w smutku.

- Nie - usłyszał jej głos - Nasienie nie zostało zniszczone.

Spojrzał na nią zaskoczony.

Obróciła się lekko w lewą stronę, potem w prawą, wreszcie spojrzała w dół.

- Co najmniej jeden ze złodziei uszedł. Czuję wciąż obecność Nasienia i ono się oddala - wskazała na Sargasso pod ich stopami.

Ręka Conana odruchowo opadła na głównię miecza, zwiśla jednak swobodnie, gdy zorientował się, że niebezpieczeństwo nie jest bezpośrednie.

- W tych trzcinach ?

- Pod nimi. Selkie musi wciąż je mieć. Płynie teraz wraz z nim. Tam.

Conan skinął głową. To był rodzaj magii. Cheen miała pewne umiejętności, których on nie posiadał i których natura mu się nie podobała, mimo to wierzył, że mówi prawdę.

Cymmerianin odwrócił się w kierunku Taira.

- Twoja siostra twierdzi, że Nasienie przetrwało. Więc jeśli mamy je odzyskać, musimy pokonać te trzciny.

Tair potwierdził ruchem głowy.

- Tak. Nikt nie powie, że Tair przestraszył się tego zdradzieckiego gąszczu i jego mieszkańców. Nie obawiam się też maga, który sprawuje nad nimi kontrolę. Będę ścigał złodzieja aż do samych trzewi ziemi, jeśli będzie to konieczne.

- Ja też - dodał chłopiec.

Conan objął wzrokiem wielką przestrzeń Sargasso, oświetlaną przez migotliwe pomarańczowe płomienie od strony ginącej wioski, a dalej niknącą w ciemnych mrokach nocy. Hmm. Zaszedł tak daleko. Jeszcze jeden lub dwa dni nie powinny robić zbyt dużej różnicy.

- Idę z wami - zdecydował.

Tair uśmiechnął się szeroko.

- To dobrze. W porównaniu z nami dwoma, potwory Maga z Mgieł nic nie znaczą.

Conan jednak nie zdobył się na równie szeroki uśmiech. Dobrze, że Tair był tak optymistycznie nastawiony do tego przedsięwzięcia, ale jego własne doświadczenie podpowiadało mu, że z takimi deklaracjami lepiej być ostrożnym. Z drugiej strony trudno było wątpić w odwagę

tego mężczyzny.

- Myślę, że zaczekamy do świtu, nim podejmiemy dalszą drogę - powiedział tylko.

- Tak - zgodziła się Cheen - Jesteś rozsądny.

Teraz Conan uśmiechnął się. Rozsądny ? Tak by się nie określił. Rozsądny człowiek w ogóle nie dałby się wciągnąć w tę wyprawę. Nigdy zresztą nie szukał mądrości. Na to jeszcze miał czas, bo wiele jeszcze go minie, nim jego włosy przybiorą kolor ośnieżonych górskich szczytów, słuch przytępi się, przygaśnie blask oczu, a on stanie się stary jak zardzewiałe ostrze.

Jeżeli w ogóle będzie żył tak długo.

Królowa Pilich i jej młody żołnierz opuścili swą łódkę i niemal natychmiast Thayla zaczęła rozglądać się za jakąś kryjówką. Bład jak zwykle nie do końca rozumiał po co robią, a Thayla zaczynała już czuć się zmęczona ciągłym wyjaśnianiem.

- Jesteśmy tu sami. Straciliśmy broń. Do obrony zostały nam tylko noże. Wyobraź sobie, że jesteś jednym mieszkańców tej spalonej wioski, który skrył się właśnie tutaj z towarzyszami ... Widziałeś przecież inne łódki ?

- Tak Pani, ale teraz nie widzę ...

- Więc tak, jesteś doprowadzony do ruiny - kontynuowała nie zważając na jego uwagę - straciłeś wszystko. Uczucia, które tobą miotają to wściekłość i żal. I nagle widzisz dwóch nieuzbrojonych Pilich, w tym jedną piękną kobietę ... i co zrobisz rozpierany gniewem i żalem ... zwłaszcza jeśli jesteś mężczyzną w grupie innych mężczyzn ?

Patrzyła z oczekiwaniem jak bardzo powoli wszystko dociera do Błada.

- Aaa ... - powiedział - Rozumiem.

- To dobrze. A teraz znajdźmy miejsce, gdzie moglibyśmy się ukryć. Potem zbadamy kto zamieszkuje te śmierdzące trzciny.

Bład ostrożnie powiodł swoją królową ku małemu wzniesieniu o płaskim szczycie, niedaleko miejsca, w którym przybili do pływających trzciny. Kiedy pokonali płataninę roślinności i wspięli się na górę, w cieniu po drugiej stronie zbocza, dostrzegli jakąś skuloną postać. Bład dobył noża.

- Thayla ! To ty ?

Ten głos był im znany. Mimo ciemności, nie mieli też problemu z rozpoznaniem postaci, która się ku nim odwróciła. Thayla przez moment przeżyła prawdziwy szok i niemal wpadła w panikę. W tym właśnie momencie królowa Pilich znalazła swojego męża – króla.

Bład odłożył broń.

- Milordzie ?

Thayla przygryzła wargi. Ten młody głupiec zerkał nerwowo, to na króla to na nią, a poczucie winy za nierządny czyn z królową, było wprost wypisane na jego twarzy. Przedtem wszak powiedziała mu, że Rayk niemal na pewno nie żyje.

- Co wy tu robicie ? - Rayk przedarł się ku nim i korzystając ze skąpego światła gwiazd, przyjrzał się badawczo swej żonie.

- Ach mój mężu, jakże jestem szczęśliwa, że znowu cię widzę !

Thayla odepchnęła stojącego z rozdziawioną gębą Błada i przytuliła się do swego małżonka, przylegając do niego ściśle i delikatnie masując mu palcami mięśnie karku.

- Thayla !

Przesunęła rękę niżej i delikatnie pogładziła jego uda, a potem przyciągnęła biodra króla ku swoim.

- Mężu, już obawiałam się, że coś ci się stało.

- Niewiele brakło. Ale ... ale ... jak ty ... dlaczego ?

Przez głowę Thayli przebiegały gwałtowne myśli. Wysunęła się delikatnie z objęć męża, choć wciąż pozostawiła dłonie na jego ramionach i patrzyła z miłością w jego oczy, a przynajmniej miała nadzieję, że tak to wygląda.

Musiała wymyślić jakąś prawdopodobną historię i to szybko !

- Banda Leśnych Ludzi zaatakowała nasz dom – powiedziała patrząc jednocześnie ostrym wzrokiem na Błada.

Młody Pili stał tam wciąż z otwartymi ustami.

- Towarzyszyło im także kilku barbarzyńskich wojowników. Nigdy nie widziałam podobnych – no to była nawet po części prawda, nigdy przedtem nie widziała nikogo takiego jak Conan – pokonaliśmy ich i ścigaliśmy.

- Ty ? Osobiście ?

Wyprostowała się gwałtownie.

- Nie poślubiłeś słabeusza, Rayk !
- To prawda – przytaknął.
- Ścigaliśmy ich aż do Wężowej Rzeki. Tam znaleźliśmy ciała Ludzi-Ryb i Pilich ...
- Tak, tak. Pokonaliśmy ich przy przeprawie, ale kilku naszych też przypłaciło to życiem.
- Tak zmartwił mnie ten widok, że postanowiłam cię szukać. Bałam się o twoje bezpieczeństwo mężu.

Patrzyła wprost w jego twarz, starając się z niej wyczytać, jak została przyjęta jej historyjka. Rayk powoli skinął głową, a Thayla pozwoliła sobie na lekkie westchnienie ulgi.

- Bo też i mieliśmy kłopoty. Zaatakował nas potwór, uciekł nam selkie z talizmanem, myślę że wciąż go ma ... a potem ten pożar.
- Gdzie jest reszta twojej drużyny ? – spytała

Wzruszył ramionami.

- Kto to może wiedzieć. Ja sam wskoczyłem do małej łódki stojącej przy pomoście. Nie widziałem nikogo więcej ... a co z twoimi towarzyszami ?
- Został tylko Bład – wskazała na młodego Pili. – Był najodważniejszy z tych, którzy ze mną wyruszyli.

Rayk spojrzał na Błada, który wreszcie zdołał zamknąć usta.

- Pomyślę o nagrodzie dla niego, kiedy wrócimy do domu.

Była zatem bezpieczna. Conan najprawdopodobniej jest martwy. Ugotował się w tym piekle płonącej wioski. A jeśli nawet jakimś cudem przeżył pożar, nie wiadomo gdzie się podziewał. Kiedy wrócą na pustynię, nigdy więcej go już nie zobaczą.

- A więc jak tylko ogień dogaśnie, wracamy ?

Rayk zmarszczył brwi.

- Nie. Oczywiście, że nie. Jeszcze nie odzyskaliśmy magicznego talizmanu. Jestem pewien, że Człowiek-Ryba zabrał go do zamku czarnoksiężnika na środku jeziora. Musimy pójść tam i zbadać sprawę.

- Oszalałeś ? Ten mag z dymu zamieni nas w galarete. Nie możemy stawić mu czoła.

Rayk uciął wszelkie dyskusje zdecydowanym ruchem głowy. Na jego twarzy malował się ten znany Thayli tępy upór, którego nienawidziła.

- Większość naszych ludzi zginęła. Teraz musimy odzyskać talizman, aby przetrwać. Potrzebny jest nam bardziej niż kiedykolwiek. Nie pamiętasz twoich własnych słów ?

- Ale to było wtedy. Teraz jest inaczej.

- Nie – uciął krótko – jest tak samo. Musimy mieć jakąś korzyść z tej katastrofalnej wyprawy. Zostało nas zbyt mało, aby przeżyć bez tej magii.

Thayla patrzyła na niego z przerażeniem. Jeżeli Conan był gdzieś na tych trzcinach, wciąż istniała szansa, że ci dwaj się spotkają. A jeśli nawet nie, rzucanie wyzwania Magowi z Mgieł było samobójstwem. Kiedy jej umysł pracował gorączkowo nad drogą ucieczki z nowego niebezpieczeństwa, w którym się znalazła, Rayk uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie.

- Bardzo się za tobą stęskniłem – powiedział. – Chodź znajdziemy jakieś wygodne miejsce...

Wręczył swą włócznię Bładowi.

- Stań na warcie ! – rozkazał – Królowa i ja mamy pewne sprawy do przedyskutowania ... eee prywatnie.

Thayla poczuła, że jego ręka dość zdecydowanie popycha ją naprzód, a w oczach Błada dostrzegła mieszaninę zazdrości i nienawiści. Rayk jednak nie patrzył w oczy młodego Pili. Jego myśli zajęte były czym innym.

Na wszystkich bogów, dlaczego wszyscy mężczyźni są tacy głupi ? – Thayla spojrzała przez ramię na Błada i dyskretnie uniosła palec ku wargom, w geście nakazującym milczenie. Młody Pili odwrócił się ze złością.

Wspaniale. Jeszcze jeden problem, którego zupełnie nie potrzebowała !

Kleg płynął ile tylko miał sił, tnąc ciemną toń znajomych tuneli pośród płataniny korzeni podwodnego świata Sargasso. W te rejony nigdy nie docierało światło ani księżyc, ani gwiazd, ani nawet słońca, ale on z łatwością znajdował drogę, posługując się innymi niż wzrok zmysłami. Niezliczona ilość małych pnączy znaczyła wyraźnie oba brzegi tunelu. Roślinki te świeciły

chłodnym wewnętrznym światłem o bladoniebieskiej lub zielonkawej poświacie. A nawet gdyby ich nie było, selkie w tej formie, miał inne organy sensoryczne, które pozwalały mu poruszać się niemal w totalnych ciemnościach. Kleg nie umiałby prawdopodobnie wytłumaczyć jak działały jego zmysły, ale dawały mu one świadomość obecności wszelkich żywych istot, niemal na taką samą odległość, na jaką mógł widzieć na lądzie, przy świetle gwiazd i księżyca. I czym większe były te istoty, tym bardziej Kleg świadomy był ich obecności. W tym momencie był naprawdę szczęśliwy, że posiada taki zmysł, albowiem pozwoliło mu to w porę zorientować się, że coś podąża za nim. Coś niezwykle dużego, większego niż on sam w swej wodnej formie, i nie pozostającego daleko z tyłu. To było równie szybkie jak on, podróżujący wszak z całą prędkością, na jaką mógł się zdobyć i Kleg nie mógł się oderwać od ścigającego go stwora co bardzo go niepokoiło. Zwłaszcza, że podejrzewał, iż podąża za nim ta sama bestia, którą widział we wiosce.

Jakiegokolwiek zamiary miał wobec niego potwór, selkie nie miał ochoty dać mu się schwytać.

Kleg wiedział, że nie będzie w stanie utrzymać przez długi czas takiego tempa ucieczki, gdyż zmęczy się i będzie musiał zwolnić. Czy podążająca za nim istota również się męczy? To było pytanie, od którego zależało jego życie. Ale cóż innego mógł zrobić? Jedyne płynąć do pełnego wyczerpania, co niestety nastąpi znacznie wcześniej, niż osiągnie cel. Mógł także zawrócić i stoczyć walkę. Ale mimo swej obecnej, potężnej formy, nie miał złudzeń co do jej rezultatu. Mógł wreszcie spróbować nawiązać kontakt z potworem ...

I to było wszystkie możliwości. Co więc robić?

Ostatni pomysł zaczął wyraźniej klarować się w jego umyśle. Zraniona stopa została w dużej mierze wyleczona przez Przemianę. Drobne uszkodzenia ciała były zazwyczaj leczone przez sam ten proces. Jeśli powróci do swej ludzkiej postaci prawie nie będzie odczuwał bólu kostki. Nie mógł wyprzedzić potwora w wodzie, ale być może potrafi wyprzedzić go biegnąc po powierzchni trzciny. Tak wielka istota z pewnością będzie poruszała się z większą trudnością po powierzchni Sargasso, niż człowiek. A były miejsca, gdzie trzciniowa powłoka była tak zdradziecka jak bagno. Być może z tej właśnie właściwości podłóża Kleg będzie mógł skorzystać, aby zwiększyć swe szanse. No i było tam znacznie więcej miejsc, gdzie mógł się schować. Dużo więcej niż tu, w wąskim tunelu. Tak więc wszystko wskazywało na to, że ucieczka górą była bezpieczniejsza niż droga, którą obrał.

Tak. Znał miejsca, gdzie znajdowały się tunele prowadzące ku powierzchni. Kleg postanowił skrócić w jedną z takich odnóg i być może w ten sposób oderwać się od swego prześladowcy. Może ten pomysł miał luki, ale w tej chwili zdawał się być najlepszym z możliwych.

Pierwszy selkie skierował się ku górze, szukając drogi ocalenia.

19.

Dimma wpłynął do swej tronowej komnaty pełen złości, niemniej jednak udało mu się utrzymać pod kontrolą porywy gniewu. Jego selkie powinni już wrócić. Musieli napotkać jakieś poważne trudności i najprawdopodobniej pożar na odległym wybrzeżu miał z tym coś wspólnego. Powrócił znów do myśli, by posłać przez jezioro więcej istot, na poszukiwanie Klega i jego krewniaków...

Węgorze i syreny mogły utrzymać wszystkich obcych z dala od trzciny, a Kralix znajdzie Pierwszego Selkie żywego lub martwego. O bezpieczeństwo zaś tego ostatniego, nie martwił się w ogóle. Jakiegóż trzeba by potężnego wojownika, żeby zranił tę bestię, nie mówiąc już o zabiciu jej. Więc cóż jeszcze mógł zrobić? Nic więcej niż uczynił do tej pory. Wysyłanie kolejnej armii stworzeń, nie miało chyba sensu. Jeśli Kleg ocalał, wróci. A jeśli już nie żyje, Kralix odnajdzie to, co z niego pozostało i dostarczy tutaj. To było dość proste.

Przez wieki Dimma nauczył się cierpliwości, choć przychodziło mu to z niemałym trudem. Teraz, kiedy znowu za moment odzyska ciało będzie mógł sobie to odbić. Do tego czasu jednak najlepiej było czekać. Ale chociaż wiedział, że jest to najmądrzejsze co może uczynić, nie był zachwycony.

Najlepiej będzie dla dobra Pierwszego selkie, jeśli znajdzie naprawdę porządne wytłumaczenie, dlaczego tak długo nie wracał. Naprawdę dobre wytłumaczenie.

Nadszedł świt, a nad bezbronną wioską wciąż szalał żywioł ognia, choć teraz już stracił znacznie na swej intensywności. Niewiele zresztą pozostało z Kharatas. Kilka kamiennych kominów przeżyło katastrofę i prawie nic więcej.

Conan obudził się wraz z nadejściem świtu i dostrzegł na trzciniowej macie tych, którzy ocaleli z pożaru. Kilkoro mężczyzn, kobiet i dzieci zebrało się w niewielkich grupach. Większość z nich wciąż przyglądała się płonącym resztkom czegoś, co kiedyś było ich domem.

- Hej, spójrzcie tam – zawołał Tair wskazując palcem.

Szło ku nim dwóch mężczyzn i bystre błękitne oczy Conana rozpoznały w nich Leśnych Ludzi z grupy Taira. Z tych, którzy wcześniej towarzyszyli Cheen, zdaje się żaden nie pozostał przy życiu. Cheen i Tair podeszli natychmiast, by powitać swych dwóch zaginionych towarzyszy. Hok

zaś zbliżył się do Conana.

- To będziemy szli do zamku czarnoksiężnika, Conanie ?
- Na to się zanosi.
- Czy to będzie niebezpieczne ?
- To prawdopodobne.

Chłopiec zdawał się rozmyślać przez chwilę.

- On chyba nie je ludzi ?

Nie je – pomyślał Conan, choć jego doświadczenie z magami mówiło mu, że ci którzy parają się tym kunsztem mogli robić, i najczęściej robili, znacznie gorsze rzeczy, niż po prostu jedzenie ludzi. Jednak głośno tego nie powiedział – po co straszyc chłopca.

Tair i Cheen podeszli do nich, w towarzystwie dwóch pozostałych niedobitków z ich grupy.

- No ci to mają niezłe historie do opowiadania – obwieścił Tair. – Prawią o wielkiej bestii, która wyglądała jak żaba, o pięknej Kobiecie–Jaszczurze i jeszcze twierdzą, że widzieli jednego z selkich. Cóż za łgarstwa.

Zarzut łgarstwa z ust Taira zabrzmiał co najmniej zabawnie. Conan zainteresował się Kobieta–Jaszczurem, toteż postanowił zapytać o to bliżej.

- Tak. Była piękna. Jej skóra miała niebieskawy odcień – zaczął opis jeden z przybyłych.

Był niski, krępy o ciemnej karnacji skóry. Conan zdołał nawet przypomnieć sobie jego imię – Stead. Ten drugi zaś, wyższy i smuklejszy, miał na imię Jube. To właśnie Stead odpowiadał na jego pytanie.

- Był z nią jeszcze jeden samiec. Młody, ale już pełnego wzrostu. Szliśmy za nimi, ale zgubiliśmy ich w pożarze.

Conan zastanowił się nad usłyszczanymi wieściami. Kobieta Pili była najprawdopodobniej tą samą, którą spotkał w jaskiniach. Nie było to niemiłe spotkanie, ale nie sądził, by podążała za nimi, żeby mu podziękować. Nie. Jeżeli kobiety Pilich były jak pozostałe istoty tego gatunku, na pewno nie spodobało jej się to nagłe porzucenie bez słowa pożegnania i wyjaśnienia. Prawdopodobnie ona i jej towarzysz zginęli w pożarze. Conan nie widział ani śladu Pilich na trzciniowej macie. Ale nigdy nie należało zapominać o środkach ostrożności. Toteż postanowił być czujny.

Obok miejsca ich spotkania znajdowały się niewielkie wzniesienia i Conan podszedł właśnie

ku tym bujniejszym kępom roślinności. Wspięcie się na ich szczyt nie było trudniejsze, niż wejście na normalne wzgórze, pokryte gęstymi krzakami. Kiedy zaś znalazł się na szczycie, stanął wyprostowany i rozejrzał się wokół. Wyższa pozycja dawała dość rozległe pole widzenia, zwłaszcza, że poranne słońce świeciło jasno.

Dostrzegł też zamek. Była to raczej niska masywna budowla. Jak oceniał powinni dojść tam w kilka godzin, gdyby szli po płaskim terenie, ale wzięwszy pod uwagę ten, po którym mieli iść, naprawdę ciężko było zgadnąć, kiedy dotrą do celu. To mogło zająć prawie cały dzień. Wiele też zależało od tego, jakie niebezpieczeństwa kryły się pod powierzchnią Sargasso. Jakie drapieżniki czekały tam nam niebacznym podróżnikom.

Patrząc w przeciwnym kierunku, Conan dostrzegł kolejnych ludzi, ocalałych ze zniszczonej wioski. Nie widział jednak ani jednego Pili, czy selkie. Nie widział też żadnego podobnego do żaby potwora i to go ucieszyło.

Cymmerianin zszedł ze wzniesienia i powrócił do swych towarzyszy.

Stead i Jube nie tylko zdołali w międzyczasie rozpalić ogień, ale także zadbać o posiłek. Podczas ucieczki obrabowali jakieś sklep i nad ogniem dyndał teraz długi rząd kielbasek, a w zapasie było jeszcze kilka kawałów wędzonej wołowiny, owiniętych w przetłuszczony papier i bochny przypalonego nieco chleba. Wszystko to stanowiło obfity posiłek, który cała szóstka z rozkoszą spożyła, przed wyruszeniem w dalszą podróż. Przynajmniej będą wędrować z pełnymi brzuchami – pomyślał Conan. I to była następna dobra rzecz. Głodni ludzie czasem robią błędy, a wiedział doskonale, że gdy ma się do czynienia z magiem, jeden błąd może być tym ostatnim.

Na razie przeżuwał jednak kawałek chleba i jeśli czegoś pragnął w tej chwili, to tylko dzbana dobrego wina, którym mógłby spłukać gardło. Nie obawiał się tego, co ich czekało. Przecież przeżył spotkanie z samym Cromem, a co mogłoby być bardziej groźne niż on.

Za całe śniadanie Thayla musiała zadowolić się surową rybą, nabitą na włócznię Błada. Choć właściwie była to włócznia Rayka, a młodszy z Pilich tylko z niej skorzystał. Zapach ryby nie był nieprzyjemny, ale gdyby to zależało od niej, zaryzykowałyaby rozpalenie ognia, aby ją ugotować. Król jednak zdecydował inaczej, a ona musiała się temu podporządkować. Mimo wszystko w kwestiach strategii i taktyki walki, nie był on takim kompletnym głupcem.

Gdy zaś król oddalił się za większa kępę roślin, aby ulżyć sobie po posiłku, Thayla

wykorzystała tę okazję, by porozmawiać z Bładem.

- Co tam ? – zareagował gburowato, gdy się doń zwróciła.
- Nie zachowuj się jak głupiec, Bład. To jest mój mąż.
- Słyszałem, że jest. Przez całą noc.
- Ale to nie jego pożądam.
- Ach tak. W takim razie bardzo dobrze udajesz.
- Głupcze przecież musiałam. Inaczej zacząłby podejrzewać, że to właśnie ciebie chcę na męża.

Bład odwrócił się ku niej, a na jego twarzy malowało się radosne zdziwienie.

- Naprawdę.

Równie głupi jak młody. Głośno jednak odparła :

- Oczywiście. On jest słaby i stary. Ty jesteś młody i silny. Czy ktoś mógłby woleć jego od ciebie ?

Bład nieomal pękł z dumy. Bogowie, jakże łatwo było manipulować mężczyznami.

- To jest niebezpieczne przedsięwzięcie – kontynuowała – Być może król nie przeżyje. Kiedy wrócimy do domu wybiorę nowego małżonka. – Położyła dłoń na jego ramieniu i uścisnęła go znacząco. – Jak myślisz kto będzie moim wybranym ?

- Milady, wybacz mi moją głupotę ...
- Tsss ... król wraca. Porozmawiamy o tym później, ale pamiętaj Bład, że należę tylko do ciebie, mój ogierze.

Kiedy Rayk wynurzył się z zarośli, Thayla odwróciła się ku niemu z uśmiechem. Teraz obaj mężczyźni byli w jej rękach tak, jak tego pragnęła. Mąż nie podejrzewał niczego, jeśli chodzi o nią i Błada, a tym bardziej o Conana, i jeżeli przeżyje i powróci z nią do jaskiń, wtedy wspomni mu, że Bład czynił jej niewłaściwe propozycje podczas ich wcześniejszej podróży. Biedny Bład spotka się z całym lasem włóczy, zanim zdoła otworzyć te swoje głupie usta. A jeżeli jakieś nieszczęście spotka króla, Thayla będzie potrzebowała towarzysza, ochraniającego ją podczas powrotnej podróży. I tą rolę spełni Bład. Tak czy inaczej Bład będzie musiał umrzeć. Wiedział, że kłamała swemu mężowi o napadzie na jaskinie i oczywiście wiedział też o znacznie większym sekrecie. O jej grzesznym związku. Nawet jeśli król umrze, będzie wiedział, że królowa jest w stanie zdradzać swojego męża i z całą pewnością nie zapomni tego, zwłaszcza jeżeli się pobiorą. Zawsze byłby

podejrzliwy – taką samą rzecz może zrobić jemu, w dodatku jego podejrzenia byłyby uzasadnione. Tak więc w żadnym wypadku Blad nie może żyć, gdy tylko Thayla dotrze do bezpiecznego miejsca. W tym jednak momencie wołała, aby obaj oddani jej mężczyźni, chronili ją równocześnie.

- Wyruszamy natychmiast – zdecydował Rayk.
- Tak mój panie – odparła.

A kiedy król się odwrócił, Thayla mrugnęła porozumiewawczo do Blada, który w odpowiedzi przesłał jej szeroki uśmiech.

To coś, co goniło Klega, nie ustawało w swym pościgu. Selkie zaczynał być zmęczony. Musi znaleźć wyjście i to szybko.

Nagle napięte zmysły Klega odkryły obecność jakichś żywych istot przed sobą. Uchwycił ich odległe echo i dopiero po chwili zidentyfikował obiekt ... a raczej obiekty. To były węgorze. Przez moment Kleg poczuł jak owładnęło nim przerażenie.

Węgorze zazwyczaj żyły w największych głębinach jeziora, gdzie nie stanowiły dla nikogo poważnego niebezpieczeństwa, może za wyjątkiem przydennych ryb, które miały tego pecha, że ich dotknęły. Jemu samemu zdarzyło się raz zetknąć z węgorzem i nie wspominał tego, jako przyjemnego spotkania. Takie krótkie zetknięcie spowodowało paraliż wszystkich mięśni i przeszło całe jego ciało zrazu gorącym płomieniem, a potem przeraźliwym zimnem, co całkowicie odebrało mu władzę w członkach. Jeden węgorz nie mógł zagrozić śmiertelnie dorosłemu selkie, ale o ile jego zmysły go nie zawodziły, było ich tam co najmniej pół tuzina, a to już naprawdę mogło być śmiertelnie niebezpiecznym spotkaniem. Kiedy węgorz wyładował swoją moc, przez jakiś czas był bezbronny. Ten, który kiedyś zaatakował Klega, został rozdarty na pół, gdy tylko selkie przemógł chwilowy paraliż, ale sześć na raz to zupełnie inna sprawa. Ścigał go potwór, a przed nim czekały węgorze i jeżeli Kleg miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, czy należy wypłynąć na powierzchnię, to teraz zostały one zdmuchnięte jak płomyk świeczki, przez powiew sztormowego wichru.

Warstwa trzciny, która teraz znajdowała się nad nim, była dość cienka, ale niestety nie widział żadnych wyraźnych kanałów wyjściowych. Nie mógł wszakże czekać dłużej. Jeszcze kilka uderzeń płetw i wpadnie prosto w kłębowisko węgorzy. A wkrótce to samo zrobi potwór. Kleg wcale nie miał zamiaru być uczestnikiem takiego spotkania. Zebrał się więc w sobie i całą swą siłą,

spotęgowaną jeszcze przez strach, pomknął ku górze jak strzała. A kiedy jego płetwa grzbietowa zaczęła ocierać się o spód trzciny pokryw, uderzył w nią potężnie, starając się za wszelką cenę przebić splataną roślinność.

Uderzył całą mocą. Cienka warstwa roślin nie mogła oprzeć się temu naporowi i Kleg przedarł się przez nią jak igła przebijająca się przez materiał. A zrobił to z takim impetem, że wybił się w powietrze, co najmniej na długość swego ciała. Następnie upadł płasko na roślinną pokrywę Sargasso, jak ryba wyrzucona na brzeg.

Błyskawicznie zaczął zmieniać swą formę. Był z całą pewnością bezpieczny, jeśli chodzi o węgorze, a być może i potwór będzie miał tutaj trochę problemów.

Skórzana sakiewka i rzemienie przetrwały bezpiecznie zderzenie z roślinnością i wciąż wisały na jego szyi. Nie licząc tego skrawka skóry, był nagi, gdyż jego ubranie rozdarło się i zostało gdzieś z tyłu podczas poprzedniej Przemiany. Ale to nie miało znaczenia.

Powietrze było rozgrzane i nie musiał chronić się przed zimnem. Zresztą chłód byłby najmniejszym z jego zmartwień.

Pierwszy selkie odbiegł z całą szybkością, na jaką jeszcze go było stać, od dziury, którą wydarł w roślinnej macie i pognął w kierunku zamku swego władcy. Może węgorze zabiją to coś, które go ściga? Tak czy inaczej nie miał zamiaru czekać, by się o tym przekonać.

20.

Conan wiódł pięcioro Leśnych Ludzi przez splątaną powierzchnię Sargasso, poruszając się po niej niezwykle ostrożnie. W wielu miejscach niepewne podłoże zapadało się. W innych, gęsta roślinność wyrastała tak wysoko, że blokowała wszelką widoczność. Starał się unikać takich niebezpiecznych miejsc.

Kilka razy zdarzyło mu się nawet zapaść jedną nogą w zdradliwą pułapkę i tylko szybki refleks uratował go przed wylądowaniem w mrocznej wodnej toni, gdzie nie wiadomo co, mogło nań czekać.

Przeszli już sporą część drogi poprzez roślinną matę, gdy nagle Cheen znieruchomiła i zamknęła oczy.

- Nasienie – powiedziała cicho, a potem głośniej – Już nie jest pod wodą. Przed nami, tam ! – wskazała wprost przed siebie.

Jube skoczył naprzód, zanim Conan zdołał go powstrzymać.

- Gdzie ? Odzyskam je !

Zdołał jednak zrobić może ze trzy kroki, gdy nagle podłoże pod jego stopami rozstało się, a on sam zniknął im z oczu. Usłyszeli jedynie wrzask i plusk wody w dziurze, którą zrobił. Conan podskoczył do krawędzi rozerwanej roślinności, kładąc się na brzuchu, by bezpieczniej rozłożyć ciężar ciała. Sięgnął ręką w rozwartą jamę.

- Ręka ! Podaj mi rękę !

Jube wynurzył się spod wody, rzucając się w panice i niemal na oślep. Zanim ponownie zszedł pod jej powierzchnię, wyrzucił rozpaczliwie dłoń w górę. Był to prawdziwy cud, że zdołał jednak zacisnąć palce na przedramieniu Conana. Ten uchwycił go silnie i zaczął za pomocą stóp i drugiej, wolnej ręki. Ryzykował przy tym zapadnięcie się wraz z tym, którego próbował uratować. Nagle poczuł coś, czego nigdy dotąd nie zdarzyło mu się doświadczyć. Zdarzało się wprawdzie, tak jak i teraz, że wszystkie włosy na jego ciele jeżyły się, gdy powietrze było zimne i suche, ale to było najmniej ważne, z tego, co odczuwał. Jego ciało przeszły na przemian fale zimna i gorąca, i nagle poczuł, jakby wszystkie jego mięśnie należały do innego człowieka. Zadrzał spazmatycznie i jakaś nieznana siła odrzuciła go od otworu w trzcinach. Stracił kontakt z Jubem, jako że jego palce, także zeszywniały jak kawał drewna. Nieznana siła przestała rzucać Conanem, gdy tylko rozłączył się z tonącym. Jube zaś wrzeszczał, gdy miały nim nieustające i gwałtowne drgawki. Nie trwały jednak

długo, podobnie jak krzyk, który słyszeli. Mężczyzna zapadł się ponownie w wodny kanał, a czarna woda zamknęła się nad nim już na zawsze.

Conan był sparaliżowany. Wciąż nie mógł zebrać się na siłach na tyle, by wstać, zaś z otworu w trzcinach doszedł doń dziwny brzęczący odgłos, który ustał po krótkiej chwili. Cheen i Tair podbiegli do Cymmerianina, by mu pomóc podnieść się na nogi. Odepchnął ich wstając o własnych siłach. Wciąż prawdzie trząsał się jeszcze, ale nie odczuwał żadnych poważniejszych dolegliwości.

- Na Croma, cóż to było ?

Powoli podczołgał się znów do dziury i zajrzał w głąb. Ciało Jube'a pływało po powierzchni. Tair sięgnął po nie, ale Conan powstrzymał go gwałtownie.

- Nie. Poczekaj moment !
- On utonie !
- Tknij go, a umrzesz także. Daj mi swą włócznię.

Tair wręczył mu broń. Conan ostrożnie dotknął ciała drewnianym końcem włóczni. Moc, która wówczas dostała go w swe ręce, znikła już albo nie mogła przenosić się przez drewno. Zahaczył końcem broni o skórzany pas Jube'a i zdołał przyholować ku sobie jego ciało. Jedno szarpnięcie i Jube wylądował na trzcinach. Teraz Conan uwolnił drzewce włóczni i ostrożnie, jednym palcem dotknął bezwładnego towarzysza. Ponieważ nic się nie stało, przekreślił leżącego na plecy.

- Jest martwy – obwieściła Cheen i Conan musiał się z nią zgodzić.
- Tak.
- Ale na jego ciele nie ma najmniejszej rany ! Jak to się mogło stać ?

Na twarzy mężczyzny zastygł grymas, który świadczył dobitnie, że jego śmierci towarzyszył wielki ból.

- Wygląda tak, jak stary Kine po tym, jak trafiła go błyskawica – powiedział Tair, – tylko jego twarz nie jest czarna.
- Błyskawice nie uderzają pod wodą – odparła Cheen.
- Być może zdarza się to blisko siedziby maga.

Conan w międzyczasie ponownie podpełzł do dziury w trzcinach i spojrzał w wodę. Pod jej powierzchnią coś się ruszało. Uniósł włócznię i błyskawicznie dźgnął. Czubek w jakąś rzecz uderzył i wyrzucił ją w górę jednym ruchem, uwalniając przy tym broń. Przez krótki moment, w

którym ostrze stykało się z nieznanym obiektem, poczuł ponownie tą falę zimna i gorąca, od której zdrząły jego dłonie, ale była znacznie słabsza niż poprzednio. Nieznana rzecz spadła na trzciniową matę a Conan pospieszył, by przyjrzeć się swej zdobyczy.

Za nim podążyli pozostali.

- Co to jest ? Wąż ? Czy to on ukąsił ? – to były słowa chłopca.

Conan pochylił się nad wijącą się istotą, uważając, by jej przypadkiem nie dotknąć. Cielsko było długości jego ręki, a szerokie jak przedramię.

- To nie wąż. Węgorz.

Jakoż w rzeczy samej, istota ta najbardziej przypominała węgorza, bardziej niż cokolwiek innego, chociaż różnił się od tych te, które dotąd Conanowi zdarzyło się widywać. Ostatecznie nazwa dobra jak każda inna.

- Nigdy nie słyszałam o węgorzu, który byłby jadowity.- zastanowiła się Cheen.

- Ja tak. Ale nie sądzę żeby Jube został ukąszony. Ta istota ma jakąś nieznaną moc. Może nawet podobną do błyskawicy. Myślę, że wystarczy jej dotknąć, by stracić życie.

Węgorz wił się i rzucał coraz słabiej, aż wreszcie zaprzestał wszelkiego ruchu.

- Dobrze – podsumował to Conan – Może i jest magiczny, ale można go zabić. Na przyszłość jednak postarajmy się nie wpadać do wody.

Jeszcze raz spojrzeli wszyscy na nieszczęśliwego Jube'a.

Bład otwierał pochód, testując podłoże niepewnymi stąpnięciami i ostrzem włóczni. Za nim szedł Rayk, a na końcu Thayla.

- Mężu mój, nie sądzę, że chcę krytykować twój plan.

- Ha !

- ... ale – kontynuowała ignorując ten wykrzyknik – jak myślisz co zrobimy, gdy już dotrzemy do tego twojego zamku ?

- Coś wymyślę – odparł Rayk.

- To by było pierwszy raz .

- Powstrzymaj swój język !

- Czy może myślisz, że ty, Bład i ja będziemy szturmowali zamek i w dodatku powstrzymamy jego właściciela przed zrobieniem czegoś, na co najwyraźniej ma dużą ochotę ?
W trójkę ?

- Nie nadużywaj mojej cierpliwości.

- Nie Rayk. Ja po prostu szukam odpowiedzi. Doceniam wartość talizmanu Leśnego Ludu, ale próba wytargania Iwa za grzywę w jego własnej jamie, nie jest zbyt mądra.

- Powiedziałem już, że coś wymyślę ! Najpierw musimy tam dotrzeć i rozejrzeć się po okolicy. I więcej nie chcę o tym rozmawiać. I ty też zamilknij !

Odwrócił się i Thayla mogła dalej przemawiać, co najwyżej do jego pleców.

Na wszystkich bogów ! Był znacznie większym głupcem niż kiedykolwiek myślała. Zaprawdę miał chyba zamiar zabić ich wszystkich, a do tego nie można dopuścić. Coraz bardziej była przekonana, że musi postawić na Błada. Gdy tylko nadarzy się sposobność, musi porozmawiać z młodym Pilim i przekonać go by wsadził włócznię w plecy Rayka. To nie powinno być takie trudne. Potem we dwójkę mogą wrócić do domu. Gdy Rayk będzie martwy, to wszystko stanie się znacznie łatwiejsze. Ostatnio stał się zbyt arogancki i mężczyzna, który odnosiłby się do niej z szacunkiem, byłby całkiem miłą odmianą. Oczywiście nie mógł to być Bład. Wprawdzie należał do niej ciałem i duszą, ale nie mogłaby ufać komuś, kto wiedział tak dużo. A Bład wiedział za dużo. No dobrze, na to nic nie można było poradzić. Jeśli chciała przeżyć, musiała dokonywać trudnych wyborów. Nie można mieć wszystkiego, ale można próbować mieć jak najwięcej.

Gdzieś z przodu do ich uszu dobiegło jęklive zawodzenie jakiejś istoty i było w tym głosie coś takiego, co zarazem przyciągało i odrzucało. Thayla nigdy nie słyszała podobnego dźwięku. Gdyby była zmuszona go opisać, powiedziałaaby, że było to coś pomiędzy wyciem wilka, płaczem kobiety, a może jeszcze odgłosem bagiennej czapli. I było to bardziej zbliżone do dziwacznej pieśni, niż do skowytu.

Przez jej ciało przebiegł dreszcz.

Trzej Pili zatrzymali się.

- Co to było ? – spytała Thayla.

- A skąd mam wiedzieć ? Siedzieliście na tych śmierdzących bagnach dokładnie tyle samo czasu co ja.

- Sprawdźmy ? – spytał Bład.

Rayk i Thayla odpowiedzieli mu równocześnie :

- Nie – to był głos królowej.
- Tak – zawtórował głos króla. – Może to się nam przyda.
- Może to coś będzie miało z nas następny posiłek – sprzeciwiła się królowa
- Było w tym dźwięku coś, co przyciągało – powiedział Rayk, a Bład potwierdził jego słowa skinieniem głowy.
- Tak, ja też to czułam – odparła Thayla, – a to wystarczający powód by tego unikać.

Obaj Pili spojrzeli na nią, jakby nagle wyrosły jej skrzydła i właśnie zbierała się do odlotu.

- To po prostu brzmiało, jakby ktoś nas wabił – wyjaśniła starając się zachować cierpliwość.
- A skąd możesz to wiedzieć ? – zawołał Rayk.
- Nie wiem na pewno. Ale myślałam, że chcesz iść do zamku maga, by odzyskać talizman.
- Bo tak jest.
- Więc musisz się zdecydować. Chcesz zdobyć ten magiczny przedmiot, czy ścigać po trzcinach jakieś zawodzenie, co może zresztą przynieść ci śmierć.

Patrzyła cierpliwie jak Rayk i Bład wpatrują się w siebie nawzajem. Śpiew odezwał się znowu. Donośniejszy. I zdawał się oddziaływać na nich znacznie bardziej, niż na nią. Ta dziwna pieśń miała najwyraźniej przyciągać mężczyzn, a nie kobiety. Król spojrział w kierunku, skąd dochodziła.

Thayla zaś starała się uchwycić spojrzenie Błada i ściągnąć na siebie jego uwagę. Potrząsnęła głową, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że nie ma zamiaru szukać źródła tego ponurego dźwięku, który ich wzywał. Bład mimo swej tępoty zrozumiał i kiedy król odwracał się znów w ich stronę, nim Thayla ponagliła młodego Pili ruchem głowy. Ten na szczęście zdołał odnaleźć język w gębie :

- Być może królowa ma rację, Wasza Wysokość. Naszym celem jest talizman. Możemy zbadać źródło tego dźwięku w powrotnej drodze.

Król spojrział na Błada, a potem na Thayłę. Wreszcie powoli skinął głową chociaż, jak

zauważyła królowa, z dość wyraźnym oporem.

- Dobrze. Więc najpierw talizman.

Wszyscy troje odwrócili się od wabiących ich odgłosów i podążyli dalszą drogą, w kierunku niewidocznego jeszcze zamku. Krótki moment tryumfu i satysfakcji, który poczuła Thayla, odpłynął bardzo szybko. Przypomniała sobie, że od jednego nieznanego niebezpieczeństwa, podążają wprost w objęcia innego. Nie było więc powodów, by napawać się tym małym zwycięstwem.

Chociaż jego domem była woda i Kleg spędził niewielką część swego życia podróżując po powierzchni Sargasso, znał większość niebezpieczeństw, które kryła w sobie ta roślinność i wiedział jak ich unikać. Teraz właśnie, gdy przemierzał te pełne żywych istot gąszcze, bardzo przydawała mu się ta wiedza. Trzymał się z dala od gęstszych zarośli, a zwłaszcza takich, w których znajdowały się wiadome dziury. Takie miejsca bardzo często były siedzibą drapieżników, czasem tak małych, jak podobni do szczurów padlinożercy wielkości psa, a czasem skorupiaków wielkości byka, które mogły uciąć rękę, jednym kłapinięciem olbrzymich szczypiec. W wielu też miejscach pułapki tkwiły w podłożu, ale tutaj wystarczyło spojrzenie uważnego oka, by odróżnić minimalne zmiany w ubarwieniu roślinności.

To co go ścigało poruszało się jednak wolniej po trzinowej macie, niżli pod nią. Kleg stale zwiększał dystans dzielący go do prześladowcy. Będzie zmęczony, gdy dotrze do bezpiecznego zamku, ale jeżeli wszystko potoczy się dalej tak, jak do tej pory, dotrze tam zostawiając daleko w tyle potwora. Kleg odważył się uśmiechnąć. Cała ta eskapada była bardziej niebezpieczna niż się spodziewał, ale zbliżała się przynajmniej ku końcowi.

W tym momencie dotarł do niego odległy zew. Zew pełen lubieżnych tonów, które spłynęły na biegnącego selkie jak słodki miód. Uśmiech Klega poszerzył się, gdy rozpoznał źródło tego dźwięku – skreeche.

Spędziwszy prawie całe swe życie pod powierzchnią lub na powierzchni Sargasso, Pierwszy selkie znał bardzo dobrze kuszącą moc tych istot. On sam, podobnie jak i jego bracia, był praktycznie odporny na ten zew. Częściowo z powodu przyzwyczajenia, a częściowo dlatego, że Stwórca tworząc skreeche obdarzył je zdolnością kuszenia ludzi, nie selkich. To co u Klega, czy jego braci, powodowało tylko lekki wzrost pożądania, nad ludźmi panowało całkowicie. Mężczyzna pobiegłby do skreecha jak pszczoła do miodu. I czułby to ogarniające wszelkie zmysły pożądanie, dopóki skreech nie zanurzyłby zębów w jego krtani. A nie były to małe zęby. Największe z nich

dorównywały wielkością palcom Klega i były zaostrome jak igły. Głodny skreech potrafił wysać z człowieka krew, w kilka zaledwie sekund, zmieniając najsilniejszego mężczyznę w pozbawione krwi martwe zwłoki, które odrzucał jak niepotrzebną powłokę. Nie była to przyjemna śmierć – pomyślał Kleg, przypomniawszy sobie ten widok. Bywało, że ludzie odważali się czasem naruszyć samotność Sargasso i niektórzy nawet przeżyli spotkanie ze skreechami, o ile te zostały wcześniej nasycone krwią ich towarzyszy. Kiedyś w wiosce Kleg rozmawiał nawet z człowiekiem, który był świadkiem takiego zdarzenia. Nawet wspomina tę rozmowę z rozbawieniem. Człowiek bladł i czynił odpędzające złe moce gesty, na samo wspomnienie tych istot. Nazywał je syrenami. Kleg wcześniej nie znał tego określenia.

- Były jak piękne kobiety od bioder w górę – opowiadał, – a jak ryby u dołu.

I był to wystarczająco dokładny opis, by Kleg wiedział o kim mowa. Tak były jak piękne kobiety ... dopóki nie otworzyły ust i nie zatopiły w tobie kłów.

Odskoczył na bok, omijając pułapkę w podłożu. Skreeche nie były jego zmartwieniem. Nawet, gdyby któryś próbował go zaatakować, był silniejszy niż ludzie i równie silny jak te przerośnięte pijawki. Po za tym mówiono, że skreech nie przepada za smakiem selkich.

Kleg uniósł dłoń dotykając sakiewki, która wciąż wisiała na jego szyi. Talizman był na swoim miejscu. Jego władca będzie zadowolony.

W tym jednak momencie Dimma nie był zadowolony. Przez jakieś niewidoczne szpary w podłodze, ścianie lub może w suficie, wtargnął niewielki podmuch zimnego powietrza. Był on wystarczająco silny, by pchnąć Maga z Mgieł w dół korytarza, dokładnie w przeciwnym kierunku, niż zamierzał się udać. Starał się maksymalnie skoncentrować, by powstrzymać ta, niepożądaną podróż, ale nie mógł pokonać lekkiego podmuchu.

Dimma zaklął bezgłośnie. Cierpiał już tak przez pięćset lat ! To było za wiele. Na bogów ! Spędzi następne pięćset lat wyładowując swą wściekłość za upokorzenia, które odcierpiał, na każdym, kto stanie mu na drodze. Dziesiątki tysięcy istot będą cierpieć i umierać, aby wyrównać krzywdę, której teraz doświadczał. Ludzie, zwierzęta i rośliny – wszyscy zapłacą straszliwą cenę.

Jego wzmocniona gniewem, wola zdołała wreszcie powstrzymać ten niekontrolowany ruch, któremu podlegał i Dimma pozegłował z powrotem, czując się znacznie potężniejszy niż w ciągu ostatnich długich lat.

O tak – pomyślał – jesteś tak silny, by przemóc ten oddech myszy. Zaczekaj – odpowiedział

sam sobie – zaczekaj aż znów będę miał ciało, a każda mysz w promieniu wielu dni marszu stąd we wszystkich kierunkach, umrze ! Podobnie jak każda inna żywa istota.

21.

Dzień tymczasem trwał, a słońce stało już znacznie wyżej na horyzoncie, toteż Conan i już niestety tylko czwórka jego towarzyszy, mogli cieszyć się przyjemnym ciepłem. Cymmerianin zaczynał czuć się całkiem pewnie na trzcinowym podłożu. Oczywiście w dalszym ciągu starannie unikał wszelkich garbów i wzniesień, gdzie mógł kryć się jakiś niebezpieczny drapieżca. Po uważnych obserwacjach, jakie poczynił, zauważył też, że miejsca, w których roślinna mata Sargasso była bardzo cienka, różniły się nieco kolorem od tych, gdzie powierzchnia była bardziej stabilna. Była to niewielka różnica, ale w zupełności wystarczająca dla bystrego oka. Toteż szybko nauczył się unikać takich jaśniejszych miejsc i dzięki temu mógł poruszać się nieco szybszym i pewniejszym krokiem.

Mimo to Conan nie sądził, aby dotarli do zamku przed zapadnięciem ciemności, jeżeli będą podróżować w takim tempie, jak do tej pory. Okrążanie niektórych przeszkód, wiele razy zmuszało ich do zbaczania z drogi, a czasami znalezienie przejścia wymagało naprawdę dużego nakładania drogi.

Zbliżało się już południe, kiedy zatrzymali się na moment, by posilić się ostatnią porcją prowiantu, który swego czasu ukraść w wiosce Stead nieżyjący Jube.

- Dobrze, że udało wam się to zdobyć – powiedział Conan przeżuając kęs kielbasy.
- Tak – odparł Stead – Jube przynajmniej nie umarł z pustym żołądkiem.

Powiedział to tak, jakby dla zmarłego było to istotne. Ale zarówno Tair jak i Cheen zgodzili się z nim. Conan przełknął swój kęs potem ugryzł ponownie. Nie sądził, by umieranie z pełnym żołądkiem było w jakikolwiek sposób lepsze, od opuszczania tego świata na głodnego. Co innego wybór pomiędzy życiem a śmiercią. Żywy człowiek zawsze mógł znaleźć jakiś sposób, by napełnić swój żołądek, a martwy ? Cóż to była zupełnie inna sprawa i kiedy przyjdzie na to czas, sam się o tym przekona. Na razie jednak nie było mu spieszno do tego typu doświadczeń.

Znudzony Hok grzebał w roślinnym podłożu krótkim nożem, który dał mu Tair i przyglądał się z zainteresowaniem swemu dziełu. Zdawał się być całkowicie pochłonięty swoją pracą. Conan uśmiechnął się. Niewiele trzeba było, by znaleźć zajęcie dziecku.

- Jak myślisz co nas czeka gdy już dotrzemy do zamku ? – spytała Cheen.

Conan wzruszył ramionami.

- A któż to może wiedzieć. Znajdziemy twoje magiczne nasienie, jeżeli będziemy mieli szczęście. A może i trochę cennych przedmiotów, które nagromadził czarodziej ... a może wreszcie setkę uzbrojonych po zęby selkich ...

Nie lubił martwić się na zapas. Stawi czoła trudnościom wtedy, gdy się pojawiają. Myślenie o tym na zapas było tylko niepotrzebną stratą czasu.

Zanim Tair zdołał wtrącić się do dyskusji, do ich uszu dobiegł dziwny dźwięk, jakiego Conan nigdy dotąd nie słyszał. Miał lepszy słuch niż towarzysze, którzy zdawali się nie słyszeć tego co dotarło już do niego. To było jak śpiew kobiety, cikliwa i smutna pieśń. Teraz także usłyszał ją Tair. Conan dostrzegł, że zwrócił głowę w tamtym kierunku, nastawiając uszu. Hok także przestał zajmować się trzciniami i uniósł głowę. Wreszcie i Stead uchwycił dźwięk. Cheen zaś przyglądała się im wszystkim, najwyraźniej zaskoczona ich zachowaniem.

- Co to było ? – zapytał Tair – Nigdy nie słyszałem czegoś tak ... pięknego.

- Tak – zgodził się Conan.

Pieśń przywodziła mu na myśl wizję kobiety lamentującej nad stratą swego mężczyzny i wzywającej kogoś, kto przybyłby i pomógł jej ukoić smutek. Wzywała wszystkich mężczyzn, ale z całą pewnością najbardziej pragnęła przybycia jego – Conana. Tak jakby wiedziała, że siedzi tutaj i jej słucha.

Tair w międzyczasie był już na nogach, podobnie Hok. Stead nawet zrobił już kilka kroków w kierunku wabiącego ich głosu. Cheen w dalszym ciągu spoglądała na wszystkich ze zdumieniem.

- Co wy robicie ? – spytała wreszcie.

Conan zignorował ją i podążył w ślad za Steadem. Chłopiec i jego starszy brat nie pozostawali w tyle.

- Conan ! Tair ! Zaczekajcie !

W tym śpiewie było coś znajomego, coś co Conan już kiedyś słyszał ale teraz nie mógł przywołać tego wspomnienia. Czuł, jakby znajdował się w objęciach snu. Cały świat przesłoniła mu słodycz niesiona przez ten odległy zew. Był znajomy ... tak, ale gdzie i kiedy już go słyszał ? Nie mógłby przecież zapomnieć takiej kobiety. Za ich plecami Cheen wrzeszczała coraz głośniejsze :

- Conan, zatrzymaj się ! Dzieje się tu coś złego ! Nie idźcie tam !

Była jak natrętnie brzęczący nad uchem komar. Jej nawoływania pozostały bez odpowiedzi.

Conan podążał uparcie, w raz wybranym kierunku. Na szczęście po drodze nie było zdradliwych pułapek w trzcinach. Nie było ich między nim a kobietami, które teraz wreszcie widział wyraźnie. Siedziały na brzegu małego jeziora, pomiędzy roślinnością Sargasso. Kiedy podeszli bliżej, dostrzegli wyraźnie to, co umknęło ich oczom z większej odległości. Trzy siedzące tam kobiety, były zupełnie nagie. Ich uroda przechodziła najśmielsze wyobrażenia. Miały przepiękne kuszące piersi, długie czarne włosy, które opadały aż do kształtnych bioder i ... co to ... ich nogi łączyły się w jedną, pokrytą zielonymi łuskami kończynę, którą zwieńczał rybi ogon. To jednak nie miało znaczenia. Może nie były to w pełni kobiety, ale istoty niezwykle do nich podobne. I co najważniejsze wzywały ich. Tak głosiła ich pieśń.

Conan uśmiechnął się. Tak. Przyspieszył kroku.

Coś chwyciło go za nogi, przytrzymując i więżąc kostki. Było to tak nieoczekiwane, że stracił równowagę i upadł. Wyciągnął przed siebie ręce, by powstrzymać impet upadku, który zresztą nie był groźny, jako że podłoże było miękkie. Ale jego nogi były wciąż uwięzione. Spojrzał do tyłu.

Dostrzegł Cheen, która z całych sił przyłgnęła do jego stóp i trzymała je mocno.

- Puść ! – powiedział krótko.
- Conan, nie ! Dzieje się tu coś dziwnego.
- Tak. Trzymasz moje nogi. To właśnie jest dziwne. Puszczaj !
- Nie.
- Nie ? Zobaczymy.

Nie mogła go powstrzymać. Był od niej o wiele silniejszy. Wyszarpnął jedną stopę i już miał zamiar z całej siły kopnąć w twarz Cheen, gdy w tym właśnie momencie przypomniał sobie gdzie słyszał już podobny zew. To było w podziemnych jaskiniach, gdzie był uwięziony wraz z Elashi – kobietą z pustyni i starym wojownikiem Tullem. Były tam magiczne, złe rośliny, które używały podobnego głosu aby wabić Conana i jego przyjaciół. Prawie stracili życie w wyniku tego spotkania. A zew tamtych roślin był naprawdę niezwykle podobny do śpiewu tych kobiet...

Na Croma ! To była pułapka ! Conan stanął gwałtownie na nogi.

- Uwolniłem się spod czaru ! – krzyknął do Cheen – Zostaw mnie ! Biegnę po pozostałych !
- Jesteś pewien ?
- Puść mnie kobieto !

Usłuchała, a on pognał naprzód jak strzała. Pieśń wciąż atakowała jego umysł, kusila i zniewalała, ale teraz już wiedział o co tu chodzi, i te nagie kobiety, z wyciągniętymi doń rękami, nie były już takie kuszące. Ale pozostali dwaj mężczyźni i chłopiec, wciąż byli pod działaniem uroku. Biegając, Conan wrzasnął do Cheen.

- Łap chłopca ! Zatrzymam Taira i Steada !

Biegł ile sił w nogach.

Thayla nie mogła znaleźć ani chwili, by spokojnie porozmawiać z Bładem na osobności. Ten głupiec, jej mąż nie oddalał się od nich dalej, niż na kilka kroków. Czyżby coś podejrzewał ? Nie – to zdawało się niemożliwe. Ale niestety, nie dał jej ani jednej sposobności, by mogła zamienić z Bładem choćby słowo, nie ryzykując, że król usłyszy. Nie mieli takiej okazji od czasu, gdy o świcie zmogła go naturalna potrzeba. Ona sama odchodziła na ubocze kilka razy, próbując być może zasugerować i jemu taką konieczność, ale król był odporny na te sugestie. Nie mogła przecież poprosić Błada, by poszedł wraz z nią w krzaki. Przecież nawet taki głupiec jak Rayk zrozumiałby wtedy, że dzieje się tu coś dziwnego.

Thaylę zaczynała ogarniać desperacja. Zbliżali się coraz bardziej do celu swej wędrówki, chociaż wciąż jeszcze nie widzieli zamku. Musieli kroczyć okrężną drogą ze względu na liczne, czyhające na nich niebezpieczeństwa, prawdziwe i wyimaginowane. Jednak w końcu dotrą do siedziby maga, o ile nie zabije ich coś po drodze. A dotarcie tam oznaczało pewną śmierć. Thayla czuła, że jeżeli wkrótce nie uda jej się porozumieć z Bładem, będzie zmuszona sama użyć noża, by poderżnąć Raykowi gardło. Lepiej, by jednak uczynił to Bład, zwłaszcza jeżeli by coś się nie udało... Ale ktoś musiał to zrobić i to szybko ! To było szaleństwo, a Thayla nie miała zamiaru jeszcze umierać. Jeszcze długo, długo nie będzie mieć takiego zamiaru.

Gdy popołudniowe cienie zaczęły kłaść się na wzgórza i doliny trzcinowej powierzchni Sargasso, Kleg prawie docierał do siedziby swego władcy. Już niedługo. Mógł już odróżnić szczegóły budowli. Widział już jej masywne, niskie ściany. Będzie tam przed zmrokiem. Powróci jako bohater, niosący ocalenie swemu Panu.

Na pewno Stwórca będzie tak przepełniony wdzięcznością, że Kleg otrzyma niezwykłą

nagrodę. Za biegnącym selkie wiatr niósł odległą pieśń skreechy. Najwyraźniej wabiły kogoś, bo pieśń urwała się nagle ... właśnie teraz umierała jakaś nieszczęsna ofiara.

Co zaś do potwora, który go ścigał, Kleg nie widział go ani nie słyszał już od długiego, długiego czasu, co najmniej od kilku godzin. Cokolwiek to było i cokolwiek chciało z nim zrobić, Stwórca z pewnością mógł to zniszczyć jednym zaklęciem. Tego Kleg był pewien. Pierwszy selkie biegł więc wytrwale, a zarazem myślał o chwale i nagrodach, które nań czekały. Wkrótce. Już wkrótce będzie na miejscu.

- Stój ! – wrzasnął Conan mijając w biegu Taira i zwracając ku niemu głowę.

Wyraz twarzy Leśnego Człowieka przypominał kogoś, kto był w stanie upojenia alkoholowego. Zdawał się być w transie i patrzył nie na Conana, ale przez niego, jakby Cymmerianina w ogóle tam nie było. Nie zwolnił nawet o krok, gnając wciąż w kierunku śpiewających kobiet. Kątem oka Conan dostrzegł, że Cheen pochwyciła Hoka. Chłopiec walczył wprawdzie zaciekle ze swą siostrą, by się uwolnić, ale ona była znacznie większa i o wiele silniejsza. Te mięśnie, które tak podobały się Conannowi w czasie ich wspólnych igraszek, teraz pokazywały swą moc i chłopiec mimo najszczerszych wysiłków nie mógł się wyrwać z objęć siostry.

- Tair, musisz się zatrzymać ! To jest pułapka !

Tair jednak wciąż ignorował jego nawoływania.

Cymmerianin zawahał się przez moment. Jak go zatrzymać nie robiąc za dużej krzywdy ? Mógł co prawda pochwycić go podobnie jak Cheen schwytała Hoka, ale jeśli by to uczynił, musiałby zostawić Steada. Conan podjął decyzję. Zacisnął prawą dłoń w pięść i używając jej jak potężnego młota, huknął biegnącego. Uderzył go wprost w pierś, tuż pod mostkiem. Usłyszał głośne jęknięcie Taira, który natychmiast opadł na kolana i skulił się, z wysiłkiem łapiąc oddech. Trzymał się za brzuch obiema rękami. Conan nie tracąc już więcej czasu, zwrócił się ku syrenom i Steadowi ... za późno.

Stead był już o krok od najbliższej z kobiet, a to co stało się potem, na zawsze miało pozostać w pamięci Cymmerianina.

Kobieta uśmiechnęła się a, jej usta rozszerzały się coraz bardziej i bardziej, odsłaniając niemożliwie wielką paszczę i potężne kły, które mogłyby należeć do jednego z drapieżnych kotów,

czy do wilczy. Istota będąca pół rybą pół kobietą skoczyła ku Steadowi z rozwartą paszczą i przyciągając go do swych piersi, zanurzyła te przerażające kły w jego szyi. Stead szarpnął się do tyłu, wyzwolony nagle spod działania czaru, nie mógł jednak wyrwać się z objęć potwora. Wrzasnął. Krew trysnęła fontanną z olbrzymiej rany na jego gardle, spryskując szkarłatem potwora, który się przyssał do swojej ofiary.

Na Croma !

Conan dobył miecza i runął w kierunku istoty, która zabijała Steada. A tak była zajęta swym posiłkiem, że zdawała się nie dostrzegać nadbiegającego mściciela. Błękitnawe żelazo błysnęło w świetle zachodzącego słońca, a ostrze przecięło ze świstem powietrze. Conan uderzał z góry jak człowiek starający się rozciąć siekierą drewniane polano. Nie mógł ciąć poziomo, aby nie trafić Steada. Ostre żelazo zgruchotało ciało i kości prawego ramienia istoty i odcięło całkowicie jedną z rąk. Rozległ się nieludzki skrzek, który wbił się głęboko w mózg Conana. Upuszczając Steada, potwór zwrócił się ku niemu jak atakująca, wijąca się po ziemi zmija i wyciągnął doń pozostającą mu jeszcze kończynę, uzbrojoną w długie i ostre pazury. Conan przyjął godnie napastnika. Zakręcił mieczem na głowę i opuścił go znowu, używając całej siły swych potężnych ramion. Tym razem ostrze spadło na głowę istoty, przecinając ją na pół. Umierający potwór wił się w ostatnich przedśmiertnych konwulsjach, aż wreszcie leży nieruchomy na splamionej krwią roślinnej macie. W tym czasie jego towarzysz skakał już na Conana, który gotów był na to spotkanie. Stwór cofnął się gwałtownie, balansując w niemożliwy sposób na swym ogonie, a jego ręce sięgnęły po ofiarę. Cymmerianin pchnął mieczem i wbił go pierś przeciwnika przebijając go na wylot. Kobieta-Ryba chwyciła ostrze dwoma rękoma naostrzone żelazo przecinało jej dłonie. Popłynęło mnóstwo krwi gdy do jednej rany doszła następna. Syrena dysponowała tak wielką siłą, że mimo odniesionych obrażeń, wyrwała broń z rąk Conana i wraz z nią upadła, odchodząc w objęcia śmierci, i dołączając do swej siostry. Conan zaś zwrócił się ku trzeciemu potworowi, który był już tuż przy nim. Pozbawiony broni, miał zamiar pochwycić gołymi rękami atakującą go bestię, ale nim wpadł w jej pazury, powietrze przecięła lecąca włócznia, która utkwiała w lewym oczodole jego przeciwnika.

Ponownie usłyszał okropny skrzek potwora, który upadł na plecy, trzymając rękami drzewce, dochodzące aż do jego mózgu i zabijające go.

Conan odwrócił się i zobaczył Cheen stojącą o kilka kroków za jego plecami. Hok zaś leżał u jej stóp całkowicie oszołomiony. Skinął głową w jej kierunku, w geście podziękowania. Jeszcze raz pokazała na co ją stać. Jeszcze raz ocaliła mu życie. Dla Steada jednak pomoc nadeszła zbyt późno. Cała lewa strona jego szyi była jedną wielką i pulsującą krwią, raną. I nawet gdyby Conan mógł

zając się nim wcześniej, nie zdołałby zatamować upływu krwi, z tak poszarpanych tętnic.

Conan zakończył oględziny martwego towarzysza i podniósł leżący obok miecz. Cheen, Tair i Hok stanęli u jego boku.

- Czy on ... – zaczął Tair.
- Tak – odparł Conan.
- Co to było ? – spytał Hok.

Cymmerianin potrząsnął głową.

- Nie wiem. Ale wiem, że Sargasso nie jest miejscem dla nas. I czym prędzej się stąd wyniesiemy, tym lepiej.
- Pośpieszmy się zatem – powiedziała Cheen. – Lepiej opuścić to miejsce, nim zapadną ciemności.

Tak to była mądra uwaga – przyznał w myślach Conan. Głośno zaś powiedział :

- Do zamku zatem. Musimy rozmówić się z tym, kto nasyła na nas te wszystkie potwory.
- Tak – potwierdził Tair. – Tak właśnie uczynimy.

22.

Gdy rządy słońca nad światem, zaczęły już zmierzać ku końcowi ustępując ciemnościom nadciągającym zza linii horyzontu, Sargassowy Pałac stał się wyraźnie widoczny. Kleg był już tak blisko, że widział nawet dwóch selkich, uzbrojonych w długie lance, stojących na warcie przy południowo – zachodniej bramie. Nareszcie. Był w domu. Strażnicy dostrzegli go i zareagowali błyskawicznie, kierując ku niemu ostrza swej broni. Przez krótki moment Kleg poczuł niepokój – czyżby działo się tu coś, o czym nie wiedział ? Ale po chwili został rozpoznany. Strażnicy rozluźnili się w widoczny sposób i unieśli broń. Kleg także pozwolił sobie na ciche westchnienie ulgi. Zwolnił i podszedł ku nim dostojnym krokiem.

- Lordzie, Pierwszy – powitał go jeden z selkich.

Kleg skinął władczo głową.

- Jak przebiega warta ?

Drugi ze strażników, samica, która dzieliła z nim gniazdo, mogła sobie pozwolić na swobodniejszy ton rozmawiając z Pierwszym. Toteż to właśnie ona udzieliła odpowiedzi.

- Nuda, bracie.

Kleg skrzywił się w uśmiechu. Wszyscy selkie byli równi, ale niektórzy byli jednak równiejsi. Dlatego stali właśnie przy tej bramie. Południowo – zachodnie wejście było przyjemnym posterunkiem, gdyż znajdowało się najbliżej kuchni. Szybki strażnik mógł się tam przebiec i posilić, albo skorzystać z wdzięków jednej ze służebnic kuchennych i wrócić na swe stanowisko, zanim ktokolwiek odkrył jego nieobecność. Kleg pamiętał o tym doskonale. W dawniejszych czasach bywało, że sam stał tutaj na warcie.

- Miejmy nadzieję, że nadal będzie tak nudno.

Podszedł do pierwszej pary wysokich drzwi i pchnął ciężkie drewniane skrzydło. Drzwi dzięki dobrze naoliwionym zawiasom ustąpiły bez najmniejszego dźwięku, a on wszedł do środka. Znajdująca się tam pochodnia wyraźnie oświetlała następne wrota, które były o dwa zaledwie kroki od pierwszych. Za tym zaś portalem był jeszcze trzeci, mniejszy. Każde z czterdziestu sześciu wejść do pałacu był skonstruowane w podobny sposób. Nawet w bardzo burzliwy dzień, potrójne drzwi zapewniały, że żaden, najmniejszy nawet, podmuch wiatru nie wtargnie do środka. Stwórca, w tej formie jaką posiadał, nie mógł ścierpieć wiatru w komnatach zamku i biada temu, kto o tym

zapomniał.

Kleg nie zostałby Pierwszym gdyby nie pamiętał o takich drobiazgach. Toteż poczekał bardzo cierpliwie, aż ustały najmniejsze nawet ruchy powietrza i przekroczył drugie, a potem trzecie wrota. Będąc już we właściwym pałacu, ruszył przed siebie szerokim, oświetlonym pochodniami korytarzem.

Mało prawdopodobne, by spotkał tu Stwórcę bowiem, pochodnie także powodowały drganie powietrza, które było dla niego nieprzyjemne. Dalej, w głębi korytarza spał jednak na wytartym chodniku szczególny zwierzak. Ta istota, była jeden z tworców władcy. Swym wyglądem przypominała krzyżówkę wilka i małpy, przy czym korpus należał do pierwszego z tych zwierząt, a głowa do drugiego. Stwórca nazwał te istoty vundami. Nie były zbyt inteligentne, ale szybko biegały i potrafiły powtórzyć proste komunikaty.

Kleg kopnął vunda, który warknął rozbudzony, zerwał się i spojrzął na niego badawczo.

- Idź i znajdź Mistrza. Powiedz mu – Twój Pierwszy powrócił. Rozumiesz ?

Vund potwierdził mrugnięciem.

- Powtórz !

Głos, który wydobył się z gardła istoty, bardziej przypominał warczenie niż mowę, nie mniej fraza była zrozumiała :

- Fujrr errszy porróciłrr.

- Dobrze. Biegnij ! Spiesz się !

Vund pomknął przed siebie korytarzem co najmniej dwa razy szybciej, niż potrafiłby biec selkie. Gdziekolwiek był Stwórca, vund go znajdzie. Pałac był olbrzymi, ale vund będzie go przeszukiwał dopóki nie zlokalizuje Mistrza, tak jak potrafiłby znaleźć każdego w obrębie tych murów. Kleg zaś skierował się ku specjalnemu pomieszczeniu, które zawierało wszelkie magiczne przedmioty zgromadzone na zamku. Kiedy tylko Stwórca otrzyma wiadomość, z całą pewnością przybędzie właśnie tam. I tam znajdzie go Kleg.

Pochodnie na ścianach płonęły spokojnie, ogień drgał tylko na skutek ruchu powietrza, który wywoływał przechodzący selkie.

Kleg podążył szybkim krokiem na spotkanie swego władcy.

Kralix miał tępy umysł, ale zawsze wytrwale podążał do wyznaczonego mu celu. Otrzymał zadanie i cała jego wola nakierowana była na jego spełnienie.

Znajdź Pierwszego ! Przynies Pierwszego ! Nie pozwól, by cokolwiek stanęło ci na drodze ! Był głodny, nie zatrzymał się jednak ani przez moment, by nasycić swój głód. Pierwszy był ciągle gdzieś przed nim, Kralix czuł go równie wyraźnie, jak roślinne podłoże pod stopami i powietrze na swej skórze. Musiał odnaleźć Pierwszego i przynieść go.

Mimo wrodzonej tępoty, do Kralixa dotarło, że nie będzie musiał podróżować daleko, gdy już schwyta Pierwszego. On sam, z własnej woli podążał we właściwym kierunku. I to było dobre.

Ale Kralix nie został poinstruowany, co robić w takim przypadku. Powiedziano mu tylko trzy rzeczy. Znajdź Pierwszego ! Przynies Pierwszego ! Nie pozwól by cokolwiek stanęło ci na drodze !

Toteż nigdy nie odczuwający zmęczenia Kralix podążał wytrwale przed siebie, by wypełnić swą misję.

Światło niezliczonych gwiazd rozblęskło na nocnym niebie, gdy Conan i jego drużyna przybyli pod mury zamku Sargasso. Nieco na lewo, może o sto kroków od miejsca, w którym się znajdowali, widzieli dwie jarzące się pochodnie, które oświetlały szerokie podwójne drzwi, osadzone płasko w ścianie budowli. W blasku tych samych pochodni dostrzegli także dwóch selkich stojących na warcie.

Ukryci pod płaszczem nocy, Conan i jego troje towarzyszy z Leśnego Ludu, nie mogli zostać zauważeni przez selkich, ale mimo to Cymmerinin nakazał gestem, aby jego przyjaciele opadli nisko na ziemię. Kiedy zaś do nich przemówił, zniżył głos do konspiracyjnego szeptu:

- Jesteśmy zatem – zaczął.
- Tak i co teraz ?

Conan zastanowił się. Możliwy był bezpośredni atak, zwłaszcza, że mieli przewagę liczebną. Ale nie mógł mieć pewności, że strażnicy nie zdążą wezwać pomocy. Następną dwudziestką selkich mogła równie dobrze czekać tuż za drzwiami, a to znacznie zmieniłoby układ sił. Można także pomyśleć nad jakąś sztuczką, która odciągnęłaby strażników od bramy. Conan mógł przyciągnąć ich uwagę z jednej strony, kiedy Tair i Cheen okrążyliby ich. Gdyby udało im się odciągnąć selkich spod drzwi, nie mogliby wezwać pomocy. Kolejną rozważaną przez Cymmerianina wersję, było skradzione się coraz bliżej położenie obu strażników, dwiema dobrze rzuconymi włóczniami.

Cheen z pewnością umiała posługiwać się swoją, a Conan nie miał żadnych powodów by wątpić, że Tair posiada tą umiejętność w podobnym stopniu.

Jeszcze rozmyślał nad najlepszym wariantem, gdy wybór dokonał się sam, jako że z ciemności nocy wypadł potwór, który runął na obu selkich.

Tair dostrzegł go pierwszy.

- Na Zieloną Boginię ! Spójrzcie na To !

Conanowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. To co zobaczył było dwukrotnie większe od wołu, a jego wilgotna pomarszczona skóra błyszczała w świetle pochodni. Wyglądało to na jakieś wodne stworzenie, pomyślał Conan, choć pazury i kły, jako żywo przywodziły na myśl niedźwiedzia lub wilka. Jego kroki zadudniły ciężko, gdy biegł prosto ku drzwiom.

Obaj selkie skoczyli odważnie naprzód i zaatakowali bestię, dźgając ją swymi lancami. Ale byli jak szerszenie atakujące człowieka. Jeden z nich podszedł zbyt blisko i potężne szczęki z okropnym zgrzytem zmiażdżyły jego ciało. Conan potrząsnął głową z niedowierzaniem. Była to przynajmniej szybka śmierć.

Długie ostrze lancy drugiego selkiego zanurzyło się głęboko w ciele potwora. Bestia wypluła swą pierwszą ofiarę, zatrzymała się na moment, by wyrwać sterczące z jej ciała drzewce, używając do tego przedniej łapy, a następnie odrzuciła od siebie broń, jak człowiek strzepujący pyłek z płaszcza. Dopiero potem skoczyła, niezwykle szybkim, jak na tak olbrzymie cielsko, susem i użyła tej samej, zakończonej pazurami łapy, by rozerwać selkie. Człowiek-Ryba został rozpruty tym jednym pacnięciem od szyi, aż po krocze. Upadł raniony śmiertelnie.

Potwór nie zwracał więcej uwagi na umierających selkich. Skierował się natomiast ku zamkniętym wrotom. Ciężkie drewniane drzwi zadrżały i pękły pod jego uderzeniem. Stwór otworzył swą wielką paszczę i wbił w nie kły, gryząc i przeżuując ich substancję.

- On ... zjada drzwi – powiedział Hok z niedowierzaniem.

Dokładnie to samo pomyślał Conan. Wszyscy patrzyli ze zdumieniem jak potwór wyżarł w drzwiach otwór na tyle wielki, że mógł wejść do środka. Większa część jego ciała znikła im z oczu i widzieli tylko tylne odnóża, gdy ze środka dobiegł kolejny huk świadczący, że bestia zżera następną przeszkodę.

- To chyba były wewnętrzne drzwi – zgadł Conan.

Po kilku zaledwie chwilach potwór zanurzył się całkowicie w czeluściach zamku, a

towarzyszyły temu dalsze odgłosy zniszczenia.

Potem zaś zapadła śmiertelna cisza.

Tair, Cheen i Hok spojrzeli równocześnie na Conana, a na ich twarzach malowało się zdumienie.

- Nie wiem co to jest – odpowiedział na ich nieme pytanie. – Ale otworzył nam bramę. Jeżeli oczywiście ciągle jeszcze chcecie tam wejść i szukać waszego Nasienia.

Przerażenie ogarniające Thayłę urosło już do granic możliwości i nie było to tak całkiem pozbawione powodów. Nie miała żadnej okazji aby porozmawiać na osobności z Bładem. Jej mąż był nienaturalnie czujny, więc nie mogła też sama użyć swego obsydianowego ostrza. A teraz jeszcze dotarli do zamku i poruszali się wzdłuż jego muru, szukając wejścia do środka.

- Stać ! – rozległ się ostry szept Rayka.

Towarzyszył temu gwałtowny gest ręki, zmuszający ją i Błada, by padli na ziemię. Thayła posłuchała i w chwilę później dostrzegła, co było powodem tego rozkazu.

Och nie ! To był Conan w towarzystwie kilku Leśnych Ludzi. Olbrzymi barbarzyńca wiódł dwójkę dorosłych i dziecko przez fragment odkrytej przestrzeni, wprost ku zamkowi. Podążając spojrzeniem ku miejscu, do którego szli tamci, Thayła dostrzegła ich cel. A widok, który ujrzała był zarazem zaskakujący i przerażający. Rozerwane na strzępy ciała dwóch selkich spoczywały na roślinnej macie u stóp zamku a z jego ściany zwisały rozdarte drzwi. Całą tę upiorną scenę oświetlała wyraźnie pochodnia, umocowana obok.

- Co ... ? – zaczęła Thayła.

- Ten potwór, który był w wiosce – przerwał jej Rayk zanim zdążyła skończyć pytanie – Widziałem już wcześniej rezultaty jego działalności.

- Ale co robi tutaj ?

- Nie wiem – potrząsnął głową Rayk – I niewiele mnie to obchodzi. Ale dzięki niemu możemy wejść do środka. Możemy być mu za to wdzięczni.

- A co jeśli czeka tam na nas ? – spytał Bład

- To co z tego ? Pożywi się na tej czwórce, zanim my tam wejdziemy.

Thayla wpatrywała się w Conana zmierzającego wprost ku otwartym wrotom. Szedł czujnym krokiem, trzymając miecz w dłoni.

- A jeśli wciąż będzie głodny ?
- Wtedy poczekamy aż odejdzie.
- Rayk ! To szaleństwo idzie zbyt daleko ! – wybuchła.

Odwrócił się ku niej gwałtownie.

- Ja jestem królem, Thayla ! I nie obchodzi mnie twoje zdanie !

Spojrzała na niego, ale on odwrócił się plecami i przyglądał czterem ludziom, którzy ostrożnie zanurzyli się w zniszczonej bramie zamku.

On naprawdę stracił rozum. Thayla sięgnęła za pas po nóż. Lepiej zakłóć go teraz i uciekać stąd jak najszybciej.

Ale Rayk już skierował się w stronę zamku. Thayla spojrzała na Błada.

- Naprzód ! – usłyszeli rozkaz króla.

Zanim zdążyła otworzyć usta, Bład posłusznie wykonał polecenie.

Głupcy ! Wszyscy mężczyźni to głupcy ! Przez nich umrze tutaj !

- Thayla !!!

Królowa Pilich wstała niechętnie i poszła w ślad za swoim mężem. Nie miała zamiaru zostać tutaj sama, bez żadnej ochrony. A poza tym Conan wciąż żył i jeśli ta istota, która wdarła się do zamku przed nim poszła dalej, będzie żył jeszcze jakiś czas. Gdyby on i Rayk mieli szansę porozmawiać zanim im przeszkodzi, zawiśnie nad nią straszne niebezpieczeństwo. Lepiej trzymać się Rayka i zapobiec w porę takiej rozmowie.

W kompletnej ciszy troje Pilich wkroczyło, w ślad za czworgiem ludzi, do siedziby Maga z Mgieł.

W komnacie, w której unosił się Dimma panowała zupełna cisza, a on starał się zamknąć swój umysł przed zewnętrznym światem i odpocząć. Ta właśnie komnata służyła mu za sypialnię, ponieważ była najspokojniejsza w całym pałacu. Otoczona z czterech stron przez inne komnaty, których drzwi były zawsze zamknięte, była pogrążona w kompletnej ciemności i nie odczuwało się

w niej najmniejszego nawet ruchu powietrza. Jak jama w samych trzewiach ziemi. Cisza tu panująca mogła przytłaczać.

A mimo to Dimma nie mógł zapaść w sen. Jego umysł skakał gorączkowo od jednej myśli do drugiej. Był zbyt rozgorączkowany, by odpocząć.

Usłyszał pukanie do drzwi.

Nawet gdy nie spał, Dimma pod żadnym pozorem nie pozwalał przeszkadzać sobie podczas pobytu w tej komnacie. Ktokolwiek by to zrobił, karany był szybko i okrutną śmiercią. I Dimma popłynął w kierunku drzwi, aby z bliska zobaczyć głupca, którego zaraz zabije.

- Kto śmie ? – zawołał.
- Mmój Ppanie ... – był to głos jego Drugiego selkie.
- Wejdz ! I spotkaj swe przeznaczenie !

Drzwi otworzyły się bardzo powoli, aby nie spowodować najmniejszego ruchu powietrza i stanął w nich selkie, a u jego stóp siedział jeden z vundów.

- Jakie są twoje ostatnie słowa przed śmiercią ?
- Mmój Pa ...panie. Vu ... vund ... mma wia ... wia ... domość ...
- A więc on także umrze ! – Dimma uniósł rękę i zaczął przygotowywać zaklęcie, które miało spalić ich obu. To potrafił zrobić bez niczyjej pomocy.
- Mmów – wykrztusił selkie do vunda.

Vund stanął na tylnych łapach i wziął głęboki wdech.

To jego ostatni oddech – pomyślał Dimma, który wyciągnął właśnie rękę w ich kierunku, gotów do rzucenia zaklęcia.

- Fujrr errszy porróciłrr.

Dimma powstrzymał ruch ręki.

- Co ?!

Vund powtórzył wiadomość.

Wewnątrz umysłu Dimmy eksplodowała taka radość, że jego ręka opadła w dół. Zapomniał kompletnie o mającym spalić intruzów czarze.

Czyżby wreszcie po tych długich wiekach ?

- Gdzie on teraz jest ?
- Przy ppo ... łudniowo –zachodnich drzwiach, Ppanie.

Dimma roześmiał się.

Był to wprawdzie spory kawałek drogi, ale był pewien, że teraz jego Pierwszy na pewno był już w połowie drogi do najpilniej strzeżonej z komnat.

- Precz stąd ! – rozkazał – Do sekretnej komnaty !

Drugi selkie i vund wybiegli a Dimma popłynął w ślad za nimi.

A więc oto zbliżał się nareszcie koniec jego tortur !

Poruszając się tak szybko jak tylko potrafił, Mag z Mgieł sunął poprzez pałacowe korytarze ku swemu wyzwoleniu.

23.

Kleg przybył do komnaty, w której znajdowały się wszystkie komponenty potrzebne do rzucenia czaru, oprócz oczywiście tego jednego, który przyniósł. Władca zamku, Abet Blaza, Dimma - Mag z Mgieł, już tam był. Stwórca unosił się nad podłogą na wysokości mniej więcej połowy swej postaci.

- A więc mój Pierwszy, czy masz to, co poleciłem ci przynieść ?

Kleg był wciąż nagi, jeśli nie liczyć sakiewki zawieszanej na szyi i to właśnie jej dotknął, gdy odpowiedział swemu władcy pochylając głowę :

- Tak mój panie.

Wydobył Nasienie z ukrycia.

Kleg niemal fizycznie odczuwał radość przepelniającą maga, jak uderzenia gorących fal wprost z jego serca.

A jednak zabrzmiało pytanie

- Dlaczego zajęło ci to tak wiele czasu ?

- Podróż była pełna śmiertelnych niebezpieczeństw – zaczął wyjaśniać Kleg – Pili, potwory i ...

- Nieważne, nieważne, to nie ma znaczenia. Ważne, że przyniosłeś talizman. Szybko, połóż go w tej niszy !

Selkie posłuchał natychmiast. Wewnątrz komnaty strzeżonej przez jego czterech braci, Kleg widział wszystkie pozostałe elementy przyszłego zaklęcia, spoczywające na swych zwykłych miejscach. Była tam czaszka wielkiego kota, dawno już wymarłego gatunku, w drewnianej skrzyni leżał płaszcz wiedźmy, dalej zalakowana woskiem buteleczka zawierająca czarny płyn, który kiedyś był krwią pomniejszego demona. Był tu jeszcze ponad tuzin podobnych przedmiotów i brakowało pomiędzy nimi tylko jednego – Nasienia, które teraz Kleg z wielką ostrożnością umieścił we wskazanej niszy.

- Wszyscy precz ! – rozkazał Stwórca.

Kleg pospieszył wykonać ten rozkaz, a za nim dwaj strażnicy, którzy wcześniej weszli za nim do środka.

- Zamknąć drzwi !

Jeden ze strażników pociągnął za sobą skrzydło wrót. Zrobił to ostrożnie aby nie spowodować przeciągu. Potem spojrzął na Klega.

- Co teraz, Pierwszy ?

- Stwórca będzie pracował nad czarem – powiedział Kleg, – a kiedy zakończy stworzy nowego siebie.

Kleg odwrócił się od zamkniętych drzwi. Stwórca nie był zbyt wylewny w okazywaniu swej wdzięczności, ale z drugiej strony wciąż żył, a biorąc pod uwagę duże spóźnienie było to także coś, co warto było docenić. Może po zakończeniu pracy nad zaklęciami Stwórca będzie bardziej skory do nagrodzenia swego sługi.

Kleg zamierzał pozostać tu gdzie stał, by przekonać się o tym osobiście. A jednak wszystkie jego zmysły napięły się ponownie, gdy usłyszał odgłos ciężkich kroków dochodzący z jednego z korytarzy. W jego nozdrza uderzył straszny odór, który natychmiast rozpoznał. Potwór ! Wciąż go ścigał ! Myśli Klega zatańczyły jak oszalałe. Jak to się mogło stać ? Jeżeli ta bestia mogła podążać za nim aż do siedziby Władcy, kim była ? Jak to było możliwe ?

Poddawszy się nagłemu uczuciu strachu, Pierwszy selkie już zamierzał zapukać do zamkniętych wrót, by błagać o pomoc Stwórcę, ale powstrzymał ten odruch. Przeszkodzenie mu w tym momencie mogło oznaczać tylko śmierć. Lepiej odciągnie stąd bestię. Mógł biec szybciej od niej, to już wiedział. Potem podprowadzi potwora do Stwórcy, a on z pewnością unicestwi go bez trudu. Toteż Kleg zwrócił się do strażników :

- Za chwilę nadejdzie tu potwór, który będzie mnie ścigał. Trzymajcie się od niego z daleka. A kiedy już przejdzie, nie pozwólcie nikomu przeszkadzać naszemu Władcy.

Powiedziawszy to Kleg odwrócił się i pomknął przed siebie długim korytarzem.

Przyjemność, którą odczuwał teraz Dimma, nie znała granic. Składniki, na gromadzeniu których strawił niemal całe swoje życie, były teraz w zasięgu jego ręki. Do rzucenia czaru nie potrzebował już niczego więcej oprócz wypowiedzenia głośno zaklęcia. Mógł to zrobić bez problemu w swej obecnej formie, a inkantacja miała zaledwie trzy krótkie wersy. W swych myślach powtarzał już je tak wiele razy, że znał je lepiej niż swe własne imię. Mag z Mgieł popłynął ku samemu centrum komnaty. Wziął głęboki wdech i zaczął intonować słowa zaklęcia, które miało

przywrócić mu ciało.

Nikt nie stanął na drodze Conana i trójki jego towarzyszy, gdy przemierzali długie zamkowe korytarze. Zdawało się, że nie ma tu żadnych straży ani w ogóle żywej duszy. Było to niezwykle dziwne.

- Całe to miejsce jest zbyt spokojne – powiedział Tair. – Ono jest martwe.

W rzeczy samej, nawet powietrze było całkowicie nieruchome, pochodnie na ścianach płonęły równym płomieniem, a dym unosił się idealnie pionowo do góry, ku znajdującym się tam otworom w suficie, umieszczonym zresztą precyzyjnie dokładnie nad pochodniami.

- Nie podoba mi się tutaj – powiedział głośno Hok.

Conan zgodził się z nim w zupełności, chociaż zostawił tę myśl dla siebie. Zamiast tego spojrzął pytająco na Cheen, stając przed rozwidleniem korytarza. Ona zaś wskazała bez wahania lewą odnogę.

- Nasienie jest tam.

Skęcili we wskazanym kierunku. Conan nie miał żadnych konkretnych pomysłów na odzyskanie talizmanu, ale zamierzał wykonać to zadanie w najprostszy z możliwych sposobów. Jeśli będzie niestrzeżony – ukradną go. Jeśli zaś będzie strzeżony, zabiją strażników, wezmą magiczne nasienie i uciekną. Zawsze lubił proste plany, a ten zdawał się być dość najprostszy.

Aha, w miarę możliwości należy unikać maga. A jeżeli nie da się tego zrobić należy go zabić, a potem dopiero uciec. To było równie proste.

Thayla zwolniła nieco kroku, aby jej mąż oddalił się odrobinę. Znalazła się przy tym na tyle blisko Błada, by szepnąć doń kilka słów bez obaw, że zostanie podsłuchana. Musiała mówić naprawdę cicho, jako że w korytarzu nie było słyhać żadnych innych dźwięków.

- Milady ?

- Król jest szalony – powiedziała – Sprowadzi śmierć na nas wszystkich.

- Ale cóż możemy zrobić ? On jest królem.

- Nie jeśli będzie martwy – znacząco przesunęła dłonią po rękojeści włóczni Błada.
- Milady !
- Słuchaj Bład, mój ogierze. Jeśli on umrze, ty będziesz królem i moim mężem.

Oczy młodego Pili rozszerzyły się. Jeśli tlił się w nim chociaż płomycek ambicji, to powinna teraz wzniecić pożar...

- Thayla, Bład ! Czemu zostajecie z tyłu ? – król zatrzymał się i spojrzął w ich stronę.

Thayla pochyliła się ku ziemi.

- Mam kamień w bucie, Rayk. – Do Błada zaś powiedziała – Stój prosto, żebym mogła się o ciebie oprzeć.

Zdjęła but i odwróciła go, wytrząsając nieistniejący kamień na podłogę. Opierając się o Błada, delikatnie przesunęła dłoń po czulej części ciała pomiędzy jego udami, tak aby nie dostrzegł tego król.

Bład mimowolnie jęknął pod wpływem tego dotknięcia.

- Co tam się dzieje ? – spytał Rayk
- Eee ... uu – odparł zupełnie zdezorientowany Bład.
- Ukłułam go niechący czubkiem mojego sztyletu – pośpieszyła z wyjaśnieniem Thayla.
- Więc załóż wreszcie swój but, zabierz sztylet i idźmy dalej ! – Rayk odwrócił się od nich zirytowany

A Thayla i Bład wymienili gorące spojrzenia. Ten młodzieniec miał włócznię, ona zaś miała nadzieję, że odważy się jej użyć. I to wkrótce.

Kleg znał korytarze pałacu lepiej niż ktokolwiek inny i teraz przemierzał je właśnie, zmuszając ścigającą go bestię do kolejnego wyścigu. Czy to zostało tu przysłane przez jakiegoś wrogiego czarownika ? Czym to było ? Czy Stwórca zmierzy się z potworem, kiedy upora się z zaklęciem? Zbyt wiele było pytań, zbyt mało znał odpowiedzi.

Uciekając, Kleg starał się jednak cały czas wybierać taką trasę, by krażyć blisko komnaty, w której jego władca rzucał swój czar. Był zmęczony, nie jadł i nie odpoczywał od tak długiego czasu.

Lepiej być jak najbliżej, gdy władca będzie już gotowy, aby w porę pozbyć się tego, co go ściga.

Conan wyczuł czyjąś obecność za załomem korytarza i uniósł rękę ostrzegając swych towarzyszy, by zatrzymali się na moment. Sam pochylił się i wyjrzał zza rogu ściany. Schował głowę niemal w tym samym momencie, w którym ją wychylił, ale to wystarczyło by dostrzec czterech selkich stojących tuż za rogiem. Każdy z nich dzierżył w dłoniach włócznię i wszyscy zdawali się strzec drewnianych drzwi znajdujących się na ścianie, zza załomu której wychylał się. Cymmerianin wycofał się o kilka kroków i szeptem przemówił do pozostałych :

- Zdaje mi się, że znaleźliśmy nasze Nasienie. Przed nami są selkie i pilnują drzwi.
- Tak. Czuję bliskość Nasienia – potwierdziła Cheen.
- Bardzo dobrze. Jest ich czterech a nas troje.
- Nie. Nas także jest czworo – zaprotestował Hok czując się pominięty.
- A więc nas też czworo. Jeśli zaatakujemy szybko, pokonamy ich i odzyskamy ukradzione Nasienie.

Tair poprawił uchwyt dłoni na włóczni.

- Ja jestem gotów.

Cheen także potwierdziła swą gotowość skinieniem głowy.

Conan dobył miecza i wziął głęboki oddech.

- Będę liczył do trzech. Wchodzimy na trzy. Raz. Dwa. Trzy !

Jeszcze z tym słowem na ustach Cymmerianin wyskoczył zza rogu korytarza i runął na strażników.

- Tsss ... – powiedział Rayk, gestem nakazując Thayli i Bładowi by się zatrzymali. – Leśni Ludzie i ten wielki mężczyzna są tuż przed nami.

Trójka Pilich pochyliła się ku ziemi. Thayla przysunęła się w tej pozycji o kilka kroków, by zerknąć przez ramię Rayka, czy prawdziwe są jego słowa. Czterej ludzie stali niemal na

skrzyżowaniu dwóch korytarzy, niedaleko przed nimi, również nisko pochyleni.

- Nie wiedzą, że tu jesteśmy – powiedział Rayk – Możemy się podkraść i zarznąć ich, zanim nas zauważą.

Dobyl swego obsydianowego sztyletu.

- Przygotuj włócznie – szepnął do Błada. – Ty bierzesz tego wielkiego, ja zajmę się kobietą i tym mniejszym mężczyzną. Thayla, zabijesz dzieciaka.

- Rayk ... – zaczęła.

- Cisza ! Wykonaj rozkaz !

Skradając się niezwykle cicho, trójka Pilich przesunęła się ku ludziom. Thayla zaryzykowała spojrzenie na Błada. Ich wzrok zetknął się. Wskazała gestem głowy plecy króla, a potem włócznie Błada. Teraz był właściwy czas.

Ale właśnie w momencie kiedy Rayk zebrał się do skoku, Thayla usłyszała odliczanie Conana. Co on robił ? Kiedy wielki mężczyzna doszedł do trzech, cała jego grupa nagłym susem wyskoczyła za załom korytarza. Ten ruch całkowicie zaskoczył Pilich. Ale niemal natychmiast Rayk szepnął ponaglająco :

- Za nimi !

Mówiąc to król również zniknął im z oczu za zakrętem. Bład i Thayla podążyli za nim.

Dwa wersety zaklęcia były już wypowiedziane i Dimma właśnie zaczął trzeci kiedy usłyszał jakiś nieoczekiwany hałas na korytarzu, tuż za drzwiami pokoju, w którym się znajdował. Mag z Mgieł gniewnie zmarszczył brwi. Jego koncentracja została zakłócona i nieprawidłowo wypowiedział trzecie słowo w drugiej linijce.

- Niech was porwą Set i Drakkar !!! – wrzasnął.

Będzie musiał zaczynać zaklęcie od nowa. Ktokolwiek hałasował tam na korytarzu, umrze ! Ale nie teraz ... nie teraz. Wszystko musi poczekać do momentu aż skończy. Od początku zaczął pierwszy werset zaklęcia.

Kleg, bliski całkowitego wyczerpania, w dalszym ciągu uciekał przed potworem. Doganiał go, był już niezwykle blisko. I zbliżał się wciąż swym wolnym, ale równym tempem, w ogóle nie zdradzając oznak zmęczenia. Od jego ciężkich stąpień dygotały ściany.

Przed Klegiem był korytarz, który wiódł do pokoju Dimmy. On sam wyczerpał już swe siły i jeżeli miał przeżyć, musiał zrobić coś szybko. Miał nadzieję, że Stwórca zakończył już do tej pory swą pracę. A nawet jeśli nie ... Kleg czuł, że nie ma już wyboru.

Stwórca musiał mu pomóc teraz. A jeśli nie on, może chociaż strażnicy zdołają na chwilę powstrzymać potwora.

Zbierając resztki sił, przyspieszył po raz ostatni i wynurzył się zza rogu korytarza.

Kiedy zaskoczeni strażnicy selkie odwrócili się, by stawić czoła niespodziewanemu atakowi Conana i Leśnych Ludzi, Cymmerianin dostrzegł z przeciwnej strony innego selkie, wybiegającego właśnie zza zakrętu. W chwilę zaś później z tej samej strony wychylił się potwór, który wcześniej przegryzł ścianę zamku.

Conan chlasnął stojącego przed nim zaskoczonego strażnika, a ostrze jego miecza głęboko wbiło się w czaszkę wroga, kładąc go na ziemię.

- Conan ! – usłyszał krzyk Cheen – Za nami !

Biegnąc ku drugiemu z selkich, spojrział przez ramię do tyłu i dojrzał trzech Pilich uzbrojonych w noże i włócznie, szarżujących wprost na nich, z uniesioną bronią.

Na Croma ! Co tu się działo ?

Selkie, Pili, Leśni Ludzie i olbrzymi potwór - wszyscy gnali wprost na siebie, ku nieuniknionemu spotkaniu. Na całym korytarzu zapanował kompletny chaos. Powstało nieopisane zamieszanie.

I to tyle jeżeli chodziło o proste plany ...

24.

Kleg wypadł zza zakrętu i ujrzał znacznie więcej, niż się był spodziewał. Co to ma znaczyć ? Ludzie i Pili walczący z jego braćmi ! Nieuzbrojony i nagi Kleg chciał zawrócić, ale potwór był tuż i odcinał wszelką drogę odwrotu. Nie mając innego wyjścia, selkie pobiegł wprost w wir bitwy.

Thayla biegła u boku Błada.

- Teraz ! – rozkazała – Zabij go teraz !

Bład spojrział na nią. Był zupełnie zagubiony.

- Którego ?

- Króla, głupcze ! Użyj swej włóczni !

Conan sparował uderzenie drugiego strażnika i ciął w korpus selkiego. Trafiony, zgiął się wpół i upuścił broń. Cymmerianin nie dbając więcej o niego skoczył naprzód. Uniósł ociekającą krwią broń w oczekiwaniu na następnego przeciwnika, na tyle głupiego, by znalazł się w jego zasięgu.

Po jego lewej ręce Tair wymieniał zajadle ciosy z trzecim ze strażników, podczas gdy Cheen i uzbrojony w nóż Hok atakowali ostatniego.

Po prawej zaś zbliżała się trójka Pilich. Prowadzący miał tylko nóż, ale ten za nim także długą włócznię. Trzecim z Pilich była kobieta, którą Conan swego czasu poznał już nieco bliżej. To ona właśnie krzyczała coś w języku, którego nie rozumiał. Pili byli tuż tuż, toteż Conan stanął w gotowości by przyjąć ich szarżę. Ale kiedy prowadzący jaszczur miał już na niego wpaść, nagle uniósł ręce w górę i wrzasnął donośnie. Nóż wypadł mu z dłoni, odbił się od ściany i zabrzęczał na kamiennej posadzce. Conan zdumiał się, ale trwało to tylko chwilę oka. Kiedy prowadzący jaszczur upadł na ziemię, Pili, który znajdował się za nim wyrwał swą włócznię z pleców umierającego i uniósł ją w górę w geście tryumfu.

- Jestem królem ! – ryknął – Niech żyje nowy król !

Conan doskoczył doń i pchnął swym szerokim mieczem przez pierś. Ten spojrział na Cymmerianina z bezbrzeżnym zdumieniem, a potem cofnął się o krok i upadł płasko na plecy. W

jego wzroku Conan wciąż widział wyraz zaskoczenia. Krótko panował – pomyślał.

- Niech Wielki Smok odejmie ci męskość ! – to z kolei krzyczała kobieta Pili. Ona także skoczyła na Conana z uniesionym nożem.

Nienawidził zabijać kobiet, ale mając do wyboru jej życie lub własne, Conan zdecydował, że tym razem nie ma innego wyjścia. Nie zdołał jednak wykonać swego zamierzenia. Coś potężnie uderzyło go w plecy i powaliło na ziemię. Upadając wypuścił z rąk miecz.

Thayla była ogarnięta niekontrolowaną wściekłością, gdy skoczyła w kierunku Conana, chcąc ugodzić go nożem. Ale selkie, który przybył jako ostatni, wbiegł prosto na barbarzyńcę, a teraz obaj tarzali się po ziemi. Thayla ledwie zdołała się usunąć, gdyż o mało również nie została zwalona z nóg, przez impet obu upadających ciał. Ochłonęła na moment i cofnęła się o krok, cały czas jednak trzymając nóż w pogotowiu. Jeśli selkie pokona człowieka, zatopi ostrze w jego plecach. Jeśli zwycięzcą będzie Conan, jego również spotka ten sam los.

Ten człowiek był bardzo silny – taka była pierwsza myśl Klega, gdy spleli się w uścisku. Być może dwukrotnie silniejszy niż każdy, z którym walczył do tej pory. Ale, że on sam posiadał siłę trzech mężczyzn, przeto musi wygrać w tym starciu. Nie będzie to jednak łatwe zwycięstwo. Człowiek pod nim rzucał się gwałtownie, a jego nadspodziewanie twarde opór uniemożliwiał Klegowi zaciśnięcie dłoni na jego gardle. Przetoczyli się na bok i huknęli o ścianę i to właśnie Kleg, będący w tym momencie po niewłaściwej stronie, odczuł cały impet tego uderzenia. Jego uchwyt zelżał na moment, a człowiek wywinął się z uścisku, przetoczył przez ramię i zerwał się błyskawicznie na nogi, zaciskając gotowe do walki pięści.

Kleg także stał już na nogach i przyglądał się badawczo swemu przeciwnikowi. Ten najwyraźniej zamierzał stoczyć walkę bokserską, a w takiej nawet słabszy fizycznie przeciwnik, mógł pokonać silniejszego, jeżeli potrafił zadawać celne ciosy.

Kleg ostrożnie przesunął ciężar ciała na lewą nogę i wtedy stopa selkiego dotknęła czegoś chłodnego leżącego na ziemi. Zaryzykował szybkie spojrzenie, by dowiedzieć się czego dotyczył. Był to miecz, który upuścił jego przeciwnik. Tak szybko jak tylko mógł, Kleg pochylił się i chwycił za broń. Conan był za daleko, by przeszkodzić mu w tym w porę. Teraz Kleg uśmiechnął się tryumfalnie i zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

- Przygotuj się na śmierć – powiedział. Postąpił krok naprzód unosząc broń do ciosu, który miał przeciąć na pół przeciwnika.

- Uważaj ! Za tobą, ty głupcze ! – rozległ się kobiecy głos.

Ale Kleg zignorował go. Nie był na tyle głupi, by dać się nabrać na tak starą sztuczkę. Dopiero w chwilę później poczuł smród ścigającego go tak nieustępliwie przeznaczenia, a gorący oddech jego wytrwałego prześladowcy owiał mu plecy.

- Nie !

Próbował jeszcze się odwrócić, ale było już za późno. Wszystko stało się ciemnością ...

Ostatnią rzeczą jaką poczuł Pierwszy selkie, były ostre kły potwora, które zatoneły w jego ciele.

Thayla ostrzegwała go, ale Człowiek-Ryba zignorował ją. Potwór stojący za nim otworzył swoją piekielną paszczę, a jego kły ugodziły selkiego. Cała górna połowa ciała ofiary znikła w czeluściach paszczy potwora. Ten dźwignął swój łup i potrząsnął nim jak pies potrząsa złapanym szczurem. Usłyszeli trzask łamanych kości, trysnęła fontanna krwi.

Królowa Pilich patrzyła na to z przerażeniem, ale potwór nie zainteresował się zupełnie ani nią, ani kimkolwiek innym, poza schwytanym selkim.

Bestia odwróciła się i trzymając wciąż w zębach jego ciało, podążyła wprost ku najbliższym drzwiom.

Conan także przyglądał się potworowi, a że stał tyłem do niej, Thayla zrozumiała, że teraz właśnie nadeszła jej szansa. Król był już wprawdzie martwy, ale w międzyczasie jej nienawiść do Conana urosła tak bardzo, że nie miało to żadnego znaczenia. Skoczyła ku niemu z uniesionym nożem.

- Conan !!! – rozległ się jej wrzask.

Mężczyzna stojący przed nią zareagował odruchowo. Upadł płasko, a Thayla straciwszy równowagę przetoczyła się przez niego w momencie, gdy miała zadać śmiertelne pchnięcie. Wyciągnęła obie ręce do przodu, by złagodzić upadek, ale była zbyt blisko ściany. Nóż, który trzymała uderzył w nią, a ona nie zdołała wypuścić go w porę z zaciśniętej pięści, gdy sama leciała ku ścianie. Ostatnia rzecz jaką zobaczyła, to było ostrze jej własnego noża, które z przerażającą

szybkością zbliżało się ku jej prawemu oku. Zdołała jeszcze tylko krzyknąć, gdy jej własna broń ją zabiła.

Gniew Dimmy niemal ocierał się o szaleństwo. Jeszcze raz pomylił się wypowiadając zaklęcie, tak wielka wrzawa panowała tam na zewnątrz. Zanim mag zdołał po raz kolejny odprawić czary, drzwi otworzyły się z rozmachem, a wpadający przy tym podmuch powietrza pchnął go i podrzucił niemal pod sam sufit komnaty.

- Kto śmie !!!

Kiedy Dimmie udało się zatrzymać, ujrzał Ranafroscha stojącego pośród rozbitych drzwi komnaty. W paszczy potwora tkwiło zmiażdżone ciało Pierwszego selkie.

- Nie teraz ty idiotyczna bestio !

Ranafrosch upuścił ciało na podłogę. Zwłoki uderzyły tępo. Kralix zaś położył się obok i zamarł w bezruchu. Spoglądał na Dimmę, jak wierny pies patrzy na swojego pana. Cała wściekłość maga eksplodowała właśnie w tym momencie. Przeklinając potwora wyciągnął jedną ze swych niematerialnych dłoni, z której trysnął snop żywego ognia i zamienił przybyłego w jedną wielką pochodnię. Skóra Ranafroscha poczerniała i pękła z trzaskiem pod żarem magicznego ognia. Potwór przewrócił się na plecy i wydał straszliwy wrzask bólu. W powietrzu rozszedł się smród palonego ciała.

Dimma zdołał z wysiłkiem przesunąć się z powrotem ku talizmanowi i pozostałym składnikom swego czaru.

Jeszcze raz – pomyślał – ostatni raz !

Conan spojrział na martwą kobietę Pili. Nie żyła – to pewne. Czarny nóż był zanurzony w jej oku aż po rękojeść. Poległa z własnej ręki. Podniósł swój miecz i spojrział w kierunku towarzyszy. Cheen i Hok zdołali już zabić, przy pomocy Taira, ostatniego ze strażników. Potwór w międzyczasie wyrwał drzwi i zniknął w znajdującej się za nimi komnacie. Po chwili nastąpił oślepiający błysk światła i uderzenie fali gorąca, którą Conan poczuł nawet w miejscu, w którym stał.

Widział stąd zaledwie fragment tylnych odnóży potwora, ale nawet ich obecny wygląd wystarczał, by być pewnym, że potwór nie znajduje się już pomiędzy żyjącymi. Znad spalonych zwłok unosił się dym.

Conan podszedł ku trojgu Leśnych Ludzi.

- Nasienie jest tam – powiedziała Cheen.
- Mhm. Widziałaś co spotkało tę bestię, gdy przestąpiła próg ?
- Doszliśmy tak daleko, że teraz nie możemy się wycofać – powiedział Tair.

Ruszył ku drzwiom.

Conan westchnął. To była prawda. Poszedł w ślad za małym człowieczkiem. Cheen i Hok podążyli za nimi.

Mag z Mgieł niemal zakończył zaklęcie. Jeszcze tylko kilka słów i odzyska swoje ciało ! Poczul jak wypełnia go uczucie szczęścia, ale powstrzymał się jeszcze przez moment. Najpierw ostatnia linijka zaklęcia. Osiem słów, sześć, cztery ...

- Tam jest ! – rozległ się krzyk kobiety.

Dimma przekreślił przedostatnie słowo, rujnując całkowicie swój dotychczasowy wysiłek.

Teraz z kolei on wrzasnął wściekle :

- Czy to się nigdy nie skończy !!!

Odwrócił się ku czworgu ludziom, którzy wtargnęli do jego komnaty.

Dostrzegł kobietę podbiegającą ku jednemu z jego talizmanów. Kim byli ci intruzi ? Co tutaj robili, przeszkadzając mu uwolnić się od klątwy ? Największy z nich, olbrzym o wyglądzie barbarzyńcy z gór, skoczył wprost ku Dimmie unosząc swój miecz. Jego ostrze przecięło ze świstem powietrze i prawdopodobnie przeciąłby maga na pół, gdyby nie fakt, iż składał się on wyłącznie z mgły. A ponieważ tak właśnie było, miecz przeszedł przez jego ciało, nie czyniąc mu najmniejszej szkody.

Napastnik wyglądał na zaskoczonego. Próbował jeszcze ciąć po raz drugi. Z podobnym skutkiem. Dimma roześmiałby się głośno, gdyby nie rozsadzała go wściekłość. Uderzenie błyskawicy, które spopieliło nieszczęśliwego Ranafroscha, niemal całkowicie wyczerpało jego

wewnętrzna energia. Gdyby nie to, już dawno zmiotłby tę czwórkę ze świata, takim samym promieniem. Teraz jednak osłabiony i rozpierany gniewem, zdołał zebrać myśli na tyle tylko, by ułożyć proste zaklęcie unieruchamiające. Wypowiedział głośno trzy słowa czyniąc przy tym odpowiednie gesty i wszyscy czterej intruzi zamarli w swych dotychczasowych pozach. Przy czym największy z nich, z uniesionym nad głową mieczem, gotowym do trzeciego cięcia. Głupiec umrze w tej właśnie pozycji, gdy tylko Dimma skończy poważniejsze sprawy.

Aby upewnić się, że nikt więcej nie będzie mu już przeszkadzać, mag przepłynął przez rozbite drzwi i wyjrzał na korytarz. Leżało tam sporo ciał, ale nie widział ani śladu żywych istot, które mogłyby ponownie przeszkodzić mu w rzuceniu zaklęcia. I dzięki za to niech będą wszystkim bogom !

Dimma powrócił więc do komnaty i zaczął na nowo swój czar mając nadzieję, że tym razem robi to po raz ostatni.

Conan czuł się tak jakby oplatała go niewidzialna sieć. Nie mógł poruszyć się nawet o włos, aby nie trafić na opór niewidocznych więzów. Napiął swe mięśnie z całych sił, ale nie odniosło to najmniejszego skutku. Mag rzucił nań jakiś czar. Teraz zaś ponownie mamrotał jakieś zaklęcia i Conan był pewien, że nie posłużą one z pewnością poprawieniu sytuacji w jakiej znalazł się on i jego przyjaciele. Mag był odwrócony do nich plecami i kończył swe niewątpliwie złe inkantacje, a Conan mógł tylko bezsilnie przyglądać się przeciwległej ścianie, którą widział wyraźnie poprzez ciało – czy na pewno ciało ? – tego człowieka.

Ale co jeszcze mógł uczynić ? Był schwyty w pułapkę. A nawet gdyby był wolny ? Widział wszak, że jego broń nie może zranić maga. Poczł chłodny pot spływający w dół kręgosłupa.

Dimma dopowiedział uważnie ostatnie słowa, skupiając się na nich całkowicie. Tym razem nikt i nic mu nie przeszkodzi, choćby cały zamek zaczął nagle tonąć ! Z ust Dimmy uleciała ostatnia sylaba ostatniego słowa i powtórzyło ją echo odbijające się od ścian.

Mag wstrzymał oddech w oczekiwaniu. Stało się. Czy to odniesie skutek? Czy cokolwiek się zmieni?

Powietrze wokół Maga z Mgieł zaczęło wirować. Czuł, że zaczyna sam się poruszać. Coś

jednak się działo ! Dimma poczuł, że prądy magii krążące wewnątrz jego ciała także zaczynają drgać, wciągając w swój wir wszystkie ezoteryczne siły dostępne w tym pomieszczeniu. To działało! Czar zbierał całą energię, ciągnąc ją z wody, powietrza, kamienia i dołączał do swego wzoru. Pobrał też od Dimmy część jego własnej mocy. Czuł, że coś ją wysysa, ale to nie miało znaczenia bo gdy skończy się działanie tego czaru, będzie znowu prawdziwym człowiekiem. I będzie rozporządzał znacznie potężniejszą mocą niż ta, którą miał teraz. Poczul, że w jego ciele zaczynają formować się kości, organy wewnętrzne, mięśnie ... powoli też zaczął opadać ku podłodze.

Dimma uniósł głowę i krzyknął tryumfalnie.

Tak ! Tak ! To się działo ! Po tylu wiekach ! Nareszcie !

Conan, który wciąż starał się zerwać krepujące go więzy, poczuł nagle, że ich siła znacznie osłabła. Jego uniesiona w górę ręka opadła odrobinę i teraz miał wrażenie, że siedzi w bardzo gęstym bagnie, które przytrzymywało jego ciało. Mógł się poruszać choć bardzo, bardzo powoli. Znajdujący się przed nim mag, stawał się coraz bardziej materialny. Opadał ku ziemi jak wielki liść spadający z drzewa. Chwiał się przy tym delikatnie, to w jedną to w drugą stronę. Conan był pewien, że kiedy stopy maga dotkną podłogi, a on sam odwróci się do nich, będzie to oznaczało koniec zarówno dla niego, jak i dla jego towarzyszy.

Zaklęcie trzymające na uwięzi jego ciało osłabło jeszcze bardziej, ale wciąż był niezwykle powolny i ociężały. Nie zdołałby skoczyć naprzód, by powalić maga. Teraz czuł się tak, jakby próbował unieść miecz, znajdując się pod wodą. A kiedy mag już niemal dotykał stopami podłogi, Conan zdołał opuścić swój miecz na tyle, że jego czubek mierzył teraz w klatkę piersiową przeciwnika.

Nie mógł ciąć, ale może zdoła użyć swej broni jak włóczni. Postąpił z wysiłkiem krok naprzód. Jego nogi były ciężkie jak z żelaza. A buty zdawały się być z ołowiu. Poczul, że pot spływa po całym jego ciele. Ze wszystkich sił starał się zrobić jeszcze jeden krok. Czarodziej był tak blisko. Jeszcze cztery może pięć kroków i dotrze do niego.

Jeżeli zostanie mu aż tyle czasu.

Tak. Dimma czuł wyraźnie, że staje się takim, jaki był niegdyś. Jeszcze moment i będzie wolny na zawsze. Już zdecydował w jaki sposób zniszczy całą najbliższą okolicę. Poniżej wód tego jeziora znajdowała się magiczna tarcza, która powstrzymywała płynne skały przed kolejną potężną erupcją, podobną do tej, która wydarzyła się dziesięć milionów lat temu. On sam umieścił tam ową tarczę, kiedy góra zaczęła ponownie budzić się do życia jakieś dwieście lat temu. Tarcza ta zresztą połączona była niewidocznymi więzami z jego własną duszą. Jeśli on by umarł, tarcza przestałaby istnieć, a rzeka lawy jeszcze raz wydostałaby się na świat, zamieniając we wrzątek wody jeziora, a potem rozlewając się na wszystkie strony i unicestwiając to, co spotka na swej drodze.

Mógł jednak sam ją uwolnić, teleportując się równocześnie daleko stąd. I na wszystkich mrocznych bogów, uczyni to !

Jego stopy już niemal stykały się z podłogą i wiedział, że kiedy jej dotknie, przekleństwo, które rzucił na niego umierający starzec, zostanie złamane.

Zaczął się śmiać tryumfalnie. Nareszcie !

Conan uczynił jeszcze jeden krok, trzymając oburącz wyciągnięty miecz przed sobą. Poruszał się teraz odrobinę szybciej, ale wciąż było to bardziej pełzanie niż chód. Trzy kroki i będzie tam. Dwa ...

Mag właśnie w tym momencie dotknął stopami podłogi i zaczął odwracać się powoli ...

Dimma poczuł, że jego mięśnie napinają się, jakby dopiero przyzwyczajały się do dźwigania nieznanego sobie ciężaru. Pod nogami poczuł powierzchnię podłogi. Stało się!

A teraz zniszczy osobiście tych, którzy śmieli mu przeszkadzać. I zrobi to, zanim uwolni płynną lawę, która zmieni w płonące piekło najbliższą okolicę.

Powoli odwrócił się.

- Przygotujcie się na śmierć – powiedział.

Conan pchnął całą swą siłą. Był to bardzo powolny ruch, ale włożył w niego siłę woli i duszę. Mag odwrócił się właśnie w momencie, gdy dotarło doń ostrze miecza. Żelazo zatoneło w nowym ciele maga, tuż poniżej mostka i powoli lecz nieubłaganie zanurzało się coraz głębiej. Ostrze przeszło przez serce Dimmy, dwa kręgi w jego kręgosłupie, a potem przecięło jeszcze skórę na jego plecach i płaszcz, w który był odziany, aby wreszcie wynurzyć się ponownie poza jego ciałem.

W tym momencie znikły więzy trzymające Conana i to nieoczekiwane wyzwolenie pchnęło go naprzód z taką siłą, że poleciał jak spadający w dół głaz. Poruszający się dotąd powoli miecz, teraz z mgnieniu oka zanurzył się w ciele maga aż po rękojeść, a on sam został zwalony z nóg przez niezwykłą siłę tego pchnięcia i potoczył się po ziemi o kilka kroków.

- Neeeeeeeeee ! – odbił się echem od wszystkich ścian, jego przeraźliwy, zamierający krzyk.

Powalone ciało drgnęło ostatnim spazmatycznym ruchem, aż wreszcie zamarło...

Dimma, Mag z Mgieł odszedł na wieczność.

25.

- Nie żyje ? - spytała Cheen stając za plecami Conana.

Zanim zdążył odpowiedzieć, ciało leżące u jego stóp zaczęło się zmieniać. Na ich oczach kurczyło się jak kawał tłuszczu podgrzewany na ogniu. Skóra maga marszczyła się i żółkła, przypominając z wyglądu stary pergamin, wreszcie znikła. Ciało pod nią zachowywało się podobnie i wkrótce mogli już oglądać same tylko kości. Ale i one żółkły, starzały się, aż wreszcie rozsypały się w proch. Cała ta przemiana nie trwała dłużej niż minutę, ale po jej upływie nic oprócz cienkiej warstwy pyłu na kamiennej posadzce, nie pozostało z ciała Maga z Mgieł.

- Tak - odpowiedział wreszcie Conan - Zdaje mi się, że jest martwy.

- Sądzę też, że był nieco starszy niż wyglądał - włączył się Tair.

Cheen podeszła do rzeczy, która była celem ich wyprawy. Wzięła Nasienie z miejsca, w którym spoczywało, uniosła jej ku swej twarzy i przez moment spoglądała na nie z czcią.

- Teraz możemy odejść - powiedziała.

Conan rozejrzał się wokół.

- Tak. Ale może zamarudzimy jeszcze chwilę i pozbieramy nieco z tych rzeczy.

Jego bystre oczy dostrzegły żółto pobłyskujące złoto pomiędzy niektórymi przedmiotami i zielony kryształ obok zniszczonych drzwi, który miał z pewnością swoją wartość. Może jednak ta wyprawa przyniesie pewne korzyści...

Podłoga pod stopami Conana zadrżała wyraźnie. Zachwiał się.

- Co to było ? - spytał Hok.

Dorośli spojrzeli po sobie.

- Przypomina mi trzęsienie ziemi - pierwszy odezwał się Conan.

- Na wodzie ? Raczej nie ...

Zamek zadrżał ponownie, tym razem wstrząs był tak silny, że Conan z trudem utrzymał równowagę. Cheen osunęła się na kolano, a nawet obdarzeni znakomitym zmysłem równowagi Tair i Hok mieli pewne problemy. W sklepieniu pojawiła się wyraźna rysa. Posypał się na nich pył.

- Jakakolwiek jest przyczyna tych wstrząsów - zawołał Conan, - wynośmy się stąd, zanim nas

przysypie !

Pomknął ku drzwiom, a pozostali pognali za nim.

Cymmerianin przesadził jednym susem ciało martwego potwora, a przebiegając koło zniszczonych drzwi, nie omieszkał porwać klejnotu, który już przedtem wpadł mu w oko. Nie zwalniając tempa, schował go do sakiewki przy pasie.

Drogę przebiegła im dziwna istota o ciele psa i twarzy małpy. Wyglądała na przerażoną, a Conan nie zastanawiając się długo pobiegł jej śladem.

- Co robisz ? - usłyszał głos Cheen - Przyszliśmy tu z drugiej strony !

- To coś tu żyje. Zna te korytarze lepiej niż my.

Podobna do psa istota sadziła przed siebie po kamiennym podłożu, a oni starali się nie pozostawać z tyłu. Przed sobą ujrzeli także parę uciekających selkich. Nawet jeśli dostrzegli oni ludzi, nie dali tego po sobie poznać.

Podłoga zadrżała znów. Tym razem nawet Conan nie zdołał utrzymać się na nogach. Przewrócił się, choć w ostatniej chwili zdołał zamortyzować upadek ręką i wyszedł z tego bez szwanku. Znajdujący się przed nimi kawał drewna, stanowiący wspornik sufitu, zwałił się na ziemię z donośnym hukiem. Na wszystkich ścianach pojawiły się kolejne rysy.

Cokolwiek się działo zamek maga był w epicentrum i zdawało się, że nie wyjdzie cało z tej próby.

- Szybko ! - krzyknął Conan.

Jego towarzysze zdołali w miarę sprawnie pozbierać się z podłogi, gotowi do dalszej ucieczki.

I biegli poprzez długie korytarze, a wokół nich trzeszczały i drżały ściany, grożąc w każdej chwili zawaleniem. Dygotała podłoga.

W końcu osobliwy przewodnik doprowadził ich do drzwi. Były zamknięte. Zwierzak zaczął skowyczeć, drapiąc pazurami drewnianą powierzchnię. Conan był tuż za nim.

- Na bok !

Posłuchał rozkazu a Cymmerianin szarpnął za klamkę i otworzył szeroko drzwi ... Za nimi ujrzął następne, od których oddzielał ich krótki korytarz. Dopadli ich kilkoma susami. Conan znów szarpnął ... następne drzwi. Zaklął szpetnie. Jednak po rozwarciu tych ostatnich wrót, wypadł na otwartą przestrzeń.

Na zewnątrz wciąż była ciemna noc, ale gwiazdy świeciły jasno. I cała czwórka wraz

podobnym do psa przewodnikiem, wybiegła na zewnątrz. Załedwie chwilę później całe Sargasso zadrżało ponownie, a portal, którego przed chwilą używali do wyjścia, zawalił się z hałasem.

- Było blisko - powiedział Tair patrząc na rumowisko za sobą.

- Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni. Spójrz !

Conan spojrzał w miejsce, które wskazywała Cheen.

Daleko na jeziorze wielka chmura gorącej pary wznosiła się z wodnej toni, niemal przesłaniając księżyc. Od dołu podświetlał ją pomarańczowy blask. Wyspa zadrżała znów, a wstrząsowi towarzyszył podwodny grzmot. Blask wzmógł się znacznie, podobnie jak ilość wrzącej wody.

- Wulkan ! - krzyknął Tair - Góra budzi się do życia ! Podwodny wulkan !

Conan przytaknął. Nie było mu obce takie zjawisko. Widywał już płynną skałę, która jak gęsty miód spływała po zboczach gór, niszcząc wszystko na swej drodze. To jezioro zagotuje się jak woda nad ogniskiem. Wszystko spłonie, łącznie z tą wyspą. Wnętrznosciami Sargasso znów wstrząsnęły konwulsje. Uderzyła w nich silna fala.

- Musimy się stąd wydostać ! - krzyknął Tair.

Niedaleko od miejsca, w którym stali, wśród trzcinyowego podłoża pojawiła się gwałtownie rosnąca szczelina. Wtargnęła w nią woda.

Conan stał bez ruchu.

- Do brzegów tej wyspy mamy dzień marszu.

Po lewej stronie znów miała miejsce jakaś erupcja. Spory obszar trzciny wzleciał w powietrze, wraz z bryzgami wody. Poczuli wyraźny zapach zgniłych jajek. Nim zdążyli zareagować, znacznie bliżej nich, buchnął gwałtowny jęzor ognia. Fragment trzcinyowej wyspy stanął w płomieniach, które znikły po chwili tak szybko, jak się pojawiły.

- Na Croma !

- Nigdy nie dostaniemy się do brzegu ! - powiedział z rezygnacją Tair - Nie przez to.

- Nie mamy wyboru - odparł Conan - Lepiej umrzeć próbując.

- Czekaj - włączyła się Cheen - Może jest inny sposób.

- Jestem otwarty na propozycje.

Grunt znów zadygotał. Gdzieś dalej w powietrze wzbiła się kula płonącego gazu. Rozbłysła i

zgasła równie gwałtownie, jak błyskawica w czasie burzy. Pomruk z wnętrza ziemi zaczął się potęgować, a cała wyspa kołysała się jak statek podczas sztormu.

- Nasienie - powiedziała. - Ma pewne moce.

- Zdoła to uspokoić ?

Wyciągnęła talizman z sakwy przy pasie i spojrzała na Conana.

- Nie. Ale może zdoła zabrać nas do domu.

- Co ?

- Legenda mówi, że ten kto rozumie Nasienie, może przyzwać jego moc i przenieść się do jego lasu.

- Legenda ? Wiesz jak przywołać jego moc ?

- Nie jestem pewna ...

Kula ognia wystrzeliła w powietrze o kilka metrów od nich i pomknęła w noc. Conan poczuł wyraźnie podmuch rozgrzanego powietrza.

- Mamy mało czasu - powiedział - Spróbuj rzucić ten czar !

- Zbliźcie się wszyscy - wydała polecenie Cheen - Połączcie się rękami.

Conan podał lewą dłoń Tairowi . Prawą wyciągnął do Hoka ... chłopiec nagle pobiegł przed siebie.

- Hok ! - wrzasnął Conan.

Ten nie słuchając dobiegł do pso-podobnego zwierzęcia, chwytając go.

Istota zadrżała, ale nie stawiała zdecydowanego oporu. Chłopiec wrócił pędem do Conana.

- Co ty wyprawiasz ?

- On się boi. Nie możemy go tu zostawić - zabrzmiała odpowiedź chłopca.

Umieścił zwierzę na ramieniu. Lewą rękę podał Conanowi, prawą wsunął po ramię siostry. To samo zrobił Tair z drugiej strony. Cheen musiała mieć wolne dłonie, by trzymać Nasienie. Zaczęła mówić coś cicho i szybko - słowa, których znaczenia Conan nie rozumiał.

Usłyszeli znów donośną eksplozję. Daleko przed nimi fontanna ognia wystrzeliła ku gwiazdom. Podłoże zaczęło drgać jak oszalałe. I tylko sile nóg Conana i ramion, którymi ich podtrzymywał, zawdzięczali, że nie runęli wszyscy na ziemię.

A Cheen wciąż mówiła niskim tonem, przyspieszając coraz bardziej.

Trzciny pod ich nogami wystrzeliły w górę, jakby ktoś smagnął je od dołu, a Conan i jego towarzysze poczuli nagle, że ulatują w górę. Już w powietrzu, wciąż ściskając dłonie towarzyszy, Conan dostrzegł płonącą kulę, wychylającą się spomiędzy spalonych trzciny i podążającą ku nim. Po raz ostatni, jak sądził, wciągnął powietrze w płuca...

Gdy odetchnął, zrozumiał nagle, że stoi na twardym gruncie, a nad głową ma potężne konary drzewa.

- Udało się !!! - wrzasnął Tair, puszczając dłoń Conana i uderzając radośnie w ramię siostrę. Obok Hok tańczył jakiś obłądny taniec, trzymając w dłoniach swego nowego przyjaciela. Zwierzak zaś ujadał radośnie.

Conan uśmiechnął się. Starał się zawsze unikać, magii ale tym razem co nieco jej zawdzięczał. Nigdy dotąd nie otał się tak blisko o śmierć. Nigdy dotąd nie czuł się tak szczęśliwy, że żyje.

Przez moment zadało mu się, że słyszy w oddali znajomy śmiech. Czy to ty Cromie ? Czy to twoja sprawka ? Jeśli tak, jestem ci wdzięczny.

Ale śmiech, jeżeli nim był, zamilkł, a grymas na twarzy Conana przemienił się w szeroki uśmiech. Jutro podejmie swą przerwana wędrowkę do Shadizar. Pożegna się z Cheen, z Tairem, Hokiem i ich wielkimi drzewami.

Złowrogie Miasto Złodziei czekało na niego. Czekwały też skarby i sława.